



Kwartalnik polski

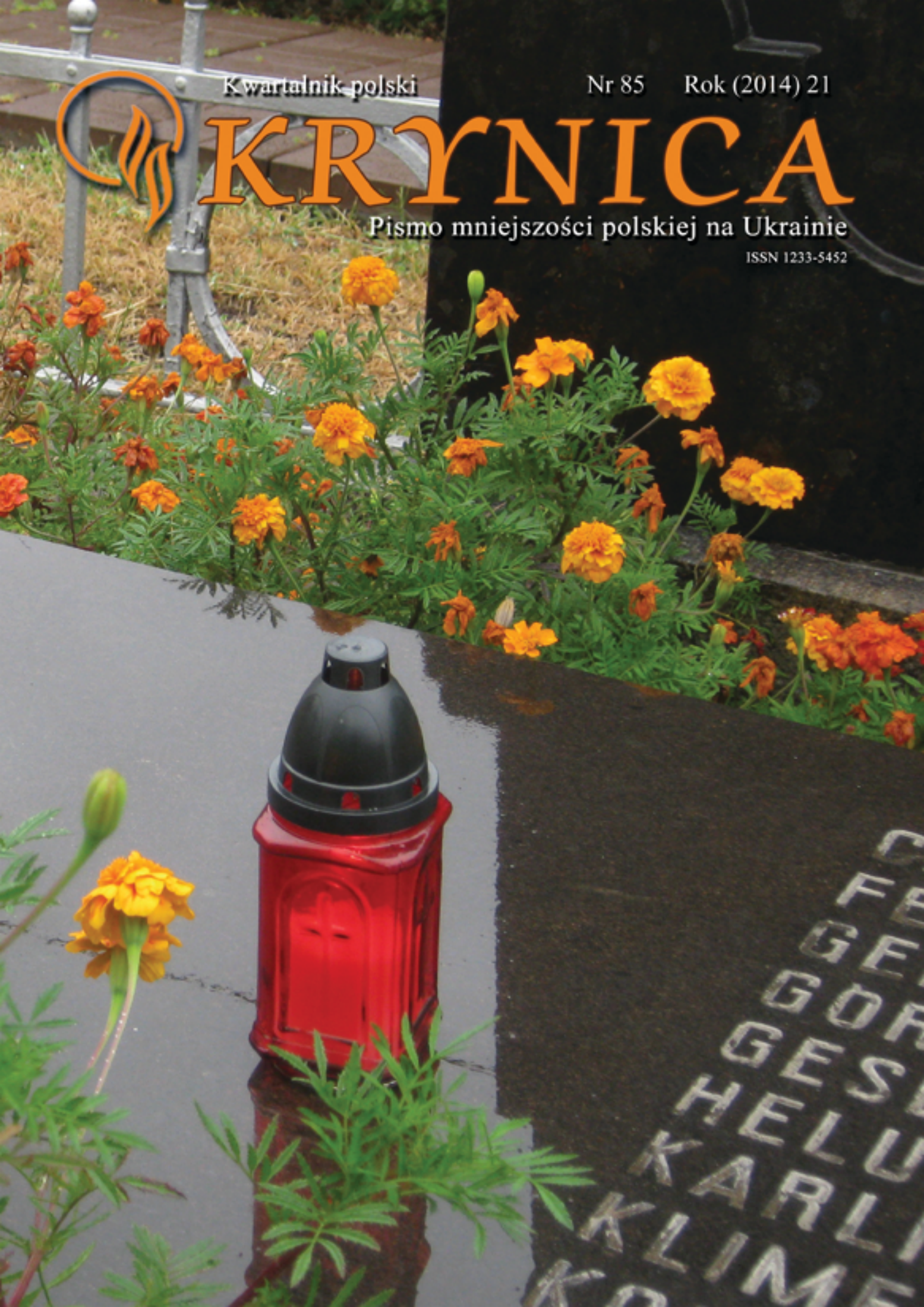
Nr 85

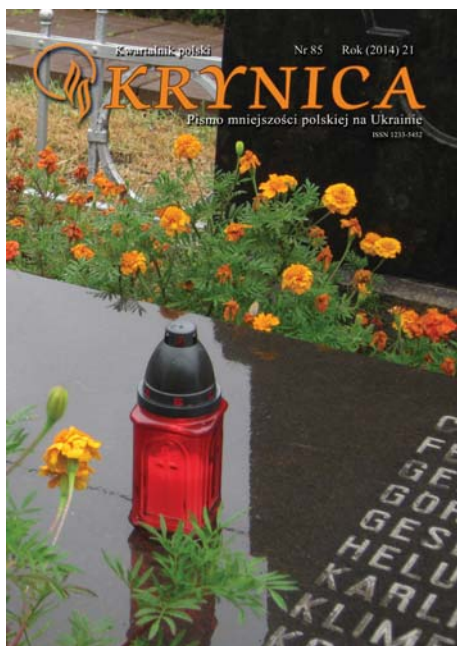
Rok (2014) 21

KRYNICA

Pismo mniejszości polskiej na Ukrainie

ISSN 1233-5452





Narzekamy. Na pogodę, bo jesień nadeszła
Njakoś tak, podstępnie. Na brak pieniędzy,
bo wciąż nie starcza do pierwszego. Na ceny, bo
rosną. Na dzieci, bo niesforne. Na męża, bo nie
ma czasu dla ciebie. Na żonę, bo wciąż narzeka.
Na polityków, bo kłamliwi. Na sąsiadów,
kierowców, przechodniów, współpasażerów.
Na to, że już za wiele kłopotów, nieszczęść,
problemów. Że to życie, nasze własne życie, nas
przerasta. Zbyt dużo jest kwestii, które
przewyższają nasze możliwości ich rozwiązania.

Ale... wciąż jeszcze cieknie woda w kranach
naszych mieszkań. I jednym ruchem można włączyć światło w pokoju.
Zagotować czajnik na kuchence gazowej i zaparzyć herbatę. Wciąż jeszcze w
twoim niebie latają wyłącznie pasażerskie samoloty. I choć ceny nadal rosną, to
zawsze wieczorem po pracy wraca do domu mąż. A czeka na niego żona. Ta,
narzekająca. Dzieci wciąż rozrabiają. I jesień, jak to jesień, wstąpiła w swoje
prawa...

A przecież zawsze może być mniej. Dom, w którym brak światła, gazu i
ciepła. Dom, bez męża, bo ktoś zabił go za to, że bronił własnego domu.
Dom z żoną, która nie narzeka, bo w jej życiu jest teraz tylko cisza. I dzieci,
które nie wrócą, bo ktoś zabrał im życie, które im dałaś. W bólach
porodu...

Zawsze może być mniej. Więc? Może tak, jak śpiewała kiedyś Beata z
polskiego zespołu „Bajm”:

*Wszystko już masz
Może to właśnie jest szczęście.*

Dorota JAWORSKA

KRYNICA

*kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie*

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (*red. naczelny*)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Ołeksij Brasławiec

Stali korespondenci:

Bożena Rafalska (Lwów);
Teresa Dutkiewicz (Lwów);
Stanisław Stepień (Przemyśl);
Jan Ciechanowicz (Wilno);
Wiktoria Wachowska (Żytomierz);
Michał Micel (Nowy Jork);

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu

Red. tech. Włodzimierz Baranowski

Zdjęcie na 1-4 str. okładki:

Dorota Jaworska



Projekt jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu na realizację zadania "Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Koordinator projektu:
Fundacja Wolność
i Demokracja.



Adres redakcji:
Ukraina, Kijów, 04119,
ul. Jakira, 13
tel/fax: (044) 570 19 45
e-mail: dorota57@ukr.net
www.krynica.in.ua

SPIS TREŚCI:

WYDARZENIA	
W Politechnice Kijowskiej (<i>Janusz Fuksa, Zygmunt Nikodem</i>)	2
Janusz Fuksa (<i>Redakcja</i>)	3
W KRAJU	
Nauka i uczelnie bliżej życia (<i>Eugeniusz Jabłoński</i>)	4
GOSPODARKA	
Informacja o II Konferencji „Potencjał gospodarczy sektora przetwórstwa owocowo-warzywnego Ziemi Sandomierskiej” (<i>Inf. SEP</i>)	6
Potrzeba konstruktywnego działania (<i>Mikołaj Oniszczyk</i>)	6
POLSKA UNIA ŚWIAT	
Warszawskie felietony Mikołaja Oniszczyka	8
TERRA INCOGNITA	
Cykl materiałów autorstwa dra Jana Matkowskiego	12
ROK 2014	
Rok Jana Karskiego (<i>Internet</i>)	18
DIALOG KULTUR	
Szkice do interpretacji obrazu Ukrainy w literaturze polskiej okresu romantyzmu (<i>Jan Matkowski</i>)	20
POSTACIE	
Profesorowie medycyny polskiego pochodzenia na Cesarskim Uniwersytecie Charkowskim (<i>Jan Ciechanowicz</i>)	28
KRESOWIACY	
Z pieśnią przez życie (<i>Jan Ciechanowicz</i>)	36
HYMNIKA POLSKA	
U źródeł hymniki polskiej (III) (<i>Roman Kaleta</i>)	38
JUBILEUSZ	
„Wiersz się zdarza...” Jerzy Ficowski – życie i twórczość (<i>Internet</i>)	54
REFLEKSJE	
Miliony wcielone w dym (<i>Anna Męciak</i>)	56
Dwa życia, dwa pogrzeby (<i>Dorota Jaworska</i>)	58
POEZJA	
„To nie ja – to jesień.” Wiersze Zdzisławy Górskiej	60
DLA NAJMŁODSZYCH	
Prawdziwa historia Czerwonego Kapturka (<i>Janina Wań</i>)	66
ŚWIAT UTRACONY	
Zamki Ziemi Lwowskiej – jeszcze jedna podróż (<i>Anton Baranowski</i>)	70

W POLITECHNICE KIJOWSKIEJ

W Politechnice Kijowskiej (KPI) na placu między biblioteką a centrum kultury w dniu 29 sierpnia 2014 r. zebrało się pięć tysięcy studentów pierwszego roku, by uczestniczyć w uroczystości inauguracji roku nauki. Na granitowej trybunie stanęli rektor i jego goście, reprezentujący władze Ukrainy i Kijowa. Parada werbliszek i podniesienie flagi Ukrainy podczas hymnu rozpoczęły uroczystość. Delegacje wydziałów złożyły kwiaty pod pomnikami czternastu wybitnych naukowców uczelni. Studentów powitał rektor Mychajło Zhurowski. Po nim przemówili jego goście, a wśród nich, w imieniu polskich wychowanków uczelni, Janusz Fuksa. Na plac wkroczyli przodownicy nauki i zwycięzcy olimpiad przedmiotowych z dziećmi podopiecznej szkoły podstawowej, po nich weszły wyróżniające się zespoły sportowe. Pojawili się studenci zagraniczni ze swoimi flagami państwowymi. Zespół „Styl” odtarńczył walca. Na plac weszli zwycięzcy konkursów „Królowa KPI” i „Mister KPI”. Zapłonął znicz pod dźwięki hymnu „Gaudeamus igitur”, wykonanego przez chór uczelniany. W niebo wzbił się napis „KPI” ułożony z żółtych i niebieskich baloników. Po zakończeniu godzinnej uroczystości na placu rozbrzmiewała muzyka do słuchania i do tańca.

Uroczystość inauguracyjną poprzedziło odsłonięcie pomnika wybitnego konstruktora samolotów Konstantego Kalinina, który był absolwentem KPI. W ceremonii

uczestniczyli przedstawiciele zakładów lotniczych z Kijowa i Charkowa oraz krewni inżyniera. Rektor Politechniki w gronie przedstawicieli organizacji absolwenckich KPI z Ukrainy i Polski otworzył też przed głównym gmachem uczelni Aleję Gwiazd, która będzie utrzymywać pamięć o najslawniejszych absolwentach i profesorach KPI. Na drodze do głównego gmachu zjawili się pierwszych 12 gwiazd, a będzie ich tu niebawem 80.

1 września Rada Naukowa (Senat) uczelni nagrodziła Janusza Fuskę – Przewodniczącego Sekcji Wychowanków KPI tytułem Doktora Honoris Causa Politechniki Kijowskiej. Pierwszy prorektor Jurij Jakimenko wręczył nagrodzonemu dyplom, medal i togę doktorską. Wyróżniony, po wygłoszeniu słów podziękowania, przekazał od Zarządu Głównego FSNT NOT złote odznaki honorowe. Otrzymali je profesorowie: Aleksandr Jandulski – dziekan wydziału elektro-energotekniki i automatyki oraz Wiktor Krawiec – kierownik katedry geobudownictwa w Instytucie Energetyki KPI.

Delegacja Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej w składzie Janusz Fuksa i Zygmunt Nikodem złożyła wizyty w Związku Polaków na Ukrainie, Domu Polskim i Redakcji „Dziennika Kijowskiego”.

*Janusz FUKSA
Zygmunt NIKODEM*



Plac przed głównym gmachem KPI w dniu inauguracji nowego roku akademickiego

Redakcja „Krynicy” składa Panu Januszowi FUKSIE serdeczne gratulacje z okazji nadania Mu tytułu Doktora Honoris Causa Politechniki Kijowskiej. Życzymy Panu dobrego zdrowia, sukcesów w działalności na rzecz współpracy polsko-ukraińskiej i wielu, wielu powodów do radości.

Z prawdziwą przyjemnością prezentujemy Czytelnikom pisma sylwetkę Człowieka Niezwykłego. I tak:

JANUSZ FUKSA

Janusz FUKSA ukończył wydział budowy maszyn chemicznych Politechniki Kijowskiej (1959 r.). Był na stażu naukowym w KPI (1985 r.). Ukończył kurs i został rzecznikiem patentowym (1966 r.). W Politechnice Wrocławskiej obronił dysertację i otrzymał stopień doktora nauk ekonomicznych (1977 r.). Był konstruktorem w zakładach ładowarek i przyczep do przewożenia ciężkich ładunków. Pracował w wydziale ekonomicznym Komitetu Wojewódzkiego PZPR we Wrocławiu. Pracując w Zarządzie Wojewódzkim Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód (od 1990 r.) organizował na Ukrainie dla polskich firm misje ekonomiczne i wystawy wyrobów, a z udziałem KPI – seminaria kontaktowe polskich i ukraińskich przedsiębiorców. Jako Przewodniczący (od 1974 r.) Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej przy Naczelnej Organizacji

Technicznej przygotowuje corocznie seminaria o współpracy polsko-ukraińskiej w Polsce i wyjazdy delegacji absolwentów do macierzystej uczelni w Kijowie. Wydaje cykl „Wspomnienia z Kijowa” (już 29 broszur). Píše artykuły dla gazet i Internetu o zabytkach Ukrainy na podstawie wspomnień ze swoich podróży. W Społecznym Towarzystwie Polska-Ukraina zasiada w Zarządzie Głównym (od 1992 r.). Jako kapitan działa we władzach wojewódzkich Związku Weteranów i Rezerwistów Wojska Polskiego (od 1994 r.). Nagrodzony Oficerskim (2004 r.) i Kawalerskim (1983 r.) Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski, wieloma wojskowymi, regionalnymi i społecznymi medalami. Otrzymał znak „Відмінник освіти” (2007 r.) od Ministerstwa Oświaty i Nauki Ukrainy. Doktor honoris causa NTUU KPI (2014 r). ■



Ceremonia nadania Januszowi Fuksie tytułu Doktora Honoris Causa Politechniki Kijowskiej

NAUKA I UCZELNIE BLIŻEJ ŻYCIA

To przekonanie w Polsce jest dość powszechne: od poziomu wiedzy wynoszonej ze szkół podstawowych, średnich i wyższych oraz od stanu nauki zależy osobiste powodzenie każdej Polki i każdego Polaka, dobro i rozwój całej narodowej wspólnoty, postęp i innowacyjność w gospodarce, miejsce Polski w rywalizacji międzynarodowej. O sytuacji i roli nauki w Polsce nie tylko się mówi, dyskutuje i toczy zacięte spory, ale i podejmuje starania, aby sprostać wyzwaniom współczesnych czasów i na miarę możliwości podnosić wyżej poprzeczkę przed szkolnictwem i rzeszami naukowców. Chętnie odwołujemy się do przykładów innych państw i narodów – Finów, Japończyków, Koreańczyków, które przed dziesiątkami lat postawiły na prym edukacji i wiedzy swoich najmłodszych i dorosłych obywateli. W rezultacie zbierają tego obfite owoce. „*Resort nauki i uniwersytety to nie peryferie, ale mózg narodu i państwa*” – stwierdza prof. Jan Hartman z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Po 1989 roku, jak podkreśla filozof, prof. Jan Woleński i inni, w szkolnictwie i nauce wiele się zmieniło na lepsze, bo zniknęły liczne bariery i ograniczenia ideologiczne. Polscy gimnazjaliści i licealiści ociągają znakomite rezultaty w różnego rodzaju olimpiadach, konkursach i rankingach międzynarodowych. Dobre i bardzo dobre gimnazja i licea są nie tylko w dużych miastach, ale i w wielu ośrodkach regionalnych, w miasteczkach i gminach wiejskich.

Dostęp do uczelni wyższych stał się powszechny. W Polsce działa około 450 uczelni wyższych, w tym ponad 300 prywatnych. Liczba studentów przez długie lata oscylowała w granicach 2 milionów. Aktualnie jest ich o kilkaset tysięcy mniej, gdyż w wiek studencki wkroczyły roczniki niżu demograficznego. Uczelnie biją się o słuchaczy, a ponad 30 wyższych szkół prywatnych z powodu malejącej liczby słuchaczy jest w procesie likwidacji.

Niektórzy uważają, że ta masowość i łatwość dostępu na uczelnie spowodowała obniżenie wymagań, obniżenie wiedzy absolwentów i ujemnie wpłynęła na wartość dyplomów akademickich. Jednak inni uznają to za zjawisko przejściowe. Uważają oni, że nadmiar ludzi z dyplomami nie szkodzi, a wręcz przeciwnie – pomaga.

Uczelnie uczelni nie jest równa. Nowa minister nauki i szkolnictwa wyższego prof. Lena Kolarska-Bobińska sprawnie i szybko przeprowadziła nowelizację ustawy o szkolnictwie wyższym, dokonując podziału uczelni na dwie kategorie: teoretyczne, badawcze typu tradycyjnych uniwersytetów oraz na nastawione na praktyczne przygotowanie do zawodu. Ta kategoryzacja obowiązuje już od 1 października 2014 roku. I usuwa wiele nieporozumień oraz niejasności.

Polskie uczelnie są coraz bardziej związane z życiem. Nawiązują one i utrzymują więzi z liceami, aby zawczasu zadbać o wiedzę i nastawienie do kształcenia swych przyszłych studentów. Zwiększa się również krąg uczelni, które otwierają się na kooperację i współpracę z zakładami

przemysłowymi, firmami, różnego rodzaju placówkami życia społecznego i kultury, aby ich absolwenci mający dyplomy licencjackie (z reguły po trzech latach studiów) lub magisterskie płynnie wchodzili w rytm pracy zawodowej. Ubolewa się jednak, iż sporo młodych ludzi z dyplomami nadal długo i na próżno szuka zatrudnienia. A część z nich – wykształconych za publiczne pieniądze – zmuszona jest wyjeżdżać za pracę za granicę – na stałe lub na okres przejściowy.

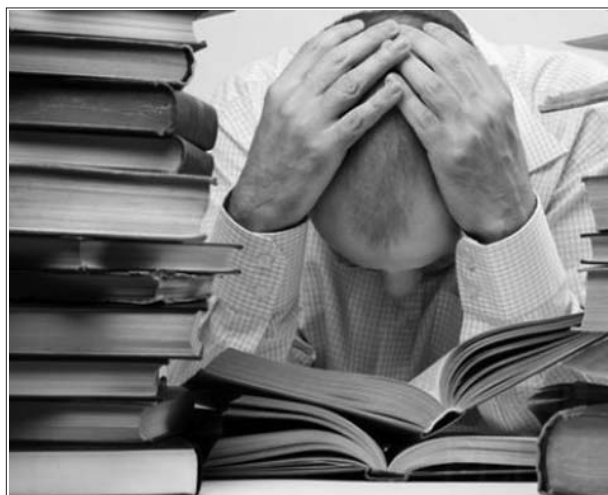
Szkoły wyższe nastawione są również na to, aby kształcić się w nich mogli ludzie dorośli, aby nie zrywali z nauką przez całe życie. Jest znamienne, iż wielkim powodzeniem cieszą się i są wręcz oblegane Uniwersytety Trzeciego Wieku.

Trybunał Konstytucyjny zdecydował o zniesieniu przepisu o odpłatności za drugi i kolejne kierunki studiów. Teraz, jak to było dawniej, studenci będą znów mogli bezpłatnie doskonalić wiedzę nie z jednej tylko dziedziny, a z drugiej lub nawet kilku.

Z uczelniami wyższymi, a szczególnie z uniwersytetami, politechnikami, akademiami medycznymi ściśle zespolona jest od wieków działalność naukowo-badawcza, obok tej dydaktycznej. Profesorowie i doktorzy z tych uczelni, jak i ci z różnego rodzaju instytutów i ośrodków naukowo-badawczych i rozwojowych wywierają w decydującym stopniu wpływ na stan i poziom badań naukowych, odkrycia i wynalazki, na postęp wiedzy, rozwój kraju i kondycję społeczeństwa.

Stan polskiej nauki oceniany jest często krańcowo odmiennie. Przeważają jednak głosy krytyczne, niezadowolone i niedosytu. Należymy raczej do średniaków. Przy tym sytuacja kształtuje się dość rozmaicie, w zależności od rodzaju ludzkiej działalności. Inaczej jest to w naukach inżynierskich, medycznych, humanistycznych, historycznych, ekonomicznych, politycznych czy tak zwanych ścisłych. Wiele odkryć i innowacji owocuje konkretnymi dziełami i dokonaniem. Ale panuje niedosyt. Podobnie wiele kontrowersji wywołują oceny i publikacje humanistów, socjologów, historyków. I to na rynku krajowym, gdyż uczonym z tych dziedzin trudno się przebić do elit i odbiorców w świecie.

Panuje na ogół zgodna opinia, iż plony uczonych mogłyby być większe, gdybyśmy na badania naukowe przeznaczali w budżecie wyższe kwoty niż aktualnie i lepiej opłacali pracowników naukowych, których liczbę ocenia się na 70 tysięcy. W Polsce fundusze na naukę wynoszą około 0,8% PKB (Produktu Krajowego Brutto), czyli dochodu. Przeciętnie zaś w Europie jest to 2%, a w USA – 4%, w Izraelu – 4,1%, w sąsiadujących z nami Czechach – 1,5%. Wygląda to raczej żenująco. W jednej z wypowiedzi przeczytałem, że amerykański Uniwersytet Stanforda ma roczny budżet większy niż cała polska nauka. Ponadto w Polsce udział przemysłu w finansowaniu badań naukowych jest prawie żaden.



Przysłowie powiada, że krawiec tak kraje, jak mu materii staje. Obecny rząd i premier zapowiadają, iż stopniowo wydatki na naukę będą zwiększane, by dojść do 2%. Ta wizja jednak się oddala, bo panuje kryzys, a po pieniądze z budżetu ustawia się zawsze w kolejce dużo chętnych, a każdy dowodzi, iż nie przeżyje, jak nie dostanie więcej. Sytuację ratują nieco fundusze na naukę z dotacji Unii Europejskiej. W latach 2014 – 2020 dotacja ta ma wynieść 10 miliardów euro, a więc sporo.

Wypowiadając się w dyskusji o nauce polskiej na łamach „Gazety Wyborczej” prezes działającej od ponad 20 lat Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, prof. Maciej Żylicz ocenił, że nie można mówić, iż mamy kiepską naukę. W światowych rankingach jesteśmy na 22. miejscu. Są dziedziny, w których jesteśmy silni. Na przykład w biologii strukturalnej, fizyce jądrowej i cząstek elementarnych jesteśmy na 12. miejscu na świecie. Wysoką pozycję mamy też w chemii, matematyce. To takie oazy szczęśliwości i teraz trzeba je poszerzać.

W Polsce jest wiele świetnych zespołów naukowych. Potrzebny jest czas i cierpliwość. Bo dobry zespół naukowy buduje się przez dziesiątki lat. Oto przykład. Otochirurg prof. Henryk Skarżyński od 22 lat wprowadza swoich głuchoniemych pacjentów w świat dźwięków, przywracając im słuch. Czyni to za pomocą wszczepiania implantów ślimakowych. Kieruje on światowej sławy zespołem Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu pod Warszawą. Przebył żmudną drogę prób i doświadczeń.

Chodzi jednak nie tylko o same pieniądze. Także o lepsze i sensowne wydawanie tych środków, które są w dyspozycji uniwersytetów i instytutów. W wielu z nich etaty są zapchane przez tych, którzy nie pracują naukowo i nikt ich nie rozlicza. Poza tym dominuje przekonanie, że wszyscy, bez względu na wyniki, powinni zarabiać mniej więcej po równo. Jak w czasach socjalizmu. A w nauce takiej równości i demokracji nie może być! Bo jest to zabójcze. W Polsce, jak dowodzą sami uczeni, bardzo utrudniony jest start młodych, świetnych fachowców, często po dobrych stażach zagranicznych, gdyż etaty blokują przeciętniacy. A jak nauka nie będzie lubić młodych, nie będzie się rozwijać.

Cytowany już przeze mnie prof. Jan Hartman powiada wprost: „Jeśli nie nauczymy się wyrzucać z uczelni miernot, a zatrudniać na przyzwoitych warunkach najzdolniejszych, czeka nas katastrofa”. Podobną opinię wyraził były wicepremier, ekonomista prof. Jerzy Hausner: „Jeżeli Polska chce wejść na wyższy etap rozwoju, to musimy lepiej opłacać pracę. Bez tego nie będzie miał kto wymyślać innowacji”.

Mamy też wciąż, zdaniem niektórych profesorów, przyzwolenie na badania nie mające nic wspólnego ze światowym forum naukowym. Czy do końca świata mamy być umysłową kolonią? – pytają oni. Biolog, prof. Jacek Radwan z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu dowodzi, że „system finansowania badań powinien zachęcać uczonych do podążania za światowymi trendami, a nie do rażących planów”.

Od stosunkowo niedawna w polskiej nauce obowiązuje – wprowadzone ustawą – ocenianie dokonań poszczególnych uczonych i całych uczelni czy instytutów za pomocą specjalnego systemu punktowego, w którym uwzględnia się publikacje książek i artykułów w polskich i światowych czasopismach naukowych, otrzymane i wykonane granty (zlecenia naukowe) i cały zespół poczyniń naukowych. Jedni uznają go za sprawiedliwy, wymiernie i obiektywnie oceniający działalność uczonych. Inni zaś, jak socjolog prof. Ireneusz Krzemiński z Uniwersytetu Warszawskiego, nie zostawiają na nim prawie suchej nitki, wytykają biurokratyzowanie. „Po reformie nauki – pisze on – uczoney stał się robotnikiem w fordowskiej fabryce: ma do wykonania określone zadanie i w każdym momencie może się znaleźć na bruku. A jeśli ocaleje, to się nie rozwinie, bo w nowym modelu nie ma chwili na refleksję”.

Nie będę dalej rozwijał tego wątku, gdyż system jest zbyt skomplikowany dla samych uczonych, nie mówiąc już o ludziach z boku. Wspomniałem o tym, by uzmysłowić czytelnikom „Krynicy”, że w środowisku polskich uczonych nie ma zastoju. Stale w tym kręgu coś się dzieje, toczono dyskusje, poszukuje się najlepszych rozwiązań. I dąży do tego, by polscy uczeni silniej wchodzili w nurt światowej nauki, żywiej wiązali się z realnym życiem kraju i ludzi, ich potrzebami i oczekiwaniami. A możliwości jest dużo, albowiem, jak ocenia prof. Maciej Żylicz, w Polsce „naprawdę dobrą naukę na światowym poziomie uprawia 3, może 5% naukowców”, gdy w znanej mu z osobistych doświadczeń Ameryce, w USA 20-30%. Chodzi zatem o to, by liczba uczonych inaczej myślących, stawiających na jakość i użyteczność, osiągnęła masę krytyczną i zaczęła mieć istotny wpływ na naukę w Polsce. To się stopniowo staje. A sprzyja temu pro jakościowa polityka obecnego rządu.

Przykładem tego może być finansowanie z budżetu Krajowych Naukowych Ośrodków Wiodących. Ważne jest, aby wydziały czy korporacje otrzymujące te dotacje były z nich rzetelnie rozliczane. Wtedy system będzie działał. Nieźle też funkcjonuje Narodowe Centrum Nauki oraz Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, a także wspomniana w tym tekście Fundacja na rzecz Nauki Polskiej. To wszystko są zwiastuny nowej jakości w nauce polskiej.

Eugeniusz JABŁOŃSKI

INFORMACJA O II KONFERENCJI NT. „POTENCJAŁ GOSPODARCZY SEKTORA PRZETWÓRSTWA OWOCOWO- WARZYWNEGO ZIEMI SANDOMIERSKIEJ”

W dniach 29-30 sierpnia 2014 r. w Sandomierzu odbyła się II Konferencja pn. „Potencjał gospodarczy sektora przetwórstwa owocowo-warzywnego Ziemi Sandomierskiej”.

Patronat Honorowy nad Konferencją objęli: Wicepremier, Minister Gospodarki Janusz Piechociński, Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi Marek Sawicki oraz Prezes Zarządu Stowarzyszenia Eksporterów Polskich Mieczysław Twaróg.



W obradach II Konferencji udział wzięli: Arkadiusz Bąk – Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Gospodarki, Adam Jarubas – Marszałek Województwa Świętokrzyskiego, Monika Piątkowska – Wiceprezes Polskiej Agencji Informacji i Inwestycji Zagranicznych, Kazimierz Kotowski – Członek Zarządu Województwa Świętokrzyskiego, Stanisław Masternak – Starosta Sandomierski, Dziekan Sandomierskiego Korpusu Eksporterów i Mieczysław Twaróg – Prezes Zarządu Stowarzyszenia Eksporterów Polskich.

Konferencję otworzyli i powitali zebranych: Adam Jarubas – Marszałek Województwa Świętokrzyskiego i Stanisław Masternak – Starosta Sandomierski, Dziekan Sandomierskiego Korpusu Eksporterów.

W czasie Konferencji głos zabrali m.in. Arkadiusz Bąk – Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Gospodarki i Grzegorz Orawiec – Dyrektor Departamentu Polityki Regionalnej Urzędu Marszałkowskiego Województwa Świętokrzyskiego.

W trakcie Konferencji odbyły się dwa panele: I panel na temat szans i możliwości eksportu jabłek, owoców i warzyw w regionie świętokrzyskim z udziałem m.in.: Arkadiusza Bąka – Podsekretarza Stanu w Ministerstwie Gospodarki, Marka Ociepki – Radcy Ministra Kierownika WPHiI Ambasady RP w Moskwie, Moniki Piątkowskiej – Wiceprezesa Polskiej Agencji Informacji i Inwestycji Zagranicznych, Kazimierza Kotowskiego – Członka

Zarządu Województwa Świętokrzyskiego, Janusza Stasiaka – Prezesa Zarządu San-Export-Group i przedsiębiorców zagranicznych oraz II panel na temat działań promocyjnych i narzędzi współpracy na rzecz rozwoju eksportu, owoców i warzyw z udziałem m.in. Mieczysława Twaroga – Prezesa Zarządu Stowarzyszenia Eksporterów Polskich, Zbigniewa Szmunińskiego – Radcy, Kierownika WPHiI Ambasady RP w Mińsku, Mirosława Fuci – Prezesa Spółdzielni Producentów Owoców i Warzyw oraz przedstawicieli przedsiębiorców zagranicznych.

Na zakończenie Konferencji stanowisko Sandomierskiego Jabłkowego Korpusu Eksporterów i Stowarzyszenia Eksporterów Polskich przedstawił Mieczysław Twaróg – Prezes Zarządu Stowarzyszenia Eksporterów Polskich, a podsumowania dokonał Kazimierz Kotowski – Członek Zarządu Województwa Świętokrzyskiego. Następnie odbyły się spotkania matchmakingowe, a w dniu 30 sierpnia br. wizyty w siedzibach grup producentów owoców i warzyw.

Warszawa, 1 września 2014r.

POTRZEBA KONSTRUKTYWNEGO DZIAŁANIA

Nie ma co przesadnie i w nieskończoność rozdzierać szat nad tym, co dzieje się na rynkach wschodnich, czyli rosyjskim i ukraińskim, a więc i nad tym, że wystąpiły nieprzewidywalne trudności w polskim eksporcie na te rynki.

Trzeba być nadal aktywnym, ofensywnym i działać, jak w tytule. Innej drogi nie ma i być nie może, jeżeli chcemy zrealizować stawiane przed sobą cele, tak w skali makro, jak i mikro.

Sytuacja wymaga jednak chłodnych analiz, ocen i przemysłów, tak na szczeblu decyzyjnym rządu i resortów, a jeszcze bardziej szczegółowo na szczeblu podmiotów gospodarczych, czyli producentów, eksporterów i inwestorów. Z posiadanych informacji wynika, że aktywność w tej materii jest zróżnicowana, aczkolwiek zaowocowała szeregiem rozmów i decyzji, choć na razie o charakterze bieżącym i interwencyjno-zapobiegawczym.

Pozytywnym przejawem tego jest – całościowo ujmując – podjęta aktywność na rzecz dywersyfikacji rynków zbytu. A w ślad za tym – podjęte rozmowy, negocjacje i pierwsze kontrakty, choćby z krajami azjatyckimi i dalekowschodnimi czy afrykańskimi, ale i z amerykańskimi. Odszkodowania i fundusze wsparcia – krajowe i unijne – łagodzą częściowo negatywne skutki i szkody rosyjskiego embarga. Ale to środki doraźne, o krótkim horyzoncie czasowym.

Bardziej trzeba myśleć i działać długofalowo i perspektywicznie. Tu sytuacja jest bardziej trudna i skomplikowana, choćby z uwagi na nieprzewidywalność polityki rosyjskich struktur i decydentów rządowych i ich poczynąń. Dotyczy to też – często spowinowaconych z nimi lub im uległych – grup oligarchicznych. A tak jest przecież w Rosji czy na Ukrainie. Ponadto – nawet w kraju – sytuacja jest nie do końca jasna, bo zmienia się rząd i administracyjno-polityczne struktury regionalne. A już za rok może być kolejne „zamieszanie”, bo będą wybory parlamentarne i prezydenckie. Co prawda, nie wszystko zależy od „góry”, ale jednak bardzo dużo.

W otoczeniu międzynarodowym też dokonywać się będą, może nie radykalne, ale znaczące zmiany, mogące mieć wpływ na nasze stosunki gospodarcze. Dotyczy to przede wszystkim zmian programowo-organizacyjnych w Unii Europejskiej. Coraz większego znaczenia nabiera sprawa wspólnej polityki energetycznej, bo „kurek” rosyjski w każdej chwili może być przykręcony lub nawet zakręcony. Są i inne ważne problemy, w tym zapewnienie wzrostu gospodarczego, ograniczenie deficytów budżetowych i góry długów zagranicznych, zmniejszenie bezrobocia czy poprawa warunków finansowo-materiałnych życia i bycia ubogich warstw społeczeństwa. To zadania wymagające pieniędzy, ale i większej skuteczności w realizacji podejmowanych projektów inwestycyjno-innowacyjnych. To pakiet koniecznych i niezbędnych decyzji i działań również nas dotyczących.

Polski sektor eksportowy, bez względu na to, co może być lub będzie – musi przejawiać aktywność na wielu frontach, w trosce o własne podwórko i interesy. Towarzyszyć temu powinna troska o jakość i konkurencyjność podaży wyrobów eksportowych, a równocześnie o możliwości ich sprzedaży na rynkach zagranicznych. Świat jest otwarty i ich rynki także. Żeby ten dobrostan pełniej jeszcze wykorzystywać, trzeba owe rynki dobrze rozeznaczyć, a nie działać metodą „na chybił trafił”. Mieć bieżące rozeznanie nie tylko ogólne, makroekonomiczne, ale branżowo-asortymentowe, cenowo-popytowe i finansowe.

Ten wymóg dotyczy wszystkich rynków, a w obecnej sytuacji, zwłaszcza rynków wschodnich. Tu trzeba mieć dobrą znajomość wiarygodności partnerów i ich zdolności finansowych. W tym celu lepsze powinno być wykorzystywanie opinii polskich placówek ekonomiczno-handlowych za granicą i informacji będących w ich dyspozycji. A tych jest pod dostatkiem, tak na



placówkach w Moskwie i Kijowie, jak i w Niemczech, USA czy w Chinach. To tak tylko dla przykładu. Oczywiście nic nie zastąpi własnego, firmowego rozeznania. Dlatego też trzeba dbać o bezpośrednie kontakty z rynkami i partnerami.

A takich możliwości jest dużo, w tym m.in. poprzez udział w imprezach targowo-wystawienniczych czy w forach biznesowych, organizowanych na rynkach poszczególnych krajów. Ale to tylko dla przypomnienia...

Okazją do wymiany rzeczowych zdań i opinii jest uczestnictwo w kongresach i konferencjach programowych, organizowanych corocznie przez Stowarzyszenie Eksporterów Polskich, z udziałem kilkusetosobowej liczby eksporterów, inwestorów i producentów wyrobów, przeznaczonych na sprzedaż za granicą. Biorą w nich udział wysocy rangą przedstawiciele Sejmu, Senatu i Rządu. To dobra forma rozmowy władzy z realnym sektorem gospodarki. I takie spotkanie odbędzie się już 20 listopada br. w gmachu Ministerstwa Gospodarki w Warszawie. A będzie to XII Kongres Eksporterów, poświęcony perspektywie finansowej na lata 2014 – 2020, czyli działaniom na rzecz proinnowacyjnego rozwoju eksportu. To temat zachęcający i inspirujący, bo w grę wchodzi... pieniądze. A to przecież siła napędowa eksportu i gospodarki, jako całości, a także główny „motywator” w działaniach każdego z nas. Ten „szczyt” eksporterów będzie więc dobrą okazją, by się „dotlenić” mentalnie i duchowo, by wzmocnić kreatywny potencjał twórczy pożądaných, pozytywnych realiów. I to na przekór negatywnym i destruktywnym poczynaniom i opiniom niektórych polityków za naszą wschodnią granicą, ale i po części – w kraju.

Eksport już jest i pozostaje nadal naszym niepodważalnym atutem i strategicznym celem.

Chwała więc naszym, polskim eksporterom!

Mikołaj ONISZCZUK

WARSZAWSKIE FELIETONY MIKOŁAJA ONISZCZUKA

Komentarz ekonomiczny

INTOKSYKACJA

Tak w syntetycznym skrócie można by określić aktualną sytuację na europejskiej scenie stosunków politycznych i społeczno-gospodarczych. Przyczyn tego stanu jest kilka, ale podstawową i bezpośrednią jest agresja Rosji na niezależność i niepodległość Ukrainy, pod pozorem obrony mniejszości rosyjskiej ludności na obszarze wschodnich regionów tego kraju. Ale to tylko pretekst, bo w istocie rzeczy jest to kara za przyjęcie kursu przez nowe władze ukraińskie na europeizację poprzez stowarzyszenie, a potem akcesję do Unii Europejskiej. A to dla Putina, jego popleczników i dworzan oznacza wydostanie się spod imperialnych wpływów i dominacji Rosji. Ruszyła znana machina, przeciwczona już wobec Gruzji czy Mołdawii. Siła agresji zdominowała rozum...

Na ten stan rzeczy zareagowały kraje europejskie i większość krajów świata. Po prostu akt agresji potępiają. Dla krajów unijnych inwazja rosyjska była niewątpliwie – zaskoczeniem.

Wszystko układało się dotąd poprawnie lub dobrze, a tu, ni stąd ni zowąd, przyjaciel i partner „przepoczwrzył się” w groźnego adwersarza. Na efekty konfrontacji nie trzeba było długo czekać. Oprócz aneksji Krymu, Rosja, oprócz broni i armat, oprócz wsparcia separatystów, bombardowań i rozboju na wschodniej Ukrainie, demoluje stosunki gospodarcze z

krajami Unii, w tym z sąsiednią Polską. Zakazała w formie embarga import produktów żywnościowych, ale i innych po części, z tych krajów. I to od razu na rok, a może i dłużej. Europa i świat nie pozostały dłużne, zareagowały sankcjami, choć jeszcze mało skutecznymi. Ale to tylko swoista garda w pojedynku bokserskim.

Ujmując ten stan rzeczy szerzej – ujawniły się też słabości po stronie polskiej i unijnej. Niczego nie naciągając – potwierdziło się, że dobrobyt... usypia. Nie przewidzieliśmy ryzyka politycznego, które nie śpi. A to już brak przezorności, tak w polityce, jak i w kontaktach gospodarczych. Daliśmy się uzależnić surowcowo od Rosji w zakresie ropy naftowej i gazu ziemnego. To taki rosyjski miecz Demoklesa w postaci kurka. Teraz potwierdza się, mimo podjętych przeciwdziałań, bezsilność politycznych i dyplomatycznych gremiów wobec tego typu przypadków. Aktualnym pozostaje szukanie odpowiedzi na pytanie „co robić?”. Więc poszukiwania trwają, choć po obu stronach retorsyjne – przeważają. Wszyscy oczekują jednak, że ekipa kremlowska otrzeźwieje i wycofa się, oby na zawsze, z Ukrainy. A wtedy nastąpi powrót do normalności. U nas na razie odbywają się protesty rolników, sadowników i ogrodników, słuszne i mniej zasadne, choć trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że mimo wysiłków naszych resortów i ministrów, na politykę Putina nie ma mocnych, nawet w USA. Jedynym na razie pozytywnym wyjściem jest dywersyfikacja rynków zbytu dla dostaw eksportowych. Skupmy się więc na wykorzystaniu tej dobrej szansy.



Komentarz w trzech kolorach i odsłonach

TRZY SCENARIUSZE

Żyjemy w świecie globalizującym się i integrującym wokół dążeń do dobra i pomyślnej przyszłości. I wszystko byłoby pewnie dobrze, gdyby nie wojny i agresje – powtarzające się i... nowe. A z taką i to nieoczekiwaną sytuacją mamy teraz do czynienia na terytorium wschodniej Europy. Mowa o konflikcie rosyjsko-ukraińskim, którego ofiarą jest Ukraina.

I to on od kilku już miesięcy bulwersuje europejską scenę polityczną i gospodarczą, a w konsekwencji – międzynarodową opinię publiczną.

Powstało spore, a nawet trwożne zamieszanie, wokół którego toczą się na różnych szczeblach rozmowy i dyskusje, z zaangażowaniem różnego kalibru polityków, w tym z najwyższych pólek. Wszyscy szukają możliwego, dobrego wyjścia z zaistniałej sytuacji. Ale to tylko szlachetna idea. Z dotychczasowego ich bilansu można by wysnuć trzy konkluzje, ujmując je w formie trzech możliwych do przewidzenia scenariuszy tego, co nas czeka. Na razie konkretnego rozwiązania nie znaleziono, bo opinie i propozycje są rozbieżne lub wręcz przeciwstawne. Te trzy scenariusze, to:

– NEGATYWNY, czyli będzie tak, jak jest teraz. To scenariusz najgorszy z możliwych. Zakłada bowiem podbój i okupację niepodległego państwa, w tym aneksję i zabór Krymu, a jednocześnie utrwalanie separatyzmu regionów wschodnich oraz negację polityki obecnego rządu ukraińskiego, w tym jego kursu na zbliżenie z Unią Europejską;

– POZYTYWNY, czyli perspektywiczny. To scenariusz optymistyczny i realny, ale do osiągnięcia zapewne w przyszłej dopiero dekadzie, a może i z jeszcze większym poślizgiem. Takim pierwszym, ważnym, a nawet podstawowym krokiem będzie członkostwo w Unii Europejskiej i wdrożenie zasad współpracy na wzajemnie korzystnych zasadach ogólnoeuropejskich;

– POŚREDNI, czyli przejściowy, ale najbardziej prawdopodobny. To okres najtrudniejszy, bo zakładający istotne i konieczne przeobrażenia społeczno-gospodarcze, a tym bardziej trudniejsze w warunkach konfliktu z Rosją i odbudowy zniszczeń wojennych na terenie wschodnich obwodów. Staraniom o członkostwo w Unii Europejskiej towarzyszyć będą pomruki i nękania ze strony Rosji, zachęty do integracji w innych, prorosyjskich ugrupowaniach, typu WNP, Unia Celną, Unia Euroazjatycka czy JEP. Mogą być serwowane i inne „przysmaczki” imperialne. Na razie podawana jest „czarna polewka” w formie embarga i zakazów bądź ograniczeń we wzajemnym handlu.

To scenariusze krótko sformułowane, ale prawdopodobne, a nawet realne.

Jedno w tym jest pewne, że świat nie jest i nie będzie obojętny ani wobec agresji, ani wobec Ukrainy. A na pewno, że Polska w tym wszystkim jest i będzie przeciw pierwszemu scenariuszowi, a sprzyjać i wspierać będzie dwa pozostałe.

Komentarz socjoekonomiczny

UKRAINA MUSI ODŻYĆ

Od czasu do czasu warto zajrzeć na podwórko sąsiada i zobaczyć, co tam się dzieje. A tym bardziej, jak już o tym mówi cały świat... Mowa oczywiście o Ukrainie. Bo tam robi się krajobraz, jak po trzęsieniu ziemi.

Zajrzałem – i od razu powiem, że od tak dawna, jak profesjonalnie od kilkudziesięciu lat zajmuję się promocją naszej współpracy z rynkami wschodnimi – stwierdziłem, że Ukraina nie była w całym okresie powojennym w tak trudnej sytuacji, jak obecnie. Zawsze było trudno, ale nie aż tak...

We wszystkich płaszczyznach czy obszarach życia, a więc od polityki poczynając, a na sprawach gospodarczych i społecznych kończąc – sytuacja jest bardziej niż trudna. Moim zdaniem przejściowo, acz potrwa dość długo.

O powadze sytuacji na dzień dzisiejszy decyduje trwająca agresja Rosji na niezależność i niepodległość Ukrainy. To niespotykany „rozbój w biały dzień”.

Fakt, który obróci się negatywnie przeciw Rosji na długie lata, podważając jej wiarygodność. Sprawa znana, więc nie ma się co powtarzać w jej prezentacji.

Mnie bardziej martwi i niepokoi sytuacja gospodarcza Ukrainy. Tutaj z całą jaskrawością ujawniły się skumulowane przez lata braki i niedoskonałości.

I to w tym momencie, gdy trwa walka o integralność terytorialną kraju.

A jednocześnie waga się losy stowarzyszenia, a potem członkostwa w Unii Europejskiej oraz pierwsze kroki stawia odnowa polityczna, autentycznie ukraińska i proeuropejska. A na dodatek – czeka kampania przedterminowych wyborów parlamentarnych. Moc nowych wyzwań zderza się z istniejącymi realiami. A te są, jak mówią Ukraińcy „na żal”, czyli „niestety” wzbudzające niepokój i niezadowolenie społeczne. Dane statystyczne obrazujące stan rzeczy zmieniają się co miesiąc, trudno się w nich połapać, bo co źródło – to inne dane. Ale i bez względu na to z dostępnych informacji medialnych i innych, wiadomo, że gospodarka ukraińska jest w stadium zastoju i pogłębiającego się kryzysu, gdyż:

– spada dynamika wzrostu gospodarczego, mierzona dynamiką PKB,

– spada produkcja przemysłowa,

– jednym z najbardziej zaniedbanych sektorów jest rolnictwo,

– zaniedbana jest infrastruktura drogowa i kolejowa,

– niski jest poziom eksportu, z tendencjami spadkowymi,

– niski jest poziom inwestycji zagranicznych,

– następuje dewaluacja hrywny...

I tak dalej, w tym korupcja, biurokracja, mętna polityka podatkowa, wadliwe prawo i praca sądów. A ujmując jeszcze szerzej – brak reform strukturalnych i bariery w mentalności starego pokolenia. Im dalej na wschód, tym bardziej widoczne.

To, co niepokoi najbardziej, to tragiczna wręcz sytuacja finansowa kraju, a więc horrendalne zadłużenie zagraniczne i rosnący dług publiczny i deficyt budżetowy. Ukraina żyje na kredyt. Ledwo zipie, ale żyje!

Z tak zarysowanego obiektywnie obrazu faktycznego nie wynika, że droga do zmiany i poprawy sytuacji jest zamknięta. Przysłowie ludowe mówi, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ale żeby wyszło, trzeba jednak cierpliwości, a na pewno jedności i determinacji w konstruktywnym działaniu samych Ukraińców, ale i we współdziałaniu z krajami partnerskimi w otoczeniu międzynarodowym. Niech więc żywi nie tracą nadziei – Ukraina żyje i odżyje! Idee Majdanu – wejdą w życie, wraz z młodym i średnim pokoleniem Ukraińców. Zwycięży, jak w Polsce, wolność i demokracja, więc powodzenia!

Impresje ze spotkania

NIE MOŻNA BYĆ OBOJĘTNYM WOBEC HISTORII

I właśnie takim motywem kierowałem się uczestnicząc 25 września br. aż w dwóch naraz spotkaniach o tematyce historycznej z liczną grupą Sybiraków.

A dla przypomnienia tylko: kim są Sybiracy? – najpełniej wyraża godło i hymn Związku Sybiraków. Godło to orzeł z koroną i rozerwanymi łańcuchami. Rozerwane łańcuchy są symbolem rozerwania spętania Polski, która była wymazana z mapy Europy przez 103 lata (od roku 1815 do roku 1918). A hymn autorstwa Mariana Jonkajtysa z muzyką Czesława Majewskiego mówi jeszcze dobitniej: myśmy wciąż do Niepodległej szli... choć drogę wydłużyli carscy kaci. A jak szli? Przez Syberię wiódł najkrótszy szlak, i w kajdanach szli konfederaci – mogliśmy znacząc polski trakt... A dalej: a myśmy szli i szli – dziesiątkowani, przez tajgę, stepy – płataniną dróg, a myśmy szli, i szli, i szli – niepokonani, aż „Cud nad Wisłą” darował nam Bóg! I tak dalej...

Jedno spotkanie było ilustracją działań i efektów w promocji tematyki historycznej, zwłaszcza w środowisku młodzieży gimnazjalno-licealnej, prowadzonej przez

Biuro Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej, a drugie – działalności Koła Związku Sybiraków Warszawa-Śródmieście. Oba interesujące i zbieżne tematycznie, aczkolwiek ich koloryt był nieco odmienny.

Pierwsze, prowadzone przez Katarzynę CEGIEŁĘ, zawierało bogatą treść informacyjną, podaną w sposób syntetyzujący dorobek i perspektywę działań, ilustrowany pokazem filmowym. A w nim wyjazdy, spotkania i reakcje młodzieży z miejsc kaźni i pochówku walczących o niepodległość, w tym na terenie Rosji, Ukrainy i Białorusi. Padło przy tym stwierdzenie, że trzeba o tym „wałkować” ciągle, w trosce o zachowanie w pamięci obecnych i przyszłych pokoleń faktów i wydarzeń trwożnych, ale świadczących o ludziach walczących na śmierć i życie o Polskę. O jej dzień dzisiejszy i przyszłość.

Drugie – prowadzone przez prezesa Koła, Bogusława GAJDAMOWICZA – również merytoryczne, ale w formie bardziej uroczystej, bo jubileuszowej, tj. 25-lecia utworzenia tegoż Koła oraz zakończenia akcji „1% dla Organizacji Pożytku Publicznego”. Zgodnie z programem zabrzmiał dostojnie hymn Sybiraków, zaprezentowano fragmenty „Kroniki Koła”, odczytano listę darczyńców akcji dla OPP, wysłuchano wystąpienia prezesa Stowarzyszenia Osadników Wojskowych i Cywilnych Kresów Wschodnich, Mieczysława WÓJCIKA. Z uznaniem wysoko oceniono wieloletnią pracę prezesa Koła. A na zakończenie wysłuchano melodii „na co dzień i od święta” w wykonaniu wspianalego, meksykańskiego zespołu wokalnomozykalnego, przy gorącym aplauzie sali.

Oba spotkania potwierdziły przesłanie i prawdę obiektywną i dość oczywistą, że znając historię – łatwiej ocenić i widzieć PERSPEKTYWĘ! A ta jest przecież przed nami, a jej konstrukcja zależy przede wszystkim od nas samych.

Felieton obyczajowo-prorodzinny

WIĘDNĄ ZDROWE OBYCZAJE

Ten temat nie wymaga już dodatkowych badań opinii publicznej, bo dotyczy zjawiska obecnego i odczuwalnego w każdym kraju i w co drugiej czy trzeciej rodzinie. Wiąże się on bowiem z degradacją i postępującym upadkiem dobrej obyczajowości. Więdną już nie tylko liście na drzewach, jak teraz w okresie jesieni, ale przez cały rok, bez względu na strefę klimatyczną.

A rzecz dotyczy ożenków i małżeństw.

Obojętnie kogo spotykam, sąsiadów, znajomych czy kolegów i pytam, co słyhać u ciebie i w rodzinie –

dominują odpowiedzi, że są już po rozwodzie, w jego trakcie lub przed, a w najlepszym razie, że szykują się – do kolejnego wesela. Rzadko kto mówi, że wszystko jest w porządku, choć nie wiadomo, jak długo. Można zatem odnieść wrażenie, że coraz gorzej jest z tradycyjnymi dotychczas małżeństwami. A już szczytem degradacji obyczajowej są małżeństwa monoseksualne, gdzie chłop żeni się z chłopem, a baba z babą. Mogą też współżyć bez ożenku, na tzw. kocią łapę. Dziś genderyzm, równouprawnienie płciowe i inne zboczenia stają się swoistą normalnością w nienormalności. Choć są tacy, którzy twierdzą, że to nic zdrożnego, a co więcej, że to oznaka czy przejaw nowoczesności kulturowo-obyczajowej, dzięki czemu dołączamy do w pełni cywilizowanego świata.

Niektórzy tworzą z tego nawet partie, choć na szczęście mało liczne, wręcz śladowe. One też dzielą się i rozpadają. Plagą są rozwody. Ich przyczyny i skutki są różne, ale i czasem zupełnie lekkomyślne, tak jakby „dla sportu”. Ot, tak dla urozmaicenia monotonii życia doczesnego. W grę wchodzi inne panie i panienki czy rozwódki, czyli jedno lub wielorazowe... „przygódki”. W tym procederze w równym stopniu uczestniczą mężowie i żony. Jak któraś ze stron przeważa, druga wycofuje się z małżeństwa. Remis też żadnej ze stron nie satysfakcjonuje. Ale nie ma co „uśmieszniać” tematu i problemu.

Chaos obyczajowy ogarnia świat. I tego nie da się ukryć! Ino, jak mówią górale, współczuć.

Przyczyn tego stanu jest wiele, w tym bardziej lub mniej poważnych, co objawia się na ogół w negatywnych skutkach. Podstawą małżeństw są uczucia i wzajemny szacunek. To, w ujęciu kalendarzowym, taki swego rodzaju... „maj”, w którym jest i nastrój wiosenny, i słońce, i tchnąca pięknem i urodą natura. Ale życie, to nie tylko maj. To realia szarej codzienności, do której musi dostosować się każde małżeństwo i jego rodzina. W tym dostosowywaniu się ujawniają się cechy indywidualne małżonków, w tym charaktery. A więc walory, ale i niedoskonałości, wrodzone i nabyte, w tym ukryte. Niezgodność charakterów jest jakby naturalną przyczyną rozwodów. Drugą grupą przyczyn jest niska odporność na warunki bytowe. A te określają takie czynniki, jak bezrobocie, brak mieszkań, niski poziom zarobków lub dochodów z innych źródeł. Bywa też, że lenistwo bądź nadmierna rozrzutność jednego z małżonków. A taką powszechną przyczyną jest patologia, czyli pijaństwo i narkomania. Obok tego – swawola i rozwiązłość moralno-obyczajowa. Wieleżństwo też nie jest już niczym szczególnym czy nadzwyczajnym.

Najbardziej poszkodowanymi ofiarami rozwodów są dzieci. Porzucanie ich na pastwę losu jest przestępstwem moralnym i obyczajowym. Niestety – dość powszechnym.

Wygląda na to, że wędną i murszeją fundamenty zdrowych zasad moralno-obyczajowych. Obojętność wobec tego zjawiska utrwała je i pogłębia. Więc żeby do końca nie zwiedły – kilka myśli do rozważenia dla



poprawy istniejącego stanu, bez filozofii, ale profilaktycznych i praktycznych, w tym dla młodożeńców. Zasadą podstawową małżeństwa, od początku do końca, jest miłość i zgoda, bo to nie przejściowa przygoda, a obowiązki i odpowiedzialność. Jak się tę zasadę stosuje, to małżeństwo stać na życie, jak w pałacu lub willi. Jak tego nie ma, to czeka je... szopa. Cały czas trzeba pamiętać o tym, co nas łączy, a nie dzieli. A co łączy? Teolodzy mówią, że wiara, myśl i pamięć o Bogu nas scala. A przy tym rozum i rozsądek. Żeby tak było – rozum musi czuć serce i na odwrót. To taki wymóg wzajemnego, codziennego dialogu. W małżeństwie trzeba się starać o umiejętne sterowanie i administrowanie bezkresem myśli, wyobraźni, ale i swobodą postępowania. Trzeba umieć wznieść umysł nad szarością przytłaczającej, szarej codzienności. Umieć też studiować chwilowe porywy emocji małżeńskich. Nie ma co stosować zasady, że *homo homini lupus est...* Te emocje można zachować i spożytkować na oglądanie widowisk sportowych – i to też w sposób przyzwoity, czyli kulturalny. Na dobre i złe małżeństwa recept uniwersalnych zapewne nie ma, jako że w każdym człowieku jest jedno i drugie. Stąd to każdy z małżonków jest twórcą jakości małżeństwa. Na szerzące się zło trzeba jednak reagować, aktywnie i głośno, bo obojętność na i milczenie jest cichym przyzwoleniem na jego swawolne funkcjonowanie, wręcz rozpasanie się.

Zgodne i dobre małżeństwa, a w konsekwencji – pogodne i szczęśliwe rodziny – są dobrem najwyższym w naszym życiu społecznym. Jest to zresztą jeden z priorytetów polityki społecznej naszego rządu I tego się trzymajmy! ■

TERRA INCOGNITA – to nowa rubryka „Krynicy”. Redakcja zamieszczać w niej będzie materiały autorstwa Pana doktora Jana MATKOWSKIEGO. Pan dr Jan Matkowski urodził w się w Bieszczadach Wschodnich i obecnie mieszka we Lwowie. Od lat współpracuje z polskimi czasopismami, szczególnie „Gazetą Polską” i „Nowym Państwem”. Jest autorem wielu artykułów o sytuacji gospodarczo-politycznej w Środkowo-Wschodniej Europie. Współpracownik Fundacji „Wolność i Demokracja”.

Inaugurując nową rubrykę życzymy Czytelnikom „Krynicy” przyjemnej i pożytecznej lektury, zaś jej Autorowi – wielu dobrych pomysłów na kolejne artykuły.

JAK NASI BRONILI KRAJ PRZED TATARAMI: JEDEN PRZECIWKO STU

*„Husarz kopije jeno co swe złoży
Niejeden na szpil zostaje wetchniony,
Co ich nie tylko zamiesza, lecz strwoży,
Sztých nieuchronny i nie odłożony,
Bo kogo trafi, tyrańsko się sroży
Biorący czasem i po dwie persony,
A drudzy pierzchną tak skwapliwym tropem,
Jak muchy przykrzym sobie przed ukropem.”*

Wespazjan Kochowski (1633 – 1700)

Wśród kilkunastu bitew, znanych jako „polskie Termopile”, bitwa pod Hodowem zajmuje, bez wątpienia, czołowe miejsce. 11 czerwca, 320 lat temu w okolicy wsi Hodów nasi rodacy przeciwstawili się 40 tysięcznej armii Tatarów. O bohaterskim czynie husarii Rzeczypospolitej świadczy fakt, że było ich zaledwie około 400. Połowa z nich pozostała na zawsze na polu walki, część wskutek odniesionych ran krótko cieszyła się sławą, i tylko nielicznym los pozwolił do samego końca życia dawać współczesnym, w tym także dzieciom i wnukom, świadectwo o bohaterskim czynie zbrojnym.

Ówczesna Europa nie tylko omawiała podobne wydarzenia. Jak świadczą współuczestnicy, bitwa zrodziła również romantyczne plotki, które krążyły po wszystkich dworach królewskich, hiperbolizując wydarzenie. Przy czym ani w Paryżu, ani w Londynie nikt nie miał pojęcia, gdzie owo wydarzenie miało miejsce. Wzmiankę o Hodowie, zawartą w „Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego”, przytoczę na końcu niniejszego artykułu. Niestety, ówczesna informacja o tym sławnym miejscu nie odzwierciedla ducha rycerskiej epoki.

Obecnie Hodów nazywa się Hodiw. Jest to wioska w rejonie zborowskim, na granicy obwodu tarnopolskiego i lwowskiego.

Kazimierz Sarnecki jest jednym z tych, którzy pozostawili dla historii opis tamtej bitwy. Jego „Pamiętniki z czasów Jana Sobieskiego” w opracowaniu Janusza Wolińskiego ostatnio zostały wydane w 2004 roku. Jest to dzieło, którego treść znają jedynie fachowcy. A szkoda, bo zawiera ono nie tylko wiele cennych informacji, ale także fakty, w które trudno dziś uwierzyć.

Historycy są zdania, że Tatarów było ponad 40 tysięcy. Jednak ponieważ bitwa pod Hodowem od początku owiana była legendą, współcześni w rozmowach zwiększali ową liczbę try a nawet czterokrotnie. Nawet sam król Jan III

Sobieski, fundując pomnik na polu bitwy (patrz zdjęcie obok), nakazał na łacinie napisać:

„Bogu Najwyższemu na chwałę, potomności na pamiątkę, bohaterom polskim na przykład, wrogom ojczyzny na hańbę, wzniosł mnie najjaśniejszy Jan III Sobieski, król Polski, na tym miejscu, na którym Polacy pod wodzem Zahorowskim, osaczeni w płotach, odparli 70 000 Tatarów, z wielką klęską nieprzyjaciół, a swoich żadną. Dnia 5 czerwca 1694 roku.”

Pomnik zachował się do dzisiaj. Z okazji 320. rocznicy bitwy został odnowiony pod patronatem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Data bitwy i ilość Tatarów na napisie nie do końca odpowiadają prawdzie historycznej, ale ważne jest to, że pomnik przetrwał.

Pod koniec wiosny 1694 roku Tatarzy Gazy Gereja ruszyli w pochód po terenach Rzeczypospolitej. Do- konywali grabieży i brali w jasyr miejscową ludność. Jednym z miast na ich drodze był Kamieniec, pod którym, według przekazów, udało się im zdobyć wozy z dobrem miejscowej szlachty.

Cały szlak pochodu Tatarów to szlak walk i starć nie tylko z miejscową ludnością, ale i także z oddziałami husarii. Do pierwszej większej bitwy doszło poza Hodowem. Jak wspomina Kazimierz Sarnecki: *„rozumiejąc, że się z zagonem potykają, wsiedli zaraz na ich przednią straż, z którą się mężnie startłszy i murzów dwóch z między nich wziąwszy, ze wszystkich stron od tłumów tatarskich ogarnieni zostali. Nie widząc zatem innego sposobu, do wsi Hadowa ustępowali”*. W tym starciu został wzięty do niewoli Mikołaj Tyszkowski, dowódca Szańca Panny Maryi. Wkrótce został wykupiony z niewoli i kontynuował walkę z nieprzyjacielem. Szańce Tyszkowskiego wchodziły do siedem chorągwi, które broniły Hodowa. Oprócz wspomnianych wojów walkę toczyli także husarzy z Okopów Świętej Trójcy, którymi dowodził Konstanty Zahorowski.

Tatarski ostrzał z łuków był tak silny, że po ich wycofaniu się nzebierano kilka wozów strzał. Bohaterska obrona Hodowa wywarła na intruzach tak mocne wrażenie, że zaczęli się wycofywać. Dla Tatarów była to całkowita kompromitacja.

Pierwsze chwile walki okupione zostały przez Polaków krwią trzynastu towarzyszy. Ilość poległych pocztowych nie jest znana. Jednak ilość ofiar po polskiej stronie wzrosła do kilkuset – żołnierze umierali wskutek ran i doznanych obrażeń. Wśród zmarłych w pierwszych dniach walki był

także dowódca Konstanty Zahorowski. Niestety, nie jest znana ilość ofiar po stronie tatarskiej. Jednak zgodnie z przekazem był ich nie jeden tysiąc.

Ostatecznie wydarzenie pod Hodowem skończyły się wykupieniem z niewoli Tyszkowskiego i postawieniem na polu walki wspomnianego wyżej pomnika, który stoi do dziś.

W „Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego”, który został wydany pod redakcją Filipa Sulimierskiego (Warszawa, 1880 r.), t. 3, str. 87 znajdujemy taki oto opis miejscowości Hodów:

„Hodów (z Józefówka), pow. złoczowski, o 5 km na wschód od Pomorzany, przestrzeń posiadł. większej 1744 m., w tem lasu 713 m.; włościanie 2503 m. a. m.; ludność 1175, w tem rzymsk.-kat. 59, gr.-kat. 960, reszta Izraelici. Sad pow. Złoczów, rzym.-kat. parafia i urząd pocztowy Pomorzany, gr.-kat. parafia w miejscu, należąca do dekanatu złoczowskiego diecezji lwowskiej, szkoła etatowa o 1 nauczycielu należąca do rady szkol. okręg. w Złoczowie, kasa pożyczkowa z funduszem 311 zł. a. w. Włość ta pamiętna jest w dziejach kraju nadzwyczajnemu męstwem małego oddziału polskiego wojska i poniesionej klęsce przez Tatarów w r. 1694, którą uwieczniają gęste mogiły wznoszące się na pobojowisku a w samej wsi na wzgórzu wśród włościańskiego ogrodu, pomnik kamienny w kształcie piramidy z żelaznym krzyżem u góry, postawiony przez króla Jana Sobieskiego. Mianowicie w roku 1694 wpadła zgraja Tatarów na Ruś i rozniosła śmierć i pożogę aż pod Złoczów. Mały oddział polskiego wojska, liczący tylko 600 jeźdźców pod dowództwem pułkowników Zaborowskiego i Tyszkowskiego, został od armii het. Jabłonowskiego odcięty, i był już za stracony poczytany.

Z orężem w rękę torowała sobie atoli ta mała garstka Polaków drogę od Dniestru przez tłumy licznych nieprzyjaciela aż do Pomorzany, w celu złączenia się z hetmanem pod Lwowem, gdy oto około włości Hodowa od dziczy tatarskiej została obkoczona. Strudzeni rycerze szykują się pomiędzy rowy i zarosła do boju, przedsięwzięwszy bronić się do ostatniego. Ze wszystkich stron wałęsali się na nich tłumy Tatarów, którym jednak ci nadzwyczajni dają opór. Po bohaterskiej walce proponuje im Tatarzyn, aby zaniechali niepodobnej obrony, a raczej poddali się: «My czekamy śmierci» była to jedyna odpowiedź. Dowódca Tatarów rozkazał więc nowy atak, lecz ta mała garstka szerzy wśród nich nowe zniszczenie. Za zbliżeniem się nocy odstąpił na koniec nieprzyjaciół swojego zamiaru, czem oblężeni ośmieleni puścili się za nimi w pogoń, i jeszcze wiele szkody im narobili. Ten pamiętny dzień tak nierównej walki, która bez piechoty, bez dział i bez zabezpieczających wałów wypadła na stronę słabszych, jest podobny do walki pod Termopylami; albowiem i tu mała garstka swoim poświęceniem się i męstwem uratowała tysiącom ziomków życie i wolność. Spółczesny Franciszek Puławski pisze:

«Gdy 1695 r. najechali Tatarzy kraje ruskie, przeryniając się Jan Zachorowski i Tyszkowski w 600 towarzyszy przez chmury pogaństwa, obkoczeni w Hodowie, odpierali spoza płotów i z parowów gwałtownie nacierających nieprzyjaciół. Wezwani do poddania się, odpowiedzieli: myśmy po śmierć w te wąwozy przyszli. Po



6-godzinnej walce, cofnęli się najeźdźcy; blisko 4.000 Tatarów na placu było, od tak małej garści ludzi naszych; zabitych zaraz Tatarowie w chałupach palili. Naszych 13 zabito, ale nie było żadnego, żeby nie miał kilku postrzałów. Tak wszechmocność Boska, cnota nie liczba męstwu polskiemu, dla zaszczytu wiary i narodu chrześcijańskiego, insultom pogańskim odpór dać mogła».

Na powyższej wspomnianym pomniku jest opis czytelny stoczonej bitwy, a w miejscowej cerkwi przechowuje się ewangelia z takowym na brzegach opisem:

«Praesens inscriptio exarata reperitur in colono in medio villae Hodow stante, haud procula a nemore Hodowczyk vocitato, unde et villa Hodow suam denominationem ducit, in memoriam ut infra, D.O.M. ad gloriam, posteritati ad majorem, Polonis heroibus ad exemplum, hostibus patriae ad ignominiam, erexit me seren. Joannes III Sobieski rex. Pol. in loco hoc, in quo soli Poloni duce Zaboroscio, septuaginta milia Tartarorum, intra septa occlusi, represserunt cum ingenti clade hostium, suorum nullo die 5 junii 1694. In hac pugna dux praefatus Zaborowski sagitta vulneratus a Tartaro, in spatio 3 dierum fatis concessit et in caemetario Pomorzanensi ad S. Trinitatem rit. lat., sepultus est, ad cujus memoriam tam praeclarorum gestor, temerata mater, tune temporis possesor Pomorzanensis, propriis sumptibus curavit a seren, rege Joanne III Sobieski, hanc columnam erigi.»

Majątek ten należący przedtem do Sobieskich został własnością Kulczyckich. Honorata z Kulczyckich wniosła go w posagu w dom Głowackich; przez Władysława Głowackiego, sprzedany został Mojżeszowi Parnesowi izraelicie, od którego w roku 1879 nabył go Stanisław hr. Potocki, właściciel Brzeżan i Pomorzany, i przyłączył go napowrót do klucza pomorzańskiego.

Przy czym najczęściej – także z ust Polaków, którzy w niej walczyli – padała liczba 40 000. Taką też wielkością operował król Jan III Sobieski, gdy 4 sierpnia 1694 roku opowiadał o tej bitwie Mikołajowi Złotnickiemu. W tej samej rozmowie padła informacja: «naszych czterystu ludzi, którzy tak mężnie i walecznie 40 m. (czyli 40 000) ordy obronili się.» ■

ZA ZDRADĘ BRACI ROBOTNIKÓW I CHŁOPÓW – ŚMIERĆ

Czworo Polaków, którzy w czasie wojny polsko-bolszewickiej próbowali przedostać się przez linię frontu do odrodzonej ojczyzny, po schwytaniu ich przez bolszewików zostali rozstrzelani jako wrogowie władzy robotniczo-chłopskiej.

W 1919 roku grupka przyjaciół z Kijowa: Jan Stamerowski, Jan Lasota oraz Antoni Wołowski z narzeczoną Katarzyną Fornal postanowiła uciekać z zajętej przez Armię Czerwoną sowieckiej wówczas Ukrainy. Planowali przedostać się przez linię frontu polsko-bolszewickiego do ojczyzny i rozpocząć w niej nowe życie. Ta myśl zrodziła się im w głowach, gdy dowiedzieli się o powstaniu państwa polskiego.

Ich historia nie była odosobniona. Wielu mieszkańców ówczesnej Ukrainy próbowało ratować się ucieczką przed panującą anarchią. Między 1917 rokiem i połową 1919 roku władze w Kijowie zmieniały się około dziesięć razy. Każda zaś zmiana oznaczała represje, pogromy i rabunki. Sytuację pogarszała, trwająca od ponad pół roku, wojna polsko-bolszewicka. Szerzyły się pogłoski, że z powodu konfliktu między komunistyczną Rosją a odrodzoną Polską przebywający w Kijowie bolszewicy szczególnie źle traktują Polaków.

Obawiając się o swoje życie, bohaterowie naszej opowieści obmyślili plan przedostania się do odrodzonej ojczyzny. Cała czwórka była obywatelami Królestwa Polskiego – państwa powstałego pod protektorem Niemiec i Austro-Węgier w 1917 roku. W Kijowie Królestwo Polskie było reprezentowane przez Sekcję Polską Królewsko-Holenderskiego Konsulatu Generalnego. Poddanym Królestwa wydawano tzw. listy ochronne, potwierdzające ich przynależność narodową i religijną, zawód, stan cywilny i posiadanie dzieci. Na podstawie zachowanych dokumentów udało się ustalić, iż Antoni Wołowski, s. Stefana, pochodził z Lublina i urodził się w 1887 roku. Ta data budzi co prawda pewne wątpliwości, bo dalej w liście ochronnym pojawia się informacja, iż ma 22 lata. Z kolei Katarzyna Fornal, c. Michała, miała 25 lat i była zameldowana w miejscowości Bliżyn w guberni radomskiej. Natomiast Jan Stamerowski, s. Romana, pochodził z Warszawy i miał 25 lat. Do Kijowa przybył w 1918 roku z legionami Piłsudskiego i był krawcem. W przypadku Jana Lasoty, s. Stanisława, nie zachowała się informacja o jego wcześniejszym miejscu zamieszkania w Polsce. Wiadomo tylko, że miał 25 lat. Antoni Wołowski i Katarzyna Fornal byli narzeczeństwem i pracowali jako kelnerzy, być może nawet w tej samej restauracji. Wszyscy mieli roczne zezwolenie na pobyt czasowy w Kijowie.

Ich decyzja o przedostaniu się do Polski oznaczała konieczność przedzierania się przez linię frontu. W momencie ich wyjazdu – w lecie 1919 roku – polskie oddziały kontynuowały zacięłą walkę na Białorusi. 8 sierpnia po sześciogodzinnym starciu z Armią Czerwoną udało się zdobyć Mińsk. Ukraina niemal w całości znajdowała się w rękach bolszewików, ale walka nie przestawała się toczyć w różnych zakątkach kraju. Na południu walczyli anarchiści na czele z Nestorem Machno, tuż obok jednostki carskiego generała Denikina. Na zachodzie Ukrainy – resztki Armii Galicyjskiej, a w centrum kraju – ataman Symon Petlura.

Nie zważając na nic, około 10 sierpnia przyjaciele wsiedli do pociągu na stacji Światoszyń w Kijowie i wyruszyli w kierunku Korostenia na Wołyniu. Od podróżujących władze sowieckie wymagały wówczas specjalnego zezwolenia, które wydawał komitet rewolucyjny. Żeby je otrzymać, trzeba było podać cel podróży i wykazać się lojalnością wobec władz. Mimo iż wiedzieli o specjalnych przepustkach, Polacy zaryzykowali jazdę bez dokumentów. Jak zeznawała później Katarzyna Fornal, po drodze pytali, przez jakie miejscowości można się dostać do linii frontu, omijając jednostki bolszewickie. Bilety kupowali od stacji kolejowej do stacji, by nie rzucić na siebie podejrzenia, iż jadą w dalszą podróż. Przyjaciółom udało się w ten sposób przejechać około 70 km bez większych problemów. Jednak na stacji kolejowej Teterew okazało się, iż bez przepustek nie kupią biletów. Do pociągu udało im się wsiąść dopiero, gdy Wołowski dał konduktorowi łapówkę.

W Olewsku na Wołyniu, około 230 km od Kijowa, ich podróż się skończyła. Zostali aresztowani przez żołnierzy Armii Czerwonej i przekazani Czece. 13 sierpnia odbyło się przesłuchanie. Wszyscy zatrzymani oświadczyli, iż powodem ich ucieczki z Kijowa były trudna sytuacja materialna, w której się znajdowali, oraz obawa przed represjami w związku z ich polskim pochodzeniem. Antoni Wołowski zeznał, że słyszał, iż w Kijowie mają się zacząć prześladowania Polaków. Ponieważ, jak uważał, w Polsce bardzo chętnie przyjmują Polaków z Ukrainy, namówił swoich przyjaciół, by przez linię frontu przedostali się w rodzinne strony.

Na wyrok nie trzeba było długo czekać. Już 14 sierpnia wydano decyzję o losie czwórki uciekinierów. Jak wynika z akt sprawy, w toku śledztwa ustalano tylko okoliczności „przestępstwa”. Samego zaś faktu „przestępstwa” nie trzeba było nawet udowadniać. Jedyne czego należało się dowiedzieć, to co oskarżony robił do rewolucji w lutym 1917 roku, czym się

zajmował od lutego do rewolucji październikowej, od rewolucji październikowej do zajęcia Kijowa przez bolszewików, jaki ma stosunek do Symona Petlury. Na tej podstawie śledczy wnosił o wyrok.

Śledczy prowadzący sprawę czwórki Polaków okazał się bezlitosny. W wydanej przez niego uchwale czytamy:

UCHWAŁA

14 sierpnia 1919 roku ja, Śledczy Osobowego Wydziału XII Czerwonej Armii, rozpatrzyłem sprawę obywateli: 1) Fornal Katarzyny Michajłowny, 2) Wołowskiego Antona Stepanowicza, 3) Stamerowskiego Jana Romanowicza i 4) Lasoty Jana Stanisławowicza;

POSTANAWIAM:

Wymienieni obywatele – polscy poddani zostali zatrzymani w strefie przyfrontowej w trakcie dokonywania próby przejścia przez linię frontu na stronę polskich bandytów.

Dochodzenie ustaliło, że owi obywatele pojechali z Kijowa w obawie przed prześladowaniami ze strony władz radzieckich i w celu znalezienia sobie ochrony i azylu u polskich białogwardzistów-ziemian.

Nie posiadali zezwolenie na przejazd i w tajemnicy wyjechali ze stacji Światoszyńno. Na ST. Teterew przekupili konduktora, który posadził ich do pociągu.

Traktując ów uczynek jako zdradę i krzywoprzysięstwo w stosunku do swoich braci robotników i chłopów, kierując się myślą, iż przy przekroczeniu frontu mogli oni powiadomić wroga o ilości i miejscu dyslokacji naszej armii, uważam za konieczne zastosować w stosunku do obywateli Fornal, Wołowskiego, Stamerowskiego i Lasoty, jako do wrogów Robotniczo-Chłopskiej Władzy i zdrajców – najwyższy wymiar kary.

UCHWALAM więc :

Sprawę przekazać Dowódcy Osobowego Oddziału XII Czerwonej Armii w celu wydania końcowego wyroku.

Śledczy Osobowego Oddziału – podpis

Wart podkreślenia jest fakt, iż nie jest to uchwała sądu, tylko decyzja jednego człowieka.

Pod uchwałą podpisaną przez śledczego widnieje rezolucja dowódcy Wydziału Osobowego, w której zaznacza się, iż uchwała jest zatwierdzona. Dowódca własną ręką dopisał, iż: *„jest możliwe wykonanie wyroku przez rozstrzelanie aresztowanych w warunkach polowych”*.

W sprawie brakuje dokumentów mówiących o dalszym losie Polaków. Prawdopodobnie wyrok został wykonany. Małą nadzieję daje przypisek na końcu

wyroku o przekazaniu sprawy do dowództwa CzeKa w Kijowie.

Ta historia bez wątpienia nie jest jedyną, opowiadającą o losie, który stała się udziałem wielu mieszkańców Ukrainy w tym okresie, i to nie tylko Polaków, ale także przedstawicieli innych narodowości, zwłaszcza Ukraińców. Trzeba jedynie mieć nadzieję, że zbrodnie dokonane przez bolszewików w XX wieku zostaną kiedyś rozliczone przez międzynarodowy trybunał. ■

„Serce boli, a opowiadać trzeba: niechże poznają synowie, jakie błędy popełnili ich ojcowie, niechaj znowu bratają się ze swymi wrogami.”

Taras Szewczenko, *„Hajdamaki”*

JÓZEF ŁOBODOWSKI A UKRAINA

Tematyka ukraińska była stale obecna w pisarstwie Józefa Łobodowskiego – zarówno w jego publicystyce, jak i w twórczości literackiej. Łobodowski był szermierzem idei polsko-ukraińskiego porozumienia w różnych aspektach: duchowym, materialnym, politycznym i socjologicznym. Jedną z idei propagowanych przez pisarza było prawo do istnienia obu narodów: ukraińskiego i polskiego. Łobodowski, z pochodzenia Polak, był jednym z tych ludzi, którzy w XX wieku stanęli ponad nacjonalistycznymi ambicjami i kilkusetletnią nienawiścią dzielącą Polskę i Ukrainę. O postawie pisarza, która świetnie tłumaczy jego twórczość, tak napisała badaczka twórczości Jadwiga Sawicka:

„Poeta miał świadomość zakresu i znaczenia pojęcia «kresowa świadomość». Kresy – była to dla niego przestrzeń wielonarodowa, bogata w znaczenia, otwarta na różnorodność, kształtująca swą własną odmienną kulturę, i zarazem tkwił w niej potencjalny dramat. Z czasem, na emigracji, pamięć Łobodowskiego stworzyła mit tej przestrzeni – przestrzeń sakralną, wieczną”.

Pragnienia Łobodowskiego nie zrodziły się spontanicznie ani przypadkowo, lecz ukształtowane zostały poprzez historię jego rodziny. Ojciec pisarza, Władysław, był szlachcicem z pochodzenia i uważał siebie za potomka Kozaka Łobody. Łobodowski później pisał:

„Otóż ja jako sztubak, dowiedziawszy się o tym, pytałem mego ojca o pochodzenie. A on odpowiedział: «Słuchaj, przecież to tylko wspomnienie, bo w ciągu dwustu kilkudziesięciu lat twoi dziadkowie żenili się z Polkami, więc jaki procent krwi ukraińskiej może być w twoich żyłach? Pół procenta, jeden procent? Ale pamiętaj o tym, bo jest konieczne, aby doszło do porozumienia między obydwoma narodami”.

W wywiadzie dla czasopisma „Spotkanie” (1987, nr 33-34, s. 202.) Łobodowski potwierdził, że ma pochodzenie ukraińskie i pochodzi od niejakiego Kozaka Łobody. Ten wątek znajdujemy w jego wierszach („Złota Hramota”, Paryż 1954, s. 11):

*Potomek smagłych synów, co na szlacheckie Mazowsze
przyniśli oddech stepu i w piachy, ileż jałowsze
od czarnoziemiu bujnego, krwią się wsączali i kośćmi.*

Józef Łobodowski urodził się 19 marca 1909 roku we wsi Purwizki na Suwalszczyźnie. Matka pisarza, Stefania Doborejko-Jarząbkiewicz, pochodziła z Gorzkowa, a jej korzenie rodzinne sięgały od Mazowsza po Żmudź. Choć Łobodowski urodził się w litewskiej wsi, jednak za swoją mityczną ojczyznę uważał Ukrainę. Z Ukrainą zetknął się po bolszewickiej rewolucji w 1917 roku na Kaukazie. Ojciec, Władysław Łobodowski, który był oficerem armii carskiej, został skierowany na służbę do Rosji. Rodzina Łobodowskich

zamieszkała w Moskwie, a w czasie wojny domowej przeprowadziła się na Kubań (północny Kaukaz) do miasta Jejsk. Kubań był zamieszany przez etnicznych Ukraińców, którzy zasiedlili tę ziemię po upadku Sycy Zaporoskiej. Pobyt na Kubaniu i pierwsze, pochodzące stamtąd wrażenia, odcisnęły widoczne piętno na twórczości pisarza. Jego wspomnienia przywołują mityczny obraz ziemi, którego korzeni możemy poszukiwać w Biblii oraz w twórczości polskich romantyków z tzw. szkoły ukraińskiej. Tak o tym pisał poeta:

„Gdzie jak gdzie, ale stare i oklepiane powiedzenie o ziemi «mlekiem i miodem płynącej» tu, na kozackiej Kubańszczyźnie miało realne zastosowanie. Wspaniały czarnoziem, niekiedy głęboki na kilka metrów, rodził pszenicę tak wybujałą, że jeździec na koniu ginął w niej jak w lesie. Zatrząsienie owoców: morele, brzoskwinie, rodzaj śliw zwanych tyczą, a przede wszystkim mnóstwo znakomitych kawonów i melonów... Lud był dorodny, szczery, przyjazny, rozmiłowany w starych obyczajach przeniesionych z głębi XVIII stulecia”.

Stanice wokół miasta przybierały nazwy odpowiednie do nazw toponimicznych na Ukrainie: Połtawska, Humańska itd. Bujność i piękno Kubania-Ukrainy olśniły pisarza, stworzyły grunt do odkrycia jakby dwóch światów: pięknego świata natury oraz strasznego i apokaliptycznego świata ludzi.

Na Kubaniu Łobodowski zainteresował się kulturą ukraińską, poznał ukraiński język, a także mentalność i ducha narodu ukraińskiego. Jednak zachwytowi towarzyszył wielki żal z powodu tragicznych wydarzeń, które nawiedziły Kubań – pisarz był tam świadkiem wojny domowej. Rodzina Łobodowskich, jak wiele innych, znalazła się w skrajnie trudnym położeniu materialnym. Władysław Łobodowski, białogwardyjski oficer, z trudem przedostał się z Moskwy do żony i dzieci, był prześladowany przez bolszewików i kilka lat potem, 4 marca 1922 roku, zmarł. Przyszły pisarz, będąc jeszcze dzieckiem, podjął próbę zarabiania na życie, a za handel samogonem i papierosami, nielegalnie produkowanymi w domu, Łobodowski został aresztowany i dwie doby przesiedział w celi więziennej. W artykule „Uzurpatorzy rewolucji”, zamieszczonym w „Wiadomościach Literackich” (1936, nr 31 /19/), poeta pisał:

„Byłem w Rosji przez najgorętsze lata. Rewolucję przeżywałem na ulicy [...]. Przyjaźniłem się z bezdomnymi dziećmi portowymi ku rozpaczcy moich rodziców, [...] miałem wtedy dwanaście lat [...]. Widziałem, jak Kozacy wieszali bolszewików, a bolszewicy rozstrzeliwali Kozaków. W miesiącach głodu kradłem”.

Przerażające obrazy wojny na Kubaniu wywarły niezatarte piętno na psychice dziecka. W wywiadzie dla Ireny Szypowskiej, opublikowanym w „Od «Atamana Łobody» do «Seniora Lobo»” wspominał:

„Kozacy kubańscy, podobnie jak chłopci ukraińscy, ginęli z głodu, tysiące poszły do łagrów. Inni zginęli w otwartej walce: stacje były bombardowane przez lotnictwo, atakowane przez oddziały pancerne. Praktycznie – Kozaczyzna zginęła”.

Ród Łobodowskich po raz kolejny spotkał się z rosyjskim szowinizmem. Pisarz był świadkiem zlikwidowania Siczy, z której wywodzili się Łobodowscy, śmierci ojca i ostatecznej zagłady Kozaków. Po Powstaniu Styczniowym rodzina była prześladowana nadal – jedenaścioro z dwunastu dzieci jego pradziadka poszło do lasu i żadne z nich do rodzinnego majątku nie powróciło.

Doświadczenia zdobyte w czasach rewolucji Łobodowski wykorzystał w prozie fabularnej, która w dużej części była autobiograficzna. Wyróżnić tutaj można powieści: „Komysze” (1955 r.), „W stancy” (1958 r.) czy „Droga powrotna” (1960 r.). Po śmierci ojca reszta rodziny wyjechała repatriacyjnym transportem do Polski. Wyjeżdżając z Kubania, Łobodowski wywoził ze sobą także świadomość podwójnego pochodzenia i przekonanie o konieczności porozumienia obu narodów.

W wieku 23 lat Józef Łobodowski zadebiutował artykułem „Serca za barykadą”, który ukazał się w czasopiśmie „Trybuna” (1932 r.). W 1987 roku wyznał w wywiadzie dla pisma „Spotkania”:

„To było moje pierwsze wystąpienie wzywające do zgody między Polakami i Ukraińcami”.

Łobodowski znalazł w Lublinie środowisko bardzo przyjazne dla dalszej działalności. Miasto łączyła z Ukrainą kilkusetletnia tradycja. To tutaj w latach międzywojennych spotykali się od czasu do czasu poeci tzw. szkoły praskiej: Natalia Chołodna-Liwyc'ka, Oleksandr Ol'ycz, Jewhen Małaniuk, Jurij Klen i inni. Jako młody poeta, Łobodowski poznał Czechowicza, który tłumaczył poezję ukraińską i zachęcał młodego debiutanta do dalszej pracy.

Słyszany z radykalnych poglądów i zachwycający się lewicowymi ideami, Łobodowski w 1933 roku niespodzianie trafił do wojska i został skierowany do szkoły podchorążych w Równem. Pobyt w tej szkole zaowocował nowym zainteresowaniem poety Ukrainą i ideami ukrajinofilskimi. Bardzo drażliwą dla niego sprawą był fakt kierowania całą kompanią podchorążych przez dońskiego eks-Kozaka, który przeszedł ze swoją sotnią na polską stronę. W Równem Łobodowski zakochał się w Zuzannie Ginczance, poetce pochodzenia żydowskiego, która mieszkała tam z babcią. Zamordowanej w czasie drugiej wojny przez nazistów Zuzannie, Łobodowski zadedykował później tomik swoich wierszy „Pamięci Sulamity” (1987 r.), a także wiele innych wierszy miłosnych.

W 1934 roku Józef Łobodowski próbował popełnić samobójstwo. Motywu tego czynu do końca nie wyjaśniono, ale do emocjonalnych wspomnień związanych z Ukrainą dołączyło się jeszcze jedno dramatyczne wspomnienie. Samo przebywanie poety na ziemiach ukraińskich kojarzyło mu się z mitycznym losem, który ciążył nad nim jak fatum. Na wykreowany przezeń obraz

własnego losu składały się: wiara w swoje kozackie pochodzenie, pobyt w Kubaniu, bycie świadkiem rzezi kubańskich wiosek, dokonanej przez bolszewików, miłość w Równem i próba samobójstwa. Po powrocie do Lublina, Łobodowski łączył pracę ze studiami nad kulturą i historią Ukrainy, jak również badał ówczesną sytuację narodu ukraińskiego. Poeta prowadził styl życia podobny, jak mniemał, do kozackiego: hulanki, pijaństwo, burzliwe miłości itd., przez co zyskał opinię „kozackiego atamana”.

W 1935 roku Łobodowski przekroczył granicę polsko-radziecką, aby naocznie przekonać się o prawdziwości pogłosek o głodzie na Ukrainie. Należąc do lewicy, podtrzymywał kontakty z Komunistyczną Partią Zachodniej Ukrainy i brał udział w polsko-radzieckich kontaktach literackich. Wtedy Łobodowski dostrzegł prawdziwą twarz komunizmu, gdy zorientował się, że partia podporządkowuje sobie literaturę i traktuje ją jako narzędzie ideologicznej propagandy. Łobodowski dobrze wiedział, że po zniszczeniu Ukrainy nastąpi zniszczenie Polski. Po raz drugi zobaczył, jak z bolszewickich rąk ginie Ukraina. Tymczasem na Zachodzie umacniał się hitleryzm, rzucając swój złowrogi cień na Polskę. Oczywiście wrócił całkowicie wyleczony. Chociaż niektórzy krytycy tę niebezpieczną wyprawę uważali za wymysł poety – była ona konsekwencją jego żywiołowego charakteru. O pobycie w Kijowie poeta mówił także w wywiadzie dla pisma „Spotkania”:

„Poza tym ja widziałem rzeczywistość... Odejsie moje od lewicy też było związane ze sprawami ukraińskimi. Między innymi przyczyniła się do niego wiadomość o głodzie na Ukrainie, który został zorganizowany przez władze sowieckie w roku 1932”.

Widzimy, że zainteresowanie Łobodowskiego Ukrainą rozwijało się coraz bardziej. Po zerwaniu z komunizmem, twórca zdecydowanie opowiedział się za obroną spraw ukraińskich. Dostrzegamy to w licznych artykułach publicystycznych oraz utworach lirycznych. Początkowo pisarz krytykował politykę narodowościową rządu polskiego wobec Ukraińców, a po podpisaniu przez rząd umowy normalizacyjnej z przedstawicielami mniejszości ukraińskiej w 1935 roku, popierał dążenia do zbliżenia obu narodów i brał udział w wielu związanych z tym projektach. W 1934 roku otrzymał zamówienie od Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie na przekład utworów Tarasa Szewczenki – z okazji przypadającej w 1936 r. siedemdziesiątej rocznicy śmierci poety. To była pierwsza cegiełka położona przez Łobodowskiego pod budowany w świadomości Polaków obraz kultury ukraińskiej. Poeta pragnął też ukazać więzi i wzajemne oddziaływanie kulturowe obu narodów. Przy Instytucie pracowała Komisja Badań Zagadnień Polsko-Ukraińskich, do której weszli wybitni uczeni z obu stron. Efektem tej działalności było złożenie przez Łobodowskiego-tłumacza w 1939 roku, w wydawnictwie F. Hoesicka, antologii literatury ukraińskiej. Łobodowski tłumaczył utwory poetów ukraińskich: Pawła Tyczyny, Jewhena Małaniuka, Ołęga Ol'ycz i wielu innych. Antologia nie ukazała się jednak z powodu wybuchu wojny. ■

Uchwałą Sejmu RP rok 2014 ogłoszono „ROKIEM JANA KARSKIEGO”

W Uchwale napisano m.in.: „W 2014 roku przypada setna rocznica urodzin Jana Karskiego, urodzonego w Łodzi jako Jan Romuald Kozielski.

Jubileusz ten stanowi okazję do oddania hołdu jednemu z najwybitniejszych Polaków XX wieku, bohaterowi II wojny światowej, Sprawiedliwemu Wśród Narodów Świata, obywatelowi Stanów Zjednoczonych, Honorowemu Obywatelowi Państwa Izrael, często dziś określanemu jako «człowiek, który chciał powstrzymać Holokaust».

Jan Karski pełniąc rolę emisariusza Polskiego Państwa Podziemnego dostarczył w roku 1942 przywódcom i rządowi państw alianckich udokumentowany raport o tragicznej sytuacji i planowej eksterminacji Żydów prowadzonej przez niemieckich okupantów. W raporcie znajdowała się także prezentacja Polskiego Państwa Podziemnego oraz jego unikalnego charakteru w skali okupowanej Europy. Po wojnie osiadł na stałe w Stanach Zjednoczonych, związany karierą akademicką z najstarszą katolicką uczelnią w USA, Uniwersytetem Georgetown w Waszyngtonie.

Świadectwo życia, misji i dzieła uczyniło profesora Karskiego wybitną postacią w skali międzynarodowej, a bogate dziedzictwo jakie pozostawił posiada wymiar ponadczasowy, będąc moralnym drogowskazem dla przyszłych pokoleń.”

Jan KARSKI (Jan Kozielski) ur. 24 kwietnia 1914 r. w Łodzi, zm. 13 lipca 2000 r. w Waszyngtonie.

W międzywojennej Polsce ukończył wydział prawa i studium dyplomacji oraz szkołę podchorążych. Po wybuchu wojny trafił do niewoli, jednak udało mu się zbiec i podjąć działalność konspiracyjną. Ze względu na doskonałą pamięć i znajomość języków obcych powierzono mu obowiązki politycznego emisariusza władz Polskiego Państwa Podziemnego.

W czasie jednej z misji do Francji został aresztowany przez Gestapo. Po brutalnych przesłuchaniach próbował popełnić samobójstwo obawiając się, że podczas kolejnych tortur może zdradzić Niemcom istotne informacje o polskim Podziemiu. Odratowany, trafił do więziennego szpitala, z którego został odbity dzięki pomocy polskiego Związku Walki Zbrojnej.

Przed wyjazdem w kolejną misję Jan Karski zainteresował się losem poddanych eksterminacji Żydów. Zbierając informacje na ten temat, dwukrotnie przedostał się do warszawskiego getta, a także do obozu przejściowego w Izbicy, z którego Żydzi kierowani byli do obozu w Bełżcu.

W 1942 pod pseudonimem Jan Karski, którego odąd będzie stale używał, wyruszył do Wielkiej Brytanii, skąd został wysłany do Stanów Zjednoczonych. Miał przedstawić aliantom o sytuacji Polskiego Państwa Podziemnego. Jednym z jego głównych zadań było także poinformowanie społeczności międzynarodowej o tragicznej sytuacji ludności żydowskiej pod okupacją niemiecką. Wstrząsającą relację naocznego świadka przekazał amerykańskim i brytyjskim politykom, dziennikarzom i artystom. Spotkał się między innymi z ministrem spraw zagranicznych rządu brytyjskiego – Anthonyem Edenem oraz z prezydentem USA

– Franklinem D. Rooseveltem. Jednak dramatyczne apele emisariusza o ratunek dla narodu żydowskiego nie przyniosły rezultatów – większość rozmówców nie dowierzała jego doniesieniom lub je ignorowała.

Po wojnie Jan Karski zdecydował się pozostać na emigracji w Stanach Zjednoczonych. Podjął studia z zakresu nauk politycznych i obronił doktorat na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie, gdzie przez dalsze czterdzieści lat wykładał stosunki międzynarodowe i teorię komunizmu. Wśród jego studentów znalazł się między innymi przyszły prezydent Bill Clinton.

Jan Karski był również autorem kilku książek. Publikacja o działalności polskiego państwa podziemnego („Story of a Secret State”), opublikowana w 1944 r. w USA stała się wkrótce bestsellerem i została przetłumaczona na wiele języków.

W ostatnich dwudziestu latach życia Jan Karski powrócił do swojej „nieukończonej misji”, wielokrotnie opowiadając na spotkaniach w Ameryce, Izraelu i w Polsce o masowej eksterminacji ludności żydowskiej w czasie wojny i swoich próbach zainteresowania świata tym dramatem. Jan Karski otrzymał wiele prestiżowych wyróżnień – uhonorowano go między innymi tytułem „Sprawiedliwego wśród Narodów Świata”, osiem uczelni polskich i zagranicznych przyznało mu Doktoraty Honoris Causa, był kawalerem Orderu Orła Białego (najwyższego polskiego odznaczenia państwowego) i honorowym obywatelem Izraela. Sam natomiast ufundował nagrodę im. Jana Karskiego i Poli Nireńskiej, przyznaną co roku wspólnie przez YIVO w Nowym Jorku i Żydowski Instytut Historyczny w Warszawie autorom publikacji przedstawiających rolę i wkład Żydów polskich w polską kulturę.

W 2000 r. Jan Karski powołał kapitułę i ustanowił Nagrodę Orła Jana Karskiego dla Polaków, którzy godnie nad Polską potrafią się zafrasować i dla tych, którzy nie będąc Polakami nie pozostają wobec Polski obojętni. Nagroda ma charakter honorowy.

29 maja 2012 roku Prezydent Barack Obama odznaczył Jana Karskiego pośmiertnie Prezydenckim Medalem Wolności, najwyższym amerykańskim odznaczeniem cywilnym.

Z biegiem lat Jan Karski stawał się międzynarodową ikoną walki o godność i prawa człowieka oraz sprzeciwu wobec totalitaryzmów. Niewiele jest we współczesnej historii Polski postaci, które w tak niezwykły sposób uosabiają uniwersalne wartości, takie jak odpowiedzialność za losy bliźnich, odwaga i prawość. Dramatyczny przebieg II wojny światowej, polityka Aliantów i los europejskich, w tym polskich, Żydów, a także wypadki ludobójstwa po 1945 roku, sprawiły, że misja Jana Karskiego pozostała niedokończona i stawia przed nami moralny obowiązek jej kontynuowania. Jan Karski jest bohaterem ludzkości, a jego przesłanie ma fundamentalne znaczenie dla pamięci zbiorowej społeczeństw w Polsce i na świecie.

Wżykorystano materiały z Internetu



Jan Karski

SZKICE DO INTERPRETACJI OBRAZU UKRAINY W LITERATURZE POLSKIEJ EPOKI ROMANTYZMU

Obraz Ukrainy w literaturze polskiej kształtował się w ciągu wieków i na niego wpływały czynniki zarówno wewnętrzne jak i zewnętrzne, tendencje literackie oraz polityczne. Chcąc prześledzić utrwalony stereotyp Ukrainy czy Ukraińca w oczach środowiska literackiego oraz czytelnika w Polsce, nie możemy nie zauważyć przyczyn tworzących go oraz jego ewolucji. Ciężar tematu polega na tym, że stosunki historyczne i literackie obu narodów są bardzo skomplikowane i subiektywne, tak więc nawet w krytyce nie łatwo jest oddzielić uprzedzenia od obiektywnych zjawisk.

Pierwszą wzmiankę o Rusinach znajdujemy w legendzie narodowej Polaków utrwalonej w folklorze ludowym, w której Rusin występuje jako brat Lecha i Czecha. „*Lech, Czech i Rus dają liczne potomstwo, z którego wyrastają narody Europy Środkowej: Polacy, Ukraińcy i Czesi.*” W legendzie zauważamy, że bracia bardzo przyjaźnili się ze sobą, ponieważ Rus zostawia wszystko i razem z Czechem jedzie w gościnę do Lecha. Po długim blakaniu się znaleźli go niezbyt daleko, w sąsiedztwie, ale ta bliskość sprawia, że ich drogi rozchodzą się na skutek różnych waśni. I tak będzie przez wieki. Wspólne dążenia będą ich zbliżać do siebie a konflikty oddalać.

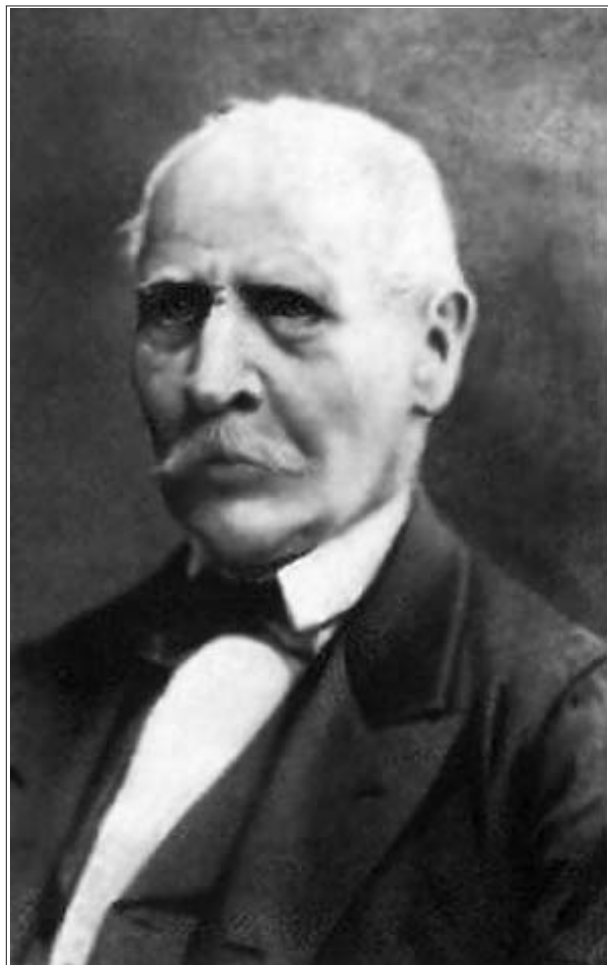
Narastające konflikty sprawiają, że już dzieci uczone są niechęci, a nawet nienawiści; kształtowany jest wzajemny wizerunek. Starcia między obydwoma narodami mają prawie tysiącletnią historię i sięgają czasów Kazimierza Wielkiego, który w latach 1340 – 1349 zdobył Ruś Halicką oraz zachodnią część Wołynia [5:29]. W 1385 roku zawarta została polsko-litewska unia w Krewie i od tego momentu zaczyna się obecność Polski na ziemiach ruskich aż po Morze Czarne. Zaczynają się również problemy Rzeczypospolitej spowodowane przez Kozaków, którzy od końca XIV stulecia zamieszkiwali tereny Zaporozża. Byli to chłopci, drobna szlachta i po prostu plebejusze różnego rodzaju, którzy z tych czy innych powodów opuszczali ojczyste tereny i nie tworzyli odrębnej nacji. Na przełomie XV-XVII wieku Kozacy brali udział w wyprawach na krymsko-tatarskie chanaty w celu oswobodzenia rusińskich jeńców. Tatarzy wraz z innymi narodami – poddany Imperium Osmańskiego, zapuszczali się na Wołyn i Podole, gdzie brali ludzi w tak zwany jasyr. Tatarskie najazdy powodowały, że tamte tereny wyludniły się a jednocześnie rosły w siłę watahy kozackie.

Kozacy urządzali niespodziewany najazdy na łodziach zwanych czajkami.

Aby sprawować kontrolę nad Kozakami, król wprowadza tzw. rejestr kozacki. Kozak rejestrowy stawał się wolnym człowiekiem. W zakres jego obowiązków wchodziła m.in. obrona południowo-wschodnich granic Polski. Pod koniec XVI wieku doszło do kozackich wystąpień przeciwko magnatom, co stało się przyczyną konfliktów i wojen polsko-kozackich. Najsłynniejszym wystąpieniem kozackim była wojna kozacko-polska w latach 1648 – 1654, prowadzona przez Bogdana Chmielnickiego [5:43-44]. Do tego czasu powstania kozackie wybuchały co 15-20 lat i miały charakter lokalny. Okres polsko-kozacki miał także pozytywne znaczenie dla historii wzajemnych stosunków. Na przykład w czasie wojny polsko-tureckiej i polsko-rosyjskiej armia królewska razem z Kozakami walczyła przeciwko wspólnemu wrogowi.

Pierwszym polskim źródłem literackim mówiącym o Ukrainie była książeczka przedstawiciela literatury renesansu Stanisława Orzechowskiego „Baptismus Ruthenorum”, która ukazała się w 1544 roku zarówno w języku polskim, jak i rusyńskim, czyli ukraińskim. Orzechowskiemu przypisywana jest słynna formuła „*genthe Ruthenus, natione Polonus*”, „*wyrażająca w istocie nie tak prosty fakt przynależności narodowej szlachty ruskiej*” [14:184]. Orzechowski podkreśla rusińskie pochodzenia w stylizowanych na język łaciński nazwiskach (Orichovius Roxolanus, Orichovius Ruthenus), i maluje świat Rusinów jako świat prawosławnych chłopów. Artykuły literackie, które kształtowały obraz Ukrainy w społeczeństwie polskim owych czasów, miały charakter polemiczny w stosunku do Unii Brzeskiej i powstania Kościoła greko-katolickiego. W tym czasie obserwujemy tworzenie się mitu ukraińskiego. Pierwsze literackie relacje opisywały czarowne tereny Kresów Wschodnich, idylliczne obrazy życia ich mieszkańców:

„*Найбільш ранньою формою польського зацікавлення українкою були прості описи регіону. Саме такими є два твори, в яких Франко добачає перші напостки української школи*”: „*Panoszą, to jest wystawiania panów i paniąk ziem ruskich i podolskich z męstwa, z*



Seweryn Goszczyński

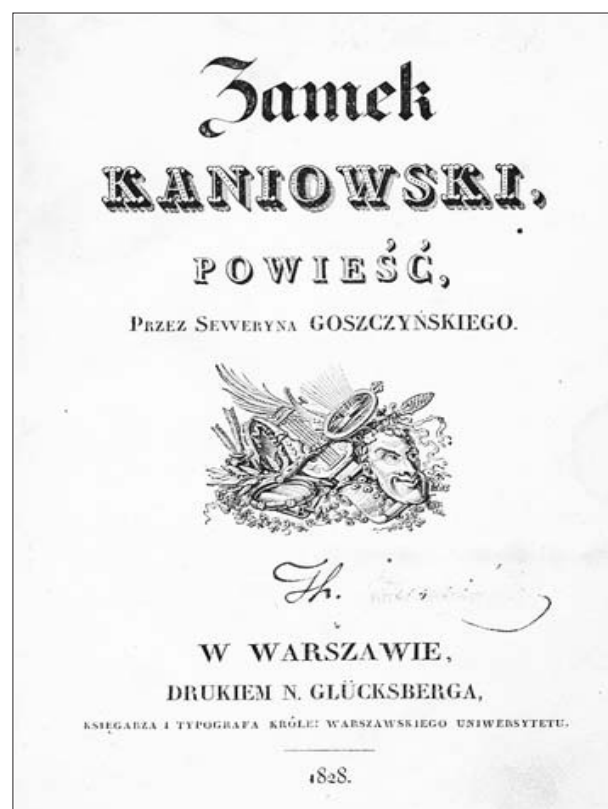
обyczajów i z innych spraw pocziwych» Бартоломея Папроцького — твір геральдичний, у якому подано систематичний віршований опис шляхти цих земель, і «Roxolania» Себастьяна Кльоновича (1584, латиною) — набагато вичерпніший огляд так званої Червоної Русі. Тут увага зосереджується не на шляхті і не тільки на містах, а передусім на докладному описові життя і звичаїв українського селянства» [1:133].

Tradycja opisywania Ukrainy ma dwojakie pochodzenie: jak źródło i skarbnica obrazów opisujących piękno natury, obszar „niezwykłej bujności roślin i zwierząt w połączeniu z odległością i egzotyką tych obszarów rodziła szczególną fascynację pisarzy, zwłaszcza w epokach wyjątkowej wrażliwości na żywioł natury. Stąd Ukraina jako temat pojawia się u nas” [10:82]; i intencje związane z kulturą polską — „na obszarze Ukrainy traktowanym jako «szkoła rycerstwa» ugruntował się polski epos rycerski” [14:183].

Okres ten związany z twórcami jak M. Szarzyński, S. Szymonowicz, B. Zimorowicz i silną idealizacją Ukrainy,

co zadecyduje o skryształizowaniu się konwencji arkadyjskiej i stereotypu „Ukrainy mlekiem i miodem płynącej” [14:184]. I tak w sielance realistycznej S. Szymonowicza „Żeńcy” widzimy obraz przerażającego życia chłopów na łonie pięknej natury. Takie obrazy sygnalizują narastające problemy, dalekie od sielanki. Autorzy wykorzystują w obrazie Ukrainy elementy życia szlacheckiego i chłopskiego w różnych ujęciach. Nieco później obserwujemy rodzenie się tematyki kozackiej („Пісня про козака і Килину” — „Pieśń o Kozaku i Kyłynie” (1625)). Gruntem, na którym wzrasta proukraińska literatura staje się ukraiński folklor.

Powstanie Chmielnickiego 1648 roku powodują ideologiczny zwrot w literaturze związanej z opisaniem Ukrainy. Zaczynają w niej dominować obrazy krwawej, okrutnej wojny i związanych z niej zniszczeń na tle pięknej przyrody. Pojawiają się obrazy bratobójczej walki, Kainowej zbrodni. Rodzące się problemy ujmowane są skrajnie: od gniewu i nienawiści w stosunku do Ukrainy (Białobocki) — do poczucia winy za zaistniały konflikt (Opaliński). Przestrzeń Ukrainy — step, kurhany, Kozacy — jest traktowana jako część Rzeczypospolitej, ale jednocześnie jako coś odrębnego [1]. Prawdziwy charakter Ukrainy — ziemia leżąca na Wschodzie, ogromna przestrzeń bez wyznaczonych granic i bez jakiegokolwiek przynależności kulturowej; cechuje ją odmienna mentalność polityczna i religijna. Te odrębności sprawiają, iż w rzeczywistości Ukraina różni się od Rzeczypospolitej swoją przestrzenią



Strona tytułowa „Zamku kaniowskiego” S. Goszczyńskiego

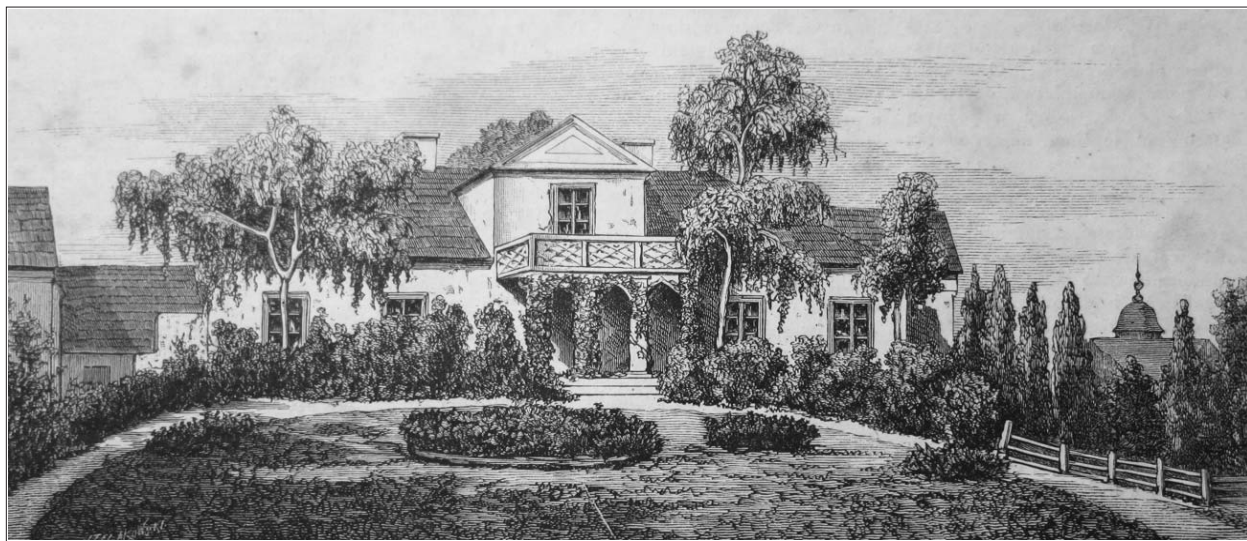


Michał Grabowski

kulturową. Mit ukraiński znajduje swoje zastosowanie i spotęgowanie w epoce romantyzmu. W czasie oświecenia tematyka ukraińska wykorzystywana była rzadko jako przykład narastających konfliktów społecznych, co miało stanowić argument na rzecz reform państwowych. W literaturze romantycznej pojawia się nowy typ bohatera buntownika. Dokonuje się nobilitacja ludowej wizji świata, następuje zainteresowanie historyzmem i orientalizmem, a także zainteresowanie problematyką narodową i polityczną [13:483]. Powoduje to nową falę

zainteresowania tematyką ukraińską, choć w tym przypadku rolę odegrały inne czynniki niż dotychczasowe. Najpoważniejszym z nich jest czynnik polityczny, który od tego czasu staje się atrybutem literatury ideowo skierowanej na Wschód. Badacze stosunków politycznych polsko-ukraińskich mówią o dwóch krańcowych poglądach: „realistycznym” i „prometejskim” [4]. Pierwszy utrzymywał, że normalizacja stosunków z Rosją ma strategiczne znaczenie dla interesów Polski i musi się ona dokonać nawet kosztem innych narodów usytuowanych między Polską a Rosją. Inni zaś uważali, że przyjaźń polsko-ukraińsko-białorusko-litewska jest konieczna do osiągnięcia polskiej idei narodowej (mit Wernyhory jest tego przykładem). Przedstawiciele „prometeizmu”, intelektualiści i politycy, rozwijali tę myśl w literaturze jako ideę wybraństwa, posłannictwa i ofiary ze strony Polski (Polska Mesjaszem narodów).

W tym czasie powstaje pojęcie „szkoła ukraińska”, którą tworzy i reprezentuje szereg poetów i pisarzy, na czele z Antonim Malczewskim, Sewerynem Goszczyńskim, Józefem Zalewskim. Pojęcie „szkoły ukraińskiej” wprowadził krytyk Michał Grabowski artykułem „O szkole ukraińskiej” (1840). Powstanie „szkoły ukraińskiej” było spowodowane również chęcią naśladowania innych literatur (poetów angielskich, „którzy odkryli dla literatury pod koniec XVIII wieku romantyczną malowniczość północnej szkockiej, krainy dzikich gór i jezior, usianej tajemniczymi ruinami zamczysk, a także bogatą mitologię jej ludu” [9:38] – „Szkocji Angielskiej” odpowiada Ukraina – „Szkocja Polska”). Twórcy „szkoły ukraińskiej” kierowali się patriotyzmem lokalnym, gdyż w większości wywodzili się z Kresów Wschodnich. Należeli do niej Antoni Malczewski, twórca powieści poetyckiej pod tytułem „Maria” (1825 r.) i Seweryn Goszczyński autor „Zamku kaniowskiego” (1828 r.) [1:138]. Utwory te stanowią



Aleksandrówka.

Stary dwór ś. p. Michała Grabowskiego nad rzeką Taśminą w powiecie czecheryńskim

początki mitu ukraińskiego. Inną grupę stanowią Józef Zaleski, Michał Czajkowski i Tymko Padura. Ich twórczość ma charakter kozakofilski [2:159].

Pierwszym twórcą, który do literatury romantycznej wprowadził tę tematykę był Józef Zalewski. Pochodził z drobnej szlachty żyjącej na Ukrainie. Piękna przyroda stepów, jary, Dniepr i przekazy o mitycznych Kozakach, kiedyś panujących na tych ziemiach staną się obiektem idealizacji liryka. Idea polityczna poety układa się w myśl: Bóg – Świat – Słowiaństwo – Polska – Ukraina. Iwan Franko skrytykował takie właśnie poglądy polityczne, taki obraz Ukrainy w twórczości zarówno Józefa Zaleskiego, jak i całej „szkoły ukraińskiej” pod koniec XIX wieku: „«Українська школа» в польській літературі по своїм провідним думкам була і осталась більше чужою українському народові, ніж, наприклад, школа литовська. Літературний, посередній вплив її на інтелігенцію в деяких злядях був значніший, але й то більше негативно, ніж позитивно: примір поетів польських тої школи більше вказував на те, як не треба писати для українського народу, ніж як треба.» [6:32;7].

W swojej twórczości Zaleski opierał się głównie na folklorze ukraińskim, w którym dominującym obrazem jest natura i wizerunek wolnego Kozaka. W jego wierszach „Ukraina wdzięcznej, umyślonej naiwności



Antoni Malczewski



Okładka powieści poetyckiej „Maria” A. Malczewskiego

jawiła się jako wyidealizowana kraina wspomnień utraconego raju szczęśliwego dzieciństwa i rzewnej tęsknoty” [9:38]. Późniejsza twórczość Zaleskiego charakteryzuje się skrajnym kozakofilstwem. Naśladując folklor ukraiński, poeta pisze utwory w formie niewielkich dum, w których dominuje koloryt ukraiński. Wykorzystywał także i inne rodzaje piosenek popularnych na Ukrainie np. „wieśniarki” (pieśni śpiewane wiosną). W „Dumce hetmana Kosińskiego”, „Dumce Mazepy”, w „Czajkach” opiewa pełnych fantazji Kozaków i przedstawia ich jako dzikie dzieci natury. U Zaleskiego pojawia się nowy zestaw obrazów: koń-step-Kozak; poeta wprowadza nowe elementy arkadyjskiego toposu. Poprzez pokazywanie kozactwa na tle natury poeta pragnie wytworzyć specyficzny obraz Ukrainy. Istotnym szczegółem jego twórczości jest unikanie w niej tematyki dotyczącej narastających konfliktów polsko-kozackich, a obraz Kozaka ukazany jest przez pryzmat sentymentalizmu. Poeta ukazał lud ukraiński jako całkowicie odmienny mentalnie i kulturowo. Późniejsi reprezentanci „szkoły ukraińskiej” mniej będą zwracać uwagę na mentalność ludu, będą powielać utrwalone stereotypy o Kozakach.

Liryk eksponował koncepcję odwiecznej jedności polsko-kozackiej, wbrew faktom historycznym [2:160]. Literatura ukraińska krytycznie wypowiada się o twórczości Józefa Zaleskiego i o „szkole ukraińskiej” [2:6]. Iwan Franko nazwał działalność Józefa Zaleskiego historycznym fałszem [6]. Kozacy i szlachta na tle pięknej



Szymon Szymonowicz

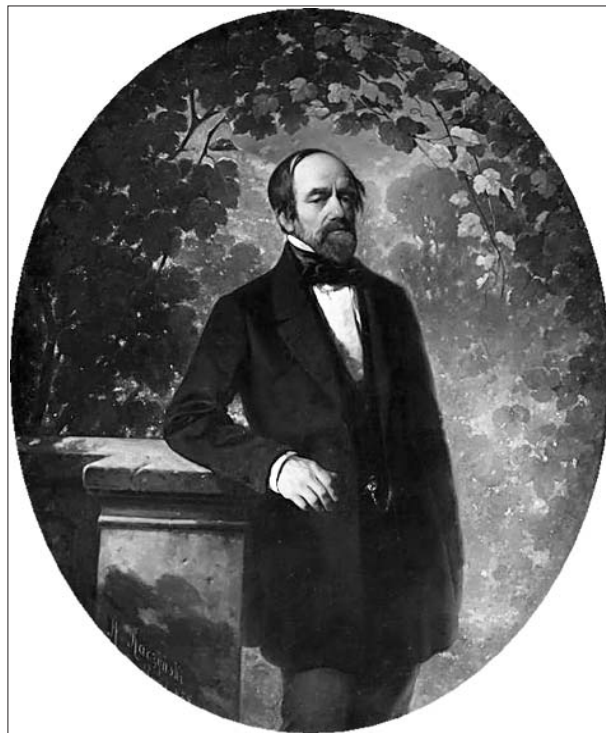
przyrody ukraińskiej, bez antagonizmów wobec siebie, zjednoczeni przeciwko wspólnemu wrogowi – taką Ukrainę widzimy w twórczości Zaleskiego, ale jest jedynie pragnienie a nie rzeczywistość. Ten charakterystyczny dla poety sposób przedstawienia rzeczywistości znalazł kontynuatorów, którzy utrwalali fałszywy mit o Ukrainie.

Kozakofilskie idee dominują także w twórczości M. Czajkowskiego, który uważał się za Kozaka i twierdził, że ma podwójne szlachecko-kozackie pochodzenie. Obraz Ukrainy w twórczości Czajkowskiego ukazany jest przez pryzmat kozaczyzny. Jeśli u Zaleskiego dominuje kozacki sentymentalizm, jedność kozacko-szlachecka i Ukraina pokazana poprzez piękno jej przyrody, to u Czajkowskiego zauważyć można wprowadzanie mitów i utopijnych idei związanych z historią kozactwa.

Ewolucja ukraińskich tematów była ściśle związana ze sprawami natury politycznej. Upadek Powstania Listopadowego i klęska w wojnie z Rosją 1831 stały się impulsem do rozmyślań na temat sposobów wyjścia z sytuacji. Można się pogodzić z myślą, że „*польське козакофілство як таке є, безперечно, синкретичним феноменом, що поєднює не лише літературу, політичну програму і фантазування, але й зародки націоналізму і націотворення*” [2:161]. Właśnie kozakofilstwo stało się ważnym elementem w koncepcjach dotyczących odzyskania przez Polskę niepodległości. M. Czajkowski oraz F. Duchiński i H. Rzewuski wysuwali koncepcje o tworzeniu polsko-ukraińskiej formacji politycznej [11:188]. W powieściach historycznych „Wernyhora

wieszcz ukraiński” (1838 r.), „Hetman Ukrainy” (1841 r.), „Owruczanin” (1841 r.) i in., odradza on potęgę kozacką i ukazuje konieczność realizowania wspólnych planów politycznych. Zwraca uwagę na dany moment w historii jako wyjątkowy i rozstrzygający o losie obu narodów. Michał Czajkowski jako jeden z pierwszych rozciąga wizję przyjaznych stosunków ukraińsko-polskich. Ukraina i Kozacy są w wielkim stopniu idealizowani. Topos śmiałego Kozaka, stepu, kurhanów, konia, oraz batalii, walk, a wszystko to na tle bujnej przyrody – oto obraz Ukrainy we wspomnianych utworach. Ukraina jest miejscem styku dwóch kultur – ukraińskiej i polskiej,

Jednym z wybitnych twórców polskiego romantyzmu polskiego jest Antoni Młczyński, i choć zasłynął zaledwie jednym utworem – poematem „Maria” (1825 r.), tym niemniej ów utwór zasługuje na szczególne omówienie. Utwór nazywany przez krytyków „powieścią ukraińską” w odmienny sposób ukazuje Ukrainę. Za przyczyną autora oczom czytelnika jawi się siedemnastowieczny ukraiński kraj na tle krwawych zmagających kresowych magnatów. Kresy występują tutaj zarówno jako ziemia szlacheckiej tradycji, ale także magnackiej samowoli, szlacheckich rycerzy i zwykłych zbrodniarzy. Lud Polski i Rusiński stanowi społeczną jedność. Ziemia ukraińska nasycona jest typowo romantycznym i sentymentalnym pejzażem, ale także szatańskością i grozą. Nie jest celem Młczyńskiego pokazywanie bujności i piękna przyrody; pragnie zademonstrować „*przytłaczającą ogromem pustkę i ciszę stepowych bezkresów Ukrainy, co wionęły smutkiem*”



Bogdan Zaleski



Juliusz Słowacki

[9:41]. Autor ukazuje pierwotny step, jeszcze nie polany braterską krwią. Kluczowe słowa to „ukraiński wiatr”, „swobodny step”, „smutek”, „los”. Kresy w tym utworze jawią się czytelnikowi jako miejsce, gdzie miłość idzie w parze z tęsknotą, bohaterstwo z podstępem, samotność z filozofią. Piękny bohater na tle stepu, który poszukuje siebie w samym sobie, gubi się w życiowych kolizjach i przestrzeni pozbawionej granic. Autor również nadaje Ukrainie status miejsca, gdzie panują własne, odmienne prawa. Wydarzenia rozgrywające się w przeszłości, oddalenie w czasie i przestrzeni sprawiają, iż ma się wrażenie, że ktoś opowiada nam starą, sentymentalną bajkę, pokazuje rzeczywistość, której już nie ma i która już nie wróci. Obraz szlacheckiej Polski w jej kresowej postaci poprzez fakt, że już nie istnieje, sprawia, iż wzrasta smutek. Malczewski tworzy również w czytelniku obraz współczesnej mu Ukrainy, która tak samo jak pierwotny step – jest pustką. Autor nie przywołuje historii konfliktów narodowościowych, raczej wybiera obrazy budzące melancholię i romantyczne uczucia. Krytycy charakteryzowali powieść „jako jeden z najśliczniejszych i najlepszych utworów, w którym rzecz prosta i zawila, naturalna i okropna, powszednia i głęboka, jak przepaść współistnieją obok siebie” [9:41]. Tymi słowami również można scharakteryzować obraz Ukrainy.

Zupełnie inną twarz Ukrainy widzimy u następnego przedstawiciela „szkoły ukraińskiej” – Seweryna Goszczyńskiego. Najwybitniejszym jego utworem jest powieść „Zamek kaniowski” (1828 r.). Tematem utworu jest powstanie hajdamackie i rzeź humańska 1786 roku.

Autor pokazał Ukrainę w zupełnie innych barwach. Zamiast pięknych obrazów natury i romantycznych Kozaków, widzimy krwawą tragedię, konflikty socjalne i religijne. Powieść była pierwszym utworem, który wskrzesił obrazy grozy, należące do wspólnej przeszłości. „Zamek kaniowski” był przypomnieniem minionych tragedii, kruszył iluzje na temat wspólnej przyszłości. Ukraina nie występuje już jako wspólna ojczyzna Ukraińców i Polaków, a raczej jako piekło stworzone dla obu narodów. Goszczyński zapoczątkował apokaliptyczną i tragiczną wizję, stworzoną na gruncie wspólnej historii. Ostrzega on również Polaków, pokazując ich okrucieństwo i szal nienawiści w stosunku do Kozaków. Obraz wbitych na pal Kozaków symbolizuje rozdartą Ukrainę, na której szlachta nie znalazła wspólnego języka z żyjącym tu ludem, a zemsta Kozaków jest groźnym *memento*: przelana po obu stronach krew niczego nie zmieniła, nie oczyściła, bo konflikty nie można zażegnać przy pomocy krwi.

Epilog do romantycznej powieści o Ukrainie odnaleźć można w twórczości Juliusza Słowackiego, ostatniego przedstawiciela „szkoły ukraińskiej”: „якщо козакофільство є тим тематично і психологічно найпростішим виявом образу України, то його завершення і найвище втілення маємо у творчості Юліуша Словацького” [2:162]. Słowackiego nie można uznać wyłącznie za przedstawiciela „szkoły ukraińskiej” ponieważ w swojej twórczości nie ograniczał się on wyłącznie do tematyki ukraińskiej. Podejmował ją jednak w wielu utworach: „Żmii”, „Wacławie”, „Beniowskim”, „Śnie srebrnym Salomei”. Obraz Ukrainy u dorobku Słowackiego jest skomplikowany, przeszedł etapy ewolucji. Poeta wykorzystał dotychczasowy materiał literacki i współczesne idee u Malczewskiego, Zaleskiego, Czajkowskiego. Od kozakofilstwa w utworach początkowych do „понури-байронічного „Вацлава”, що свідомо наслідує й продовжує „Марію” Мальчевського, до епічного „Беньовського і, врешті, до мітичного шифрування в „Срібнім сні Саломеї” і містицизму, пізніших, незакінчених пісень того самого „Беньовського” [2:162]. Słowacki sakralizuje Ukrainę. Stała się ona ziemią, na której objawia się Bóg [14:187]. Jest to ziemia zarówno miodem i mlekiem płynąca, jak też polana krwią. Mistrz rozwija kozacki mit o Ukrainie, idealizując ją. Jednocześnie maluje obraz ruiny starego ładu, właśnie tego, który miał wiele wspólnego z Polską. Tu występują już „dwie ścierające się narodowości” [14:187]. W „teatrze okropności” Słowackiego, w ukraińskiej przestrzeni dominują dramaty namiętności: okrucieństwo, zbrodnia, zemsta. Fabuła przepleciona jest smutkiem i dramatyzmem. Słowacki utrwala polityczną koncepcję o roli Ukrainy w historii Polski.

Romantycy chętnie przedstawiali świat jako teren działania dwóch przeciwstawnych potęg: Boga i szatana, dobra i zła, mroku i światła. Ukraina – miejsce ścierania się tych potęg, w naturalny sposób staje się atrakcyjnym tematem. Jest jednocześnie piekłem i rajem.

Romantyzm stworzył zmitologizowany obraz Ukrainy, stworzył iluzję ziemi bezkresnej, mlekiem i miodem płynącej, która znajduje się pomiędzy cywilizacją i dziką, bujną przyrodą, i której z nieodmiennym atrybutem jest wolny i śmiały Kozak. Jednocześnie przywołując historyczne wydarzenia – romantyzm uczynił ją także miejscem okropności, walk bratobójczych, krwi przelanej i konfliktów socjalno-religijnych. Poprzez takie przedstawienie Ukrainy romantycy pragnęli zrozumieć tragiczny los Polski i Ukrainy, udowodnić potrzebę polsko-ukraińskiego pojednania. Tematy i motywy ukraińskie w romantyzmie sprzyjały kształtowaniu świadomości narodowej zarówno Polaków i Ukraińców [14].

Motyw kozacki został w nowy sposób zdemontowany w okresie pozytywizmu. Do jego odrodzenia przyczynił się H. Sienkiewicz i jego powieść historyczna „Ogniem i mieczem”. Mimo tego, że autor korzystał ze źródeł historycznych i mimo tworzenia przez niego pozorów, że czytelnik ma do czynienia z relacją



Henryk Sienkiewicz

historyczną, Sienkiewicz także stworzył swoisty mit o Ukrainie, który był zgodny z ideą całej trylogii – „*Ku pokrzepieniu serc*”. Obraz Ukrainy u Sienkiewicza „*wywarł silniejszy wpływ, niż setki tomów rozpraw naukowych*” [8:32]. Dyskusja o stworzonym obrazie ziemi ukraińskiej i stosunkach polsko-ukraińskich nie kończy się i trwa po dzień dzisiejszy. Autor wykorzystał główne motywy „*szkoły ukraińskiej*”: orientalizm w kontekście historyzmu, przyroda i bezmiar dzikich pól i przestrzeni stepowej, kwestię kozactwa i życia szlachty. Z drugiej strony obdarzył Kozaków takimi cechami, jak okrucieństwo, dzikość, szaleństwo, pijaństwo. Sienkiewicz nie upatruje przyczyn konfliktów na Kresach w kwestiach społecznych i religijnych, nie nadaje im charakteru narodowego, traktuje je jako konflikt lokalny między Kozakami i królewskimi kresowymi [14:190]. Powstanie Chmielnickiego traktowane jest przez Sienkiewicza jako wojna domowa, a Ukraina jako część Polski, dla której „*król – ojciec, a Rzeczpospolita – matka*” [12:147]. W finale utworu obraz Ukrainy jest już prawie ukończony. Ukraina jawi się jako oderwana politycznie i ideowo od Rzeczypospolitej formacja kozacko-chłopska, nie jest godna ani podziwu, ani zachwyty (dotyczy to również Kozaków). Pisarz mówi o spustoszeniu Ukrainy i Rzeczypospolitej, a winą za to obarcza Kozaków. Fabuła tworzy negatywny wizerunek Ukrainy jako miejsca, które również w przyszłości będzie zarzewiem konfliktów. Dostrzec to można w symbolicznym epilogu: piękna Helena (Rzeczpospolita) rozstaje się z okropnym Bohunem (kozacką Ukrainą). W podobny sposób rozchodzą się drogi obu narodów. Autor kończy powieść słowami „*nienawiść wrosła w serca i zatrąła krew pobratymczą*” [12:869], podkreślając późniejszy bieg historii.

Pod koniec XIX wieku zainteresowanie historią Ukrainy słabnie. Pisarze zaczynają zwracać większą uwagę na ukraińską kulturę, folklor, wzajemne wpływy. Jednak generalnie w literaturze dominują stereotypy związane z Ukrainą i obrazy, które utrwaliły się wcześniej: stereotyp „Rusin-buntownik-Kozak”, „Ukraina-step-piękna przyroda”, „Ukraina-matka”, „Ukraina-utracony raj”. Opiewając Ukrainę „*tworzono hymny (literackie i malarskie) na cześć człowieka «naturalnego», żyjącego w zgodzie z naturą, człowieka nieskażonego przez cywilizację, wyrażano tęsknotę za życiem bezpośrednim i żywiołowym*” [14:193]. Jak powiedziano wcześniej, ukraińscy krytycy przeważnie ze sceptycyzmem wypowiadali się o „*szkole ukraińskiej*”, zarzucając jej przedstawicielom, że obiektywną prawdę podporządkowują przyjętej tendencji, wiążąc sprawę Ukrainy z polską ideą narodową i intencjami osobistymi. Oprócz wspomnianych krytyków zacytujemy fragment artykułu ukraińskiego krytyka literatury Mykoły Jewszana (Миколи Євшана):

„Можна бути вдячними за таку симпатію поляка до української справи, можна її уважати за один з рідких проявів об'єктивної думки про нашу минувшину. А все ж таки великою наївністю було би дати зловитися на ті сердечні, великодушно-об'єктивні погляди. Навіть якби зробити Залеських українськими патріотами, якими вони хочуть бути, то не забуваймо, що той український патріотизм – частина тільки загальнопольського патріотизму. Нехай вони будуть апостолами згоди і миру, але той мир ніщо інше – як тільки стремління до збільшення стану посідання мирною дорогою. Третяк се називає скромно втіленням людської культури української в широке русло європейсько-польської культури. Практично виконували сю думку товариші Залеського і його приятелі так, що писали українську історію, збирали етнографічні матеріали, робили топографічні студії, слідили обряди і звичаї людські, описували могили, але те все мало служити не *ad maiorem Ucrainae gloriam*, але збагачувати тільки «матеріали до історії і скарби національної літератури» – як каже Грабовський. Отже, така смирна овечка показує вовчі пазури та апетити. Можна подякувати за таке українофільство, але не попадати в телячий захват від нього» [3:327].

Tak skrajnie wypowiedzi jednak nie pomniejszają udziału i roli pisarzy polskich w popularyzacji kultury ukraińskiej daleko poza krańcami samej Ukrainy. Geneza wzajemnej nieufności – z punktu widzenia intencji – należy raczej do kwestii propagandowo-politycznych niż literacko-kulturowych. Jednak dziś, w epoce nowych stosunków polsko-ukraińskich kwestia więzi kulturalno-literackich ma szczególne znaczenia dla historyków literatury i kultury po obu stronach. Jest to bowiem ogromny obszar praktycznie do końca nie zbadany, który może zmienić wzajemne poglądy na zagadnienia literatury ukraińskiej i polskiej. Po odrzuceniu uprzedzeń i historycznych zaszczości będzie można wreszcie dokonać obiektywnych badań wspólnego dorobku i dziedzictwa, co niewątpliwie wzbogaci kulturę tego obszaru Europy.

Dr Jan MATKOWSKI

Przypisy:

1. Autorstwo przypisują Dominiku Rudnickiemu, zob.: M. Возняк, „Із співаника Домініка Рудницького”, НТШ, т. 150, s. 243-252.

2. Józef Tretiak. Tu chodzi o jego pracę: „Bogdan Zaleski. 1802 – 1931. Życie i poezja. Karta z dziejów romantyzmu polskiego”. – Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności, cm. VIII + 500.

3. „Щоб зростала слава України” (лат.)

4. Pawło Hrabowskyj (1864 – 1902), ukraiński poeta i krytyk.

Literatura:

1. Григорій Грабович. „Польсько- українські літературні взаємини: питання культурної перспективи” // Григорій Грабович. „До історії української літератури. Дослідження, полеміка, есеї”. – Київ, 2003. – С. 129-157.

2. Григорій Грабович. „Грані мітичного. Образ України в польському й українському романтизмі” // Григорій Грабович. „До історії української літератури. Дослідження, полеміка, есеї”. – Київ, 2003. – С. 157-179.

3. Микола Євшан. „Богдан Залеський і Україна” // Микола Євшан. „Критика. Літературознавство. Естетика”. – Київ, 1998. – 658 с.

4. Микола Рябчук, „Прометеїсти і реалісти” // Критика. – 2004. – вересень-жовтень. – С. 6-9.

5. Орест Субтельний. „Нарис історії України”. – Львів, 1992. – 510 с.

6. Іван Франко. „Юзеф Залеський (1886)” // Зібрання творів. У 50 т. – Київ, 1980. – т. 27. – С. 23-32.

7. Іван Франко. „Charakterystyka literatury ruskiej XVI – XVII wieku” // Kwartalnik historyczny – 1892. – Т. 6. – С. 693-727.

8. O. Górka. „Ogniem i mieczem” a rzeczywistość historyczna”. – Warszawa, 1934 – 119 с.

9. Janina Kulczycka-Saloni, Maria Straszewska. „Literatura polska. Romantyzm. Pozytywizm”. – Warszawa, 1990. – 548 с.

10. Mansfeld Maria. „Ukraina w poezji Józefa Łobodowskiego” // Spotkania. – 1988. – № 35. – 83-97.

11. Rudnytsky Ivan L.. „Franciszek Duchinski and His Impact on Ukrainian Political Thought”. // „Essays In Modern Ukrainian History”. – Cambridge, Mass. – 1987. – С. 187-201.

12. Henryk Sienkiewicz. „Ogniem i mieczem”. – Warszawa, 1986. – 874 с.

13. „Słownik terminów literackich”, pod redakcją J. Sławińskiego, Romantyzm, Wrocław-Warszawa-Kraków, 2002. – 706 с.

14. Stanisław Uliasz. „Obrazy Ukrainy i Ukraińców w literaturze polskiej” // „O literaturze kresów i pogranicza kultur”. – Rzeszów, 2001. – С. 182-208.

PROFESOROWIE MEDYCYNY POLSKIEGO POCHODZENIA NA CESARSKIM UNIWERSYTECIE CHARKOWSKIM

Uniwersytet Charkowski (obecnie czołowa uczelnia Ukrainy) został założony w 1804 roku i w bardzo krótkim czasie zdobył mocną pozycję nie tylko wśród uczelni Rosji, ale także całej Europy. Pracowali tutaj wybitni uczeni mężowie pochodzący przede wszystkim z Rosji, ale również z Niemiec, Austrii, Francji, Włoch, Wielkiej Brytanii. Rolę szczególną jednak na tym uniwersytecie, jak i w ogóle na całej Ukrainie, odgrywał polski żywioł, niesłychanie czynny pod względem kulturowym, i to we wszystkich sferach życia społecznego prócz polityki, gdzie możliwości Polaków były sztucznie i przymusowo ograniczane przez carat.

Maria Magdalena Blomberowa pisała w artykule „Zbiory, kolekcje, muzea tworzone przez Polaków w Imperium Rosyjskim” („Kwartalnik Historii Nauki i Techniki”, 1997 nr 2):

„Na Ukrainie, gdzie Polacy stanowili niemały procent mieszkańców, wielu miłośników starożytności uwagę swą kierowało na zabytki archeologiczne. Z dostępnych publikacji wynotowałam blisko 40 zbiorów zawierających tę kategorię zabytków. Wśród nich są już dobrze znane w polskim piśmiennictwie, jak np. Ludwika Żytyńskiego w Łahodówce (Łagodówce) w powiecie dubieńskim. Badacz ten posiadał duży zbiór starożytności pochodzący z badań kurhanów epoki kamiennej, kolekcję monet litewskich oraz greckich z kolonii nadczarnomorskich. Aleksander Bydlowski w Nowosiółkach, w powiecie lipowieckim zgromadził kolekcję zabytków z własnych badań wykopaliskowych. Zygmunt Luba-Radzimiński posiadał liczne narzędzia krzemienne znalezione w trakcie badań w miejscowości Siwki oraz w mogiłach wczesno-średniowiecznych zbadanych przez niego w tym powiecie. Zbiory archeologiczne były w posiadaniu Mieczysława Juriewicza w Bersztadzie, w guberni podolskiej, a także u Konstantego Przeździeckiego w miejscowości Czarny Ostrów, pow. Proskurów, Henryka Lipkowskiego w Krasnosiółkach, w powiecie Hajsyńskim i wielu innych miłośników starożytności mieszkających w guberniach określanych wówczas jako Południowo-Zachodni Kraj.

Kijowa jednak nie można potraktować sumarycznie, gdyż w tym mieście znajdowały się znaczące zbiory prywatne i muzea zasilane przez Polaków.

Pierwsze muzeum powołano do życia przy Uniwersytecie w 1837 r. Zaczątkiem jego był gabinet numizmatyczny, którym aż do śmierci w 1845 r. kierował Polak, Paweł Jarkowski, wcześniej bibliotekarz w Liceum Krzemienieckim. Po nim, w latach 1852 – 1865, gabinetem numizmatycznym kierował również Polak, Jakub Wołoszyński, który po przejściu na emeryturę stworzył prywatną kolekcję narzędzi kamiennych z Wołynia oraz z cmentarzysk słowiańskich, które sam rozkopywał.

Pod koniec XIX wieku otworzono w Kijowie Miejskie Muzeum Starożytności i Sztuk Pięknych, w którym dział numizmatyczny kierowany był przez Karola Bołsunowskiego, ten prywatnie posiadał kolekcję medali, pieczęci oraz plomb drohiczyńskich. [...]

Interesujące i cenne zbiory polskiej proweniencji, zwłaszcza numizmatyczne, znajdowały się w Charkowie. Pomieszczone były w bibliotece Uniwersytetu Charkowskiego. Księgozbiór składał się w dużej mierze z książek i całych bibliotek, które jako łup wojenny zabrane zostały z polskich księgozbiorów prywatnych i uniwersyteckich. Gabinet numizmatyczny w Charkowie powstał jako dar Seweryna Potockiego, który podarował przeszło 800 numizmatów. W 1813 r. admirał Czyżagow zabral z Nieświeża, również jako łup wojenny, ponad 13 tys. monet. Wśród nich było 456 monet złotych, przeszło 11 tys. srebrnych, pozostałe miedziane, brązowe i cynowe, także jedna ołowiana, jedna kamienna Paracelsa oraz jedna drewniana Radziwiłła. W 1836 r. przywieziono 1500 monet z Biblioteki Uniwersytetu Wileńskiego.”

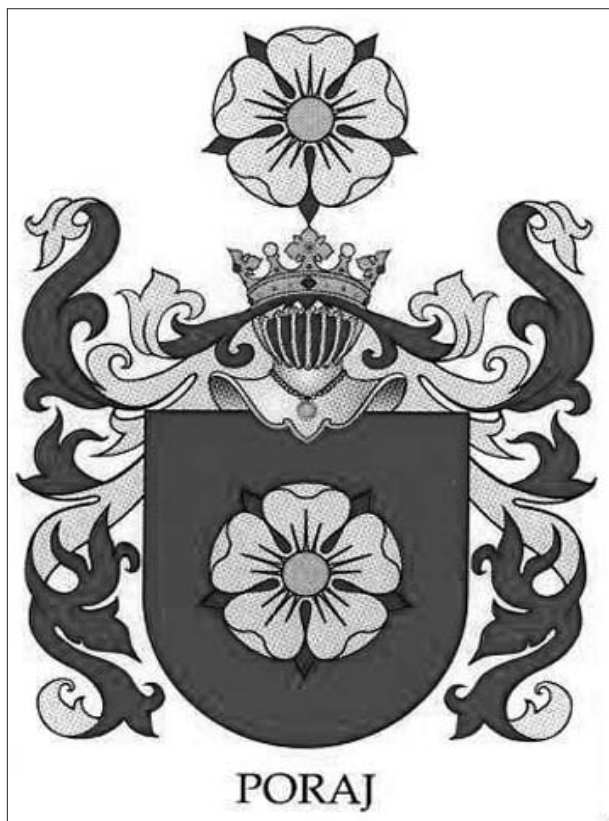
Grabież dóbr kultury polskiej przez Rosjan była potworna, lecz nie ona jest tematem naszych rozważań.

Lista znakomitych lekarzy i profesorów polsko-szlacheckiego pochodzenia na Uniwersytecie Charkowskim, głównej uczelni Ukrainy i jednej z najważniejszych w całym Cesarstwie Rosyjskim – gdyby pokusić się o jej ustalenie – byłaby bardzo długa: Jasiński, Leontowicz, Gan, Dąbrowski, Wiłkomirski, Chrzyszczewski, Rodzajewski, Żebrowski, Frankowski, Szarecki, Dzierżyński itd., itd. Poniżej przypominamy

sylwetki i zasługi tylko niektórych spośród tych działaczy nauki europejskiej.

Napoleon Damianowicz HALICKI (herbu Poraj) przyszedł na świat w powiatowym miasteczku Wilejka guberni wileńskiej. Nauki pobierał w jednej ze szkół pobliskiego Mołodeczna. Po niej studiował w Wileńskiej Akademii Medyczno-Chirurgicznej, którą ukończył z tytułem lekarza weterynarii pierwszego stopnia i został mianowany na etat prosektora zoologii Cesarskiego Uniwersytetu Charkowskiego (1837 r.), gdzie też prowadził dla studentów wykłady z farmakognozji i operatywnej zoochirurgii. Jednym z efektów jego pracowitości i entuzjazmu stało się zorganizowanie przy uniwersytecie szkoły praktycznej weterynarii. Później doktor Halicki prowadził też zajęcia z zoopatologii, zooterapii, zoofarmakologii.

W 1842 roku ten, jakże utalentowany i pilny, młody uczony uzyskał stopień lekarza medycyny, prowadził zajęcia kliniczne i doświadczenia laboratoryjne. Cieszył się ogromną popularnością wśród studentów, gdyż niewiele będąc od nich starszy wiekiem, potrafił znaleźć z młodzieżą akademicką wspólny język, zafascynować ją problematyką naukową. W latach 1847 – 1848 doktor Napoleon Halicki brał udział na terenach objętych epidemią cholery w walce z tą plagą. Tak się wyróżnił mistrzostwem zawodowym, talentem organizacyjnym, osobistą odwagą i ofiarnością, że cesarz osobiście wyraził mu głęboką wdzięczność za tę postawę.



W 1848 roku Halicki został mianowany adiunktem katedry nauk weterynaryjnych, prowadził wiele wykładów, a w 1850 objął dodatkowo dyrektorstwo szkoły weterynarii, prowadząc w niej zajęcia ze wszystkich przedmiotów profilujących. Jego pracowitość była nieprawdopodobna, a zasługi dla Uniwersytetu Charkowskiego – proporcjonalne do niej. W 1856 roku cesarz mianował go dyrektorem Charkowskiej Wyższej Szkoły Weterynarii, które to obowiązki pełnił przez dwie kolejne czteroletnie kadencje; nawiasem mówiąc, szereg zajęć ze studentami prowadził nieodpłatnie, w czym też się zmanifestowała jego wrodzona szlachetność i bezinteresowność, tak przecież charakterystyczne dla ludzi wybitnych.

Energiczny i ruchliwy uczony był też nie raz delegowany do Belgii, Francji, Niemiec, Austrii; cieszył się zresztą szerokim uznaniem jako wybitny lekarz weterynarii i medycyny, a to zarówno w Rosji (jego osiągnięcia nagrodzono wieloma orderami i medalami), jak i za granicą. Doktor N. Halicki był członkiem rzeczywistym i honorowym szeregu rosyjskich i zachodnioeuropejskich towarzystw naukowych. Co ciekawe, de facto nie pozostawił własnych publikacji naukowych, a jego odkrycia i poglądy znalazły odbicie prawie wyłącznie w sprawozdaniach służbowych i konspektach jego studentów. Pochłonięty bez reszty pracami badawczymi, których wyniki natychmiast podawał w swych wykładach studentom, oraz organizacyjnymi, doktor Halicki prawie nie miał już czasu na (bądź co bądź nader pracochłonne) pisanie i redagowanie swych publikacji naukowych. (W 1864 roku ukazała się drukiem jego broszura pt. „O czumie rogatego skota, jak przyczynie nieudowletworitelnego sostojanija naszego skotowodstwa i o mierach dla ustranienija etogo zła”).

W 1867 roku N. Halicki podał się do dymisji, jednak jeszcze przez szereg dziesięcioleci na Uniwersytecie Charkowskim pamiętano o zasługach i działalności tej niepospolitej osobowości.

Teofan Wasiljewicz TICHONOWICZ (Ciechanowicz, herbu Mogiła) ukończył Uniwersytet Charkowski ze stopniem magistra chemii. Początkowo objął stanowisko laboranta pracowni farmaceutycznej, a w 1860 r. został mianowany adiunktem wykładającym chemię i fizykę na wydziale medycznym. W roku akademickim 1864 – 1865, już w charakterze docenta etatowego, rozpoczął wykłady z chemii medycznej dla studentów trzeciego roku studiów. Niebawem, po obronie rozprawy „Istoczniki obrazowanija uglewodow w organizmie żywotnych i wnie jego” zdobył stopień doktora chemii i został (1867 r.) mianowany przez ministra oświaty profesorem katedry chemii i fizyki medycznej, które to funkcje pełnił owocnie przez następne osiemnaście lat. W okresie 1866 – 1867 Teofan

Tichonowicz zorganizował osobny oddział chemii lekarskiej, w którym razem ze swymi wychowankami (słynnymi później profesorami Anitowem, Iwanowem, Danilewskim i in.) zrealizował szereg oryginalnych badań nad rolą siarkowodoru we krwi, nad pochodzeniem siły mięśni, nad detoksykacją organizmów zatrutych nikotyną, kokainą lub alkoholem, nad rolą tlenu w organizmie itp. W periodykach specjalistycznych ukazały się liczne publikacje naukowe Teofana Tichonowicza, że wymienimy tu kilka z nich: „O dozywianiu rastworimogo rtutnogo albuminata i primienieniu jego k podkożnym injekcijam” (1876 r.); „Kriticzeskij razbor sposobow, upotriebiajemych dla dokazatelstwa prisutstwija żiołcznych kisłot w moczie” (1876 r.); „Wozmożno li upotrieblenije salicilowoj kisłoty dla sochranienija ot porczy piszczewych wieszczestw” (1879 r.).

W 1885 roku profesor Teofan Tichonowicz zrezygnował z funkcji profesora Cesarskiego Uniwersytetu Charkowskiego i podał się do dymisji.

Iwan (Jan) Nikołajewicz STANKIEWICZ (herbu Mogiła) pochodził z polskiej rodziny katolickiej; urodził się w guberni kijowskiej w 1832 roku. W 1858 ukończył wydział medyczny Uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie, a następnie przez dwa lata uzupełniał wiedzę na uczelniach Europy Zachodniej. W grudniu 1860 roku pomyślnie obronił rozprawę doktorską, a w lipcu 1861 r. mianowany został docentem patologicznej anatomii i patologicznej fizjologii Uniwersytetu Kijowskiego. W 1863 roku doktor Stankiewicz wygrał (stając do rywalizacji z kolegami Szumowskim i Sokołowskim) konkurs na objęcie katedry farmakologii, a minister oświaty ludowej zatwierdził go 23 stycznia 1864 roku na stanowisko docenta katedry farmakologii Uniwersytetu Charkowskiego. Pod koniec tegoż roku został profesorem nadzwyczajnym, a w 1865 zwyczajnym tejże katedry, na którym to stanowisku pozostawał przez następne osiemnaście lat.

Jak wynika z materiałów archiwalnych, początkowo doktor J. Stankiewicz nie cieszył się ani sympatią, ani szacunkiem kolegów, z biegiem czasu jednak doceniono jego wiedzę, oddanie swym obowiązkom, sumienność i zdyscyplinowanie, jak też okoliczność, że był znakomitym lekarzem praktycznym, obdarzonym intuicją diagnostą i terapeutą. Wykłady budował przede wszystkim na wynikach własnej pracy klinicznej, co powodowało, że studenci je sobie bardzo wysoko cenili i gremialnie stawiali się na zajęcia z profesorem Stankiewiczem.

Spod pióra tego uczonego wyszło kilkanaście poważnych artykułów naukowych, jak np. „Patologoanatomiczeskije issledowanija o razwitii pachionowych granulacij” (rozprawa doktorska, ukazała się jako osobna broszura w 1861 r.); „Ob epidemiczeskich



boleniach”; „Gistologia suchożylij”; „O głąznom zierkale”; „Issledowanije moczi pri tifie” i in. W lutym 1882 roku profesor J. Stankiewicz podał się do dymisji z powodu ciężkiej, przewlekłej choroby.

Iwan (Jan) Pawłowicz ŁAZAREWICZ (dziedziczny szlachcic herbu własnego) przyszedł na świat w guberni mohylewskiej 17 marca 1829 roku. Gimnazjum ukończył w tymże białoruskim Mohylewie, a studia (1853 r.) na Uniwersytecie św. Włodzimierza w Kijowie. Jako znakomicie uzdolniony, sumienny i pracowity człowiek otrzymał szansę stażu przez rok na stanowisku asystenta w uniwersyteckiej klinice akuszerskiej, następnie zaś przez dwa lata piastował urząd młodszego lekarza Kijowskiego Korpusu Kadetów, gdzie też pokazał się z jak najlepszej strony. Nikogo więc nie zaskoczyło, że już w 1856 roku został mianowany zastępcą dyrektora kliniki akuszerskiej Uniwersytetu św. Włodzimierza, a w listopadzie 1857 r. uzyskał stopień doktora medycyny na podstawie rozprawy „De pelvis feminae metiendae rationibus”. Po kilku kolejnych latach był docentem katedry położnictwa tejże uczelni. W latach 1860 – 1861 ponownie pracował w Kijowskim Korpusie Kadetów, tym razem w charakterze starszego lekarza; około pół roku spędził na stażu zagranicznym. Natomiast 25 sierpnia 1862 r. Ministerstwo Oświaty Ludowej Rosji przeniosło go na stanowisko profesora nadzwyczajnego katedry położnictwa, chorób kobiecych i dziecięcych Uniwersytetu Charkowskiego. W tym

czasie J. Łazarewicz był już autorem trzynastu poważnych i obszernych artykułów naukowych w języku rosyjskim, łacińskim i niemieckim. W 1866 roku uczony został obrany honorowym członkiem Londyńskiego Towarzystwa Położniczego oraz członkiem rzeczywistym Petersburskiego Towarzystwa Lekarzy Rosyjskich.

Cieszył się rozgłosem międzynarodowym, wygłaszał referaty na europejskich kongresach naukowych. W kolejnych latach został także wybrany członkiem naukowych towarzystw medycznych Jelisawietgradu, Moskwy, Woroneża, Kopenhagi, Bostonu, Tyflisu, Wiednia, Filadelfii, Helsingforsu. Za niesłychanie interesujące publikacje naukowe, drukowane w wielu językach, z zakresu antropologii rasowej, ginekologii, etnologii, chirurgii, anatomii porównawczej otrzymał m.in. złote medale szeregu towarzystw naukowych. W ciągu 30 lat pracy na Uniwersytecie Charkowskim profesor Jan Łazarewicz opublikował ponad 80 tekstów naukowych także – prócz wyżej wymienionych – w języku angielskim, włoskim i francuskim. Kilka wydań miał jego akademicki podręcznik sztuki położniczej pt. „Kurs akuszerstwa”. Wybitny uczony zakończył żywot 25 lutego 1902 roku.



Mohylew w XIX w.

Ludwik Adolfowicz MAROWSKI urodził się 24 grudnia 1831 roku na Mohylewsczyźnie w polskiej rodzinie wyznania protestanckiego, mającej obywatelstwo saskie. Do gimnazjum uczęszczał początkowo w Mohylewie, ale ukończył je w Kijowie, dokąd musieli przenieść się jego rodzice. W 1850 r. wstąpił na studia na wydział medycyny Uniwersytetu Kijowskiego, który ukończył w 1855 r. Następnie pracował na etacie asystenta jednego ze szpitali kijowskich, później kolejno jako młodszy i starszy lekarz Kijowskiego Korpusu Kadetów. W 1858 r. ukazała się jego pierwsza publikacja pt. „De impressionibus quae in pectore et prope sitis corporis partibus inspirationis tempore fiunt”. Była to

rozprawa doktorska, której tekst w języku rosyjskim w tymże roku opublikował na swych łamach „Wojenno-Miedicinskij Żurnał”.

Wachlarz zainteresowań naukowych Marowskiego był dość rozległy; uczony opublikował szereg artykułów zarówno o schorzeniach laryngologicznych, wenereologicznych, jak też innych (w sumie kilkanaście, zarówno w języku rosyjskim, jak też niemieckim).

W styczniu 1866 roku minister oświaty ludowej zatwierdził wybór doktora medycyny Marowskiego na stanowisko profesora nadzwyczajnego Cesarskiego Uniwersytetu Charkowskiego. Jednak po kilku latach dobrze zapowiadający się naukowiec, profesor i organizator musiał podać się do dymisji, ponieważ nie potrafił znaleźć wspólnego języka z wpływowym profesorem niemieckiego pochodzenia Lambem. Wydaje się, że w okresie późniejszym oddawał się wyłącznie prywatnej praktyce lekarskiej.

Walerian Grygorjewicz ŁASZKIEWICZ urodził się w Kamieńcu Podolskim 19 listopada 1835 roku w szlacheckiej rodzinie herbu Łada. Jego ojciec był kapłanem unickim, którego zmuszono razem z wiernymi przejść na prawosławie. Wykształcenie wstępne otrzymał w seminarium kamienieckim, a studia ukończył z wyróżnieniem w Cesarskiej Akademii Medyczno-Chirurgicznej w Petersburgu, otrzymując złoty medal Buscha. Pozostał w tzw. Instytucie Młodych Lekarzy, aby przygotować się do pełnienia funkcji profesora na macierzystej uczelni. Po pewnym czasie Łaskiewicz objął posadę ordynatora kliniki akademickiej profesora S. Botkina, gdzie też obronił rozprawę doktorską („Srawnitielnoje diejstwije na żywotnyj organizm marganca i żeleza”) i został na dwa lata skierowany na staż zagraniczny. Potem wrócił do Petersburga i jako docent prywatny rozpoczął prowadzenie wykładów z kliniki chorób wewnętrznych. Jako pierwszy w Rosji i jeden z pierwszych w Europie młody uczony zwrócił uwagę na fakt, że syfilis groźnie poraża ośrodki układu nerwowego, w tym mózg. W latach 1866 – 1868 ukazał się szereg interesujących artykułów docenta W. Łaskiewicza w rosyjskiej i niemieckiej periodyce fachowej: „Bemerkungen über die physiologische Wirkung der Calabar-Bohne”, „K uczeniu o wsasywaniu kożeju”, „Pryczyny ochłazdienia i śmierci żywotnych przy unicztowieniu kożnego dychania”, „Fizjologiczneskoje diejstwije Ciana”, „Kokain protiv Angina pectoris” i in.

W 1869 roku na wniosek profesorów Chrzonszczewskiego, Stankiewicza, Tichonowicza i Zaleskiego Rada Uniwersytetu Charkowskiego desygnowała W. Łaskiewicza na etat docenta etatowego katedry kliniki terapeutycznej. W 1870 r. nadano mu stopień profesora nadzwyczajnego, a w 1872 r. – zwyczajnego. Prowadził tam odkrywcze badania z

zakresu chorób układu nerwowego, wewnętrznych i wenerycznych, dokonując szeregu bardzo ważnych odkryć, co oczywiście budziło zawiść i przysparzało mu przeciwników. Jednocześnie jego wykłady i publikacje budziły żywe zainteresowanie studentów i lekarzy, a on sam, jako znakomity klinicysta i pedagog, cieszył się wielkim szacunkiem na uniwersytecie. W jednym z wystąpień publicznych W. Łaskiewicz mówił:

„Przed dziewiętnastu laty przyjechałem do Charkowa. Przywiozłem ze sobą młodość, energię i misjonarski zapal służenia nauce [...]. Ten, kto wychodzi na katedrę, bierze na swe barki także obowiązki apostoła nauki. Jasne, że z takimże bagażem przybyłbym do każdego uniwersytetu, dokąd by mnie skierował los; jakichś powiązań z Uniwersytetem Charkowskim nie miałem, ale one niebawem powstały [...]. Po rozpoczęciu działalności zauważyłem, że mój wzrost naukowy przybiera, że bodaj więcej od uniwersytetu otrzymuję niż mu daję. Bliska znajomość z reprezentantami innych nauk – fizyki, chemii, botaniki i in. umocniło moją wiedzę przyrodniczą i poszerzyło moje horyzonty naukowe; obcowanie zaś z pracownikami innych wydziałów, jak prawniczego, filologicznego – zabezpieczało mnie przed jednostronnością i zmuszało do utrzymywania poziomu powyżej rzemieślniczego. Odnalazłem się w ten sposób w najszcześniejszej symbiozie wiedzy ludzkiej. Być może za to właśnie szczególnie pokochałem uniwersytet i się z nim jakby spokrewniłem. Gdy złe przypadki spadały na uniwersytet, martwiły mnie, jakby były moim osobistym nieszczęściem; gdy spotykały go pomyślne dni – cieszyłem się z nich, jak z własnego powodzenia. Kochałem też uniwersytet za jego szczególną czystość i schludność moralną, za ów dobroczynny klimat, w którym rósł i rozwijał się wielce sympatyczny typ człowieka uniwersyteckiego; a jeśli na wszechnicę przenikał pierwiastek niepożądany, to i on odczuwał na sobie dobroczynny wpływ tego świata. Widocznie światło naukowe, podobnie jak fizyczne, ma właściwości dezynfekujące. I oto po dziewiętnastu latach moje uczucie do uniwersytetu wracają do mnie z ogromnym proceniem. Wszystko, co dziś jest moim udziałem, zawdzięczam uniwersytetowi. Tylko na wysokości uniwersyteckiego piedestału moja skromna figura mogła być zauważona przez społeczeństwo i to nawet poza granicami naszego kraju. Dlatego uważam za swój święty obowiązek wyrazić życzenie, aby uniwersytet nasz dojrzewał i rozwijał się nieustannie, kształcąc dla dobra ojczyzny ludzi mocnych duchem prawdy, dobra i rzetelności.”.

Niestety, nie minęło i pół roku po wygłoszeniu tej pięknej mowy z okazji 25. rocznicy pracy zawodowej profesora, a już nie było go wśród żywych; zmarł na gruźlicę 17 czerwca 1888 roku, pozostawiając jednak po

sobie sławę dobrego człowieka, nauczyciela, uczonego i lekarza.

W 1888 roku, tuż po zgonie uczonego, w Charkowie ukazały się jako osobna książka jego bardzo interesujące „Kliniczskie lekcji”, które przez wiele lat służyły jako podręcznik i poradnik zarówno studentom, jak i praktykującym lekarzom.

Walerian Łaskiewicz nie pisał i nie publikował wiele, ale wszystkie jego teksty cechowała szeroka erudycja i nowatorskie ujmowanie tematów. Wydał prawdopodobnie nie więcej niż kilkanaście artykułów naukowych, oddawał się natomiast gorliwie pracom organizacyjnym, prowadzeniu wykładów i badań laboratoryjnych. Był przy tym człowiekiem o mocnych walorach moralnych, nigdy nie brał udziału w żadnych intrygach i skrytych rozgrywkach, tak dokuczliwie dających o sobie znać w wielu zespołach lekarskich czy nauczycielskich.

Nikołaj Ławrentjewicz ZALESKI (herbu Dołęga) urodził się w Charkowie, jednak jego ojciec Wawrzyniec (z rosyjska Ławrentij) pochodził z powiatu brzesko-litewskiego, należącego wówczas do guberni grodzieńskiej. W 1836 r. Wawrzyniec Zaleski nie potrafił udokumentować formalnie szlachectwa swej rodziny do siedmiu pokoleń wstecz, jak tego wymagały drakańskie przepisy carskie, i w 1839 został zapisany w poczet mieszczan miasta Charkowa.



Jego syn, Mikołaj, ukończył Charkowskie Gimnazjum Gubernialne i w 1855 r. wstąpił na studia medyczne na tutejszy uniwersytet. W 1860 studia ukończył *cum eximia laude* i pozostał na uczelni jako pełniący obowiązki ordynatora kliniki terapeutycznej i akuszerskiej. Po kolejnych dwóch latach obronił rozprawę doktorską napisaną w języku niemieckim „Untersuchungen über den urämischen Prozess und die Funktion der Nieren”. Następnie (jak prawie zawsze w podobnej sytuacji) utalentowany, rokujący wielkie nadzieje młody specjalista udał się na paroroczny staż zagraniczny, by pogłębić swą wiedzę i udoskonalić umiejętności w najlepszych uniwersytetach Niemiec, Francji i Austrii. W okresie 1865 – 1867 Zaleski był etatowym pracownikiem poważnego periodyku „Archiw Sudiebnoj Miedicyny i Obszczestwiennoj Higieny”, pisząc i opracowując w tym czasie mnóstwo publikacji z różnych dziedzin medycyny, co znakomicie poszerzyło jego erudycję i pogłębiło światopogląd naukowy. W 1867 roku profesor Sieczenow doprowadził do tego, by Zaleski został wykładowcą Cesarskiej Akademii Wojskowo-Medycznej w Petersburgu i rozpoczął tam prowadzenie zajęć z zakresu fizjologii. Niebawem, czego należało się spodziewać, młody naukowiec został obrany docentem prywatnym tej renomowanej uczelni. Niestety, z powodu braku środków do życia musiał pan Mikołaj spakować walizkę i wrócić do ojczystego Charkowa. Tutaj profesor Chrząszczewski podjął próbę „zainstalowania” go na etacie docenta katedry higieny. Ta próba się nie powiodła, jednak uczony otrzymał w kwietniu 1868 r. posadę docenta toksykologii na katedrze medycyny sądowej. Łącząc badania laboratoryjne z wykładami dla studentów medycyny i farmacji, Zaleski doprowadził po kilku latach do sytuacji, że toksykologia z raczej marginalnego stała się przedmiotem nader „modnym”, chętnie poznawanym przez setki studentów uniwersytetu.

W okresie od 1869 do 1885 r. Mikołaj Zaleski wykładał medycynę sądową na wydziale prawniczym Uniwersytetu Charkowskiego, ze szczególnym uwzględnieniem nauki o uszkodzeniach ciała i odmianach zgonów na skutek zastosowania przemocy fizycznej. Od pewnego momentu był angażowany przez sądy w charakterze eksperta. Dzięki niemu udało się doprowadzić do końca szereg skomplikowanych śledztw związanych z głośnymi zabójstwami. Jego ekspertyzy były tak precyzyjne i tak skuteczne, że sądy całego imperium zapraszały go w tym charakterze. Zyskał Zaleski opinię najlepszego w tym zakresie specjalisty. A jednak wybitne osiągnięcia zawodowe i także kwalifikacje zawodowe nie spowodowały, że formalnie zrobił on tzw. karierę. Przez wiele lat Zaleski był oficjalnie tylko docentem wydziału prawniczego i dopiero w 1871 roku Uniwersytet Kazański powołał go na etat profesora nadzwyczajnego katedry higieny, jednak ze względów rodzinnych uczony nie mógł przyjąć

tej zaszczytnej i należytej mu oferty. Pozostał w Charkowie i dopiero w 1875 r. uzyskał stopień profesora extraordinarynego Uniwersytetu Charkowskiego. Zaś w 1886 r. objął funkcję profesora zwyczajnego farmacji. Związane z tym obowiązki pełnił przez kolejne lata aż do dymisji (po wysłudze 30. lat) w dniu 12 maja 1893 roku w randze tzw. „profesora zasłużonego”. Spośród publikacji naukowych Mikołaja Zaleskiego (w języku niemieckim i rosyjskim) warto wymienić m.in. następujące: „Über die Zusammensetzung der Knochen des Menschen und verschiedener Tiere” (1866 r.); „Über das Salamandarin, das Gift der Salamandra mac ulata” (1866 r.); „Proischozhdienije mocziwej kisloty w organizmie żywotnych” (1867 r.); „Płody mankanilly (*Hippomane mancinella*) i diejstwie ich na organizm żywotnych” (1867 r.); „Otkrytije otrawlenija nitroglicerinom w sudiebno-miedicinskoj praktiki” (1868 r.); „K woprosu o znaczenii morfija w sudiebno-miedicinskoj praktiki” (1874 r.).

Włodzimierz Ignatjewicz PORAJ-KOSZYC

(Koszyc, herbu Poraj) urodził się w 1847 roku w guberni mińskiej. Był wyjątkowo uzdolnionym młodzieńcem i w wieku zaledwie dziewiętnastu lat już ukończył Uniwersytet Charkowski, przy tym z wyróżnieniem, i uzyskał rangę lekarza ziemskiego. Zaproponowaną mu ofertę pozostania na uczelni w celu przygotowania się do pracy w niej przyjął i został mianowany na etat pomocnika dyrektora katedry chirurgii teoretycznej (prof. P. Zarubina). Objął natychmiast prowadzenie dopiero co otworzonych klinik chorób wenerycznych i urologicznych w charkowskim gubernialnym szpitalu ziemskim. Tutaj, mając do dyspozycji obfity materiał, zajął się badaniem przede wszystkim kiły oraz innych schorzeń wenerycznych, któremu to tematowi była poświęcona również cała jego późniejsza działalność. W 1869 r. W. Poraj-Koszyc uzyskał stopień doktora medycyny na podstawie oryginalnej rozprawy „Materiały dla patologii wieneryczeskich boleśniej”.

Przebieg promocji był błyskotliwy a autor pracy niebawem zaciągnął się do wojskowej służby medycznej i został skierowany do Petersburskiej Akademii Medyczno-Chirurgicznej w celu studiowania chirurgii polowej. W 1870 r. przez pół roku doskonalił się na Uniwersytecie Wiedeńskim w zakresie chorób skórnych, wenerycznych i chorób dróg moczowych; później zaś przez pewien czas kontynuował naukę w Paryżu. Po kilku latach kierowania w Charkowie lazaretem wojskowym w 1873 r. roku ponownie udał się (na własny koszt) za granicę i przez 14 miesięcy specjalizował się w leczeniu schorzeń dermatologicznych, urologicznych i wenerycznych w publicznych i prywatnych klinikach Wiednia, Paryża, Brukseli i Monachium. W 1876 r. dodatkowo badał możliwości lecznicze źródeł siarkowych w Piatigorsku. Lata 1876 – 1878 spędził na

froncie tureckim. Tam, w oddziałach generała Józefa Hurko, na linii ognia pełnił przez cały czas obowiązki lekarza pierwszej pomocy, a następnie funkcję lekarza naczelnego Pułku Orłowskiego, wykazując nie tylko doskonale mistrzostwo zawodowe, ale także odwagę, męstwo i ofiarność.

W 1879 r. W. Poraj-Koszyc podał się do dymisji, wrócił na Uniwersytet Charkowski. Tam na stanowisku docenta prywatnego z ogromną energią i zaangażowaniem poświęcił się zarówno badaniom naukowym w dziedzinie dermatologii i wenerologii, jak też działalności dydaktycznej.

Ten znakomity lekarz opublikował w sumie około 30 tekstów naukowych w postaci oryginalnych artykułów, opartych na własnych badaniach i na eksperymentach. Cieszył się autorytetem jednego z najlepszych w Rosji specjalistów, jeśli chodziło o leczenie syfilisu.

Nadmierna pracowitość spowodowała jednak przedwczesne wyczerpanie organizmu. W. Poraj-Koszyc zapadł na nieuleczalną wówczas gruźlicę. Zmarł w dniu 26 czerwca 1892 roku, w wieku zaledwie 45 lat.

Teodor (Fiodor) Mieczysławowicz OPENCHOWSKI (Opęchowski, herbu Dąbrowa) wyższe studia medyczne ukończył w 1876 r. na Uniwersytecie św. Włodzimierza w Kijowie. I w tymże roku rozpoczął karierę zawodową, obejmując funkcję ordynatora oraz asystenta klinicznego wydziału dermatologii Kijowskiego Szpitala Wojskowego. W 1879 r. na wniosek profesora Goreckiego został przez ministerium wojny skierowany na dwa lata za granicę w celu doskonalenia wiedzy i kwalifikacji zawodowych. W tym czasie odbył dłuższe lub krótsze staże kolejno w klinikach Strasburga, Paryża, Londynu, Wiednia, Berlina.

W 1883 r. w jednym z francuskich periodyków fachowych ukazał się jego pierwszy artykuł naukowy. W późniejszym okresie Openchowski opublikował kilkadziesiąt dalszych prac, publikując je zarówno w języku rosyjskim, jak też niemieckim i francuskim. Ścisłe współpracował z doktorem Moczutkowskim, Salomonowiczem, Kraszewskim, Lewickim i innymi znakomitymi lekarzami polskiego pochodzenia.

W 1884 roku T. Openchowski uzyskał na Uniwersytecie Dorpackim stopień naukowy doktora medycyny i podjął na tejże renomowanej uczelni wykłady z zakresu patologii doświadczalnej, dziecięcych chorób infekcyjnych oraz diagnostyki i terapii schorzeń dermatologicznych i wenerycznych. W kolejnych latach zarówno tematyka wykładów, jak i badań naukowych doktora Openchowskiego, wciąż się poszerzała. W ciągu pięciu lat pracy na Uniwersytecie Dorpackim uczony opublikował 15 własnych artykułów, a pod jego kierownictwem napisano siedem rozpraw doktorskich. Za rozprawę „Ob innerwacji żeludka” docent prywatny



otrzymał w 1889 r. Nagrodę Hamburgera za najlepszy tekst z zakresu fizjologii za lata 90. XIX w.

Przez kolejne dwa lata, na zaproszenie wielkiej księżnej Heleny Pawłowny, uczony wygłaszał prelekcje z dziedziny neuropatologii w jej Instytucie Klinicznym, a 1891 r. zaś został mianowany na stanowisko profesora szpitalnej kliniki terapeutycznej Cesarskiego Uniwersytetu Charkowskiego. W niesłychanie niedogodnych warunkach (przepełnione sale, brak środków itp.) Openchowski poświęcał się zarówno działalności lekarskiej, jak i dydaktycznej z całą ofiarnością, do jakiej bywają zdolni jedynie wielcy entuzjaści medycyny. Dzięki staraniom profesora udało się zresztą pozyskać od ofiarodawców (Iłowajski, Rubinstein) znaczne sumy na rozbudowę kliniki, urządzenie laboratorium i auli. Do tych środków, nawiasem mówiąc, Openchowski dodał niebagatelną sumę własnych pieniędzy. W rezultacie tych wysiłków wydział medyczny Uniwersytetu Charkowskiego zaczął dynamicznie rozwijać się, a ministerstwo ochrony zdrowia Rosji mianowało Openchowskiego (1903 r.) kierownikiem katedry fakultatywnej kliniki terapeutycznej.

Dr Jan CIECHANOWICZ

Tekst pochodzi z książki dra Jana Ciechanowicza pt. „Dobroczyncy ludzkości”.

Dwutomowe (t. I str. 462; t. II str. 456; Wydawnictwo „Kolumb”) opracowanie doktora Jana Ciechanowicza pt.

„Dobroczynicy ludzkości” stanowi kontynuację od kilku dziesięcioleci przez autora drążonego tematu, poświęconego wkładowi osób polskiego pochodzenia do cywilizacji powszechnej poprzez kultury obce. Dotychczas przedstawiono te polonijne osiągnięcia w zakresie muzyki, lotnictwa, kosmonautyki, filozofii, astronomii, geografii, a teraz przyszła kolej na medycynę. „Dobroczynicy ludzkości” to fundamentalne dzieło z pogranicza historii, psychologii i filozofii medycyny, ukazujące istotny wkład uczonych polskiego pochodzenia do badań naukowych w tej dziedzinie wiedzy.

Książka zawiera mnóstwo nieznanej dotychczas w Polsce informacji o wybitnych lekarzach-Polakach, którzy położyli wielkie zasługi dla rozwoju medycyny we Francji, Austrii, Niemczech, USA, Rosji, Turcji, na Litwie, Białorusi, Ukrainie i w innych państwach, gdzie pełnili funkcje profesorów, przybocznych medyków królów, cesarzy i sultanów, jak też piastowali posady kierowników przodujących instytucji naukowych, uniwersytetów, zakładów leczniczych; byli autorami nowatorskich prac naukowych w różnych językach, otwierających nieraz nowy rozdział w dziejach tej czy innej gałęzi nauk medycznych (gerontologii, psychiatrii, ginekologii, kardiologii, wirusologii, onkologii, chirurgii, okulistyki, onejrologii, wodoterapii, genetyki i in.). Wszyscy ci utalentowani Polacy pracowali poza granicami ojczyzny, lecz wszyscy byli dumni ze swego polskiego pochodzenia i najczęściej utrzymywali żywą więź z krajem swego pochodzenia.

Bohaterami książki są m.in. Otton Fiedorowicz, Mściśław Nowiński, Paweł i Piotr Naranowiczowie, Ludwik, Aleksander i Józef Okinčycyowie, Ortałion Tokarski, Witold Kamiński, Jan Mikulicz, Mieczysław Minkowski. Wszyscy dokonali poważnego wkładu do europejskiej nauki medycznej i są klasykami tej gałęzi wiedzy w wielu krajach. Niektórzy byli prawdziwymi bohaterami ludzkości, przeprowadzali eksperymenty medyczne na samych sobie i składali swe życie na ołtarzu rozwoju nauki. Życiorysy ich to często jakby gotowy scenariusz filmu przygodowego.

Jako wstęp do swej książki (ponad 80 stron druku) autor opracował fascynujący temat pt. „Człowiek w obliczu cierpienia i śmierci”, w którym przedstawił nie tylko swe przemyślenia dotyczące tego zagadnienia, ale i poglądy mędrców Izraela, Chin, Indii, Arabii, Europy, a nawet cywilizacji Majów i Azteków.

Praca „Dobroczynicy ludzkości” jest adresowana do szerokiego kręgu czytelników interesujących się zarówno historią sztuki medycznej (Jan Ciechanowicz opisuje jej dzieje od czasów Sumeru, Starożytnego Egiptu, Judei i Hellady), jak też szeroko pojętą historią narodu polskiego, jego olbrzymim wkładem (często celowo lub przez zaniebdanie niedocenianym) w rozwój cywilizacji i kultury powszechnej.

Kontakt telefoniczny z autorem: (048)608531266

e-mail: Ciechanowicz.jan@gmail.com



Cesarski Uniwersytet w Charkowie na archiwalnej fotografii

Z PIEŚNIĄ PRZEZ ŻYCIE

Wiktor DULKO – to imię jest dobrze znane zarówno na Litwie, jak też w Polsce i w środowiskach polonijnych Europy. Jowialny, ujmujący jegomość w średnim wieku, o wrodzonym życzliwym i łagodnym usposobieniu budzi instynktowną sympatię do siebie każdego, kto się z nim zetknie. Utalentowany pieśniarz, kompozytor i wykonawca w jednej osobie, rozślawił Wileńszczyznę w całej Europie, we wszystkich krajach, gdzie okłaskiwała go publiczność polska i polonijna.

Nieodrodny syn Ziemi Wileńskiej połączył gorący patriotyzm, melodyjne dźwięki piosnek ludowych z pól ojczystych z inwencją prawdziwego artysty, z tej zaś syntezy wyłoniło się imponujące zjawisko kulturotwórcze. Wiktor Dulko „przełożył na nuty” liczne wiersze współczesnych poetów polsko-wileńskich, przede wszystkim zaś Aleksandra Śnieżki, Apolonii Skakowskiej, Alicji Rybałko, Aleksandra Sokołowskiego, Michała Wołosewicza, Teresy Markiewicz. A potem wyśpiewał te małe arcydziełka o niepowtarzalnym kolorycie zarówno ze sceny wileńskiej, jak też ze scen wielu miast Polski oraz innych krajów. Wszędzie tam, gdziekolwiek biją polskie serca. I zawsze wywoływał burzę wzruszeń, oklasków i niekończące się prośby o bis.

Mistrzem nikt nie staje się z dnia na dzień. Geniusz to praca, jak powiedział pewien klasyk, wyteżona, znojna praca w ciągu całego życia, długiego czy krótkiego. Talenty i uzdolnienia mogą się bowiem zmaterializować, czyli stać się czymś realnym, a nie jedynie „możliwym”, wyłącznie w procesie pracy twórczej...

Wiktor Dulko urodził się w Wilnie, w rodzinie inteligenckiej, jednak dzieciństwo spędził i pierwsze nauki pobierał w miejscowości Biała Waka, położonej obok miasta stołecznego Republiki Litewskiej. Tam bowiem w charakterze pedagogów pracowali jego rodzice.

Życiowy szlak tej nietuzinkowej osobowości daleki był od linii prostej. Wiktor Dulko ukończył szkołę średnią, następnie technikum kolejowe, odbył dwuletnią służbę wojskową w oddziałach budowlanych Armii Radzieckiej. Po demobilizacji rozpoczął pracę zawodową w charakterze majstra elektryka w kolejnictwie, a równocześnie podjął studia

językoznawcze w Państwowym Instytucie Pedagogicznym w Wilnie. Ukończył również dwuletnie wyższe studia dziennikarskie.

Po pomyślnym ukończeniu studiów w stolicy Litwy założył rodzinę i zamieszkał ponownie na stałe w rodzinnym mieście. Tutaj, po kilku latach studiów, uzyskał dodatkowo stopień magistra politologii. Do dziś z szacunkiem, wdzięcznością i niejako z rozrzewnieniem rozpamiętuje zajęcia prowadzone przez znakomitych intelektualistów owych, już odległych czasów – profesorów: Gordon, Ickowicza, Morejna, Minkevicziusa, Kołpakową, Galiniene, Waisaite.

W ten sposób nieprzeparty pęd do wiedzy, do kultury intelektualnej, niezwykła pracowitość uczyniły z młodego człowieka, nie mającego jeszcze nawet trzydziestu lat, wszechstronnie i głęboko wykształconego dżentelmena, który też niebawem skierowany został przez kuratorium oświaty do pracy z tzw. „trudną młodzieżą” w rejonie wileńskim.

Trzydzieści pięć najpiękniejszych lat życia Wiktor Dulko poświęcił niełatwemu i w pewnym sensie „niewdzięcznemu” zawodowi nauczycielskiemu. Nie były to jednak lata zmarnowane. Zawód wychowawcy uczy bowiem głębiej i szybciej rozumieć ludzi oraz ich sprawy i problemy – a jest to umiejętność w życiu niezwykle przydatna.

Po „transformacji ustrojowej” w roku 1993 pan Wiktor wraz ze swym bratem Janem założył „własny interes”, jak to było wówczas modne, i odniósł na tym polu niejedną spektakularny sukces. Podobnie jak były premier Włoch Silvio Berlusconi, Wiktor Dulko połączył w sobie kilka talentów: działacza społecznego, mecenas sztuki i nauki na Wileńszczyźnie, człowieka interesu i artysty. Jest on bowiem osobowością barwną, niepospolitą, wszechstronnie uzdolnioną i wykształconą. Wystarczy powiedzieć, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat, odkąd rozpoczął karierę artystyczną kompozytora i barda, wystąpił z ponad 300. koncertami na scenach Litwy, Polski, Łotwy, Wielkiej Brytanii, Białorusi, Austrii. Wystąpił także w studium koncertowym Telewizji TRWAM.

Wydał dotychczas pięć płyt kompaktowych z nagraniami własnych pieśni nagranych wspólnie z jedną z kapel wileńskich. Owe nagrania cieszą się

popularnością wśród melomanów. Na jego koncertach gromadzą się nie tylko Polacy, ale także reprezentanci innych narodowości, m.in. dlatego, iż pan Wiktor śpiewa nie tylko znakomicie, ale i „wielojęzycznie”: po polsku i po litewsku, po białorusku i po rosyjsku, a niekiedy i w zapomnianym dziś, niestety, jidysz. Wspomniane języki pan Wiktor opanował perfekcyjnie.

Wileński bard jest z natury i z usposobienia filozofem; konwersacja z nim to prawdziwa uczta intelektualna, podczas której aż iskrzy się od jego dowcipów, ciętych uwag, aforyzmów, trafnych spostrzeżeń o ludziach i świecie. Dalece nie każdy profesor tytularny i doktor habilitowany mógłby zachwycić taką erudycją, czytaniem, wszechstronną wiedzą, inteligencją, jak ten „zwykły” magister filologii i politologii.

Jego biblioteka domowa, licząca ponad pięć tysięcy tomów, składa się z dzieł filozoficznych, historycznych, beletrystycznych w kilku językach. Kiedy zdarza się wolna chwila, a taka powinna „znaleźć się” każdego prawie dnia, Wiktor – intelektualny epikurejczyk – zasiada w fotelu swej biblioteki i, odgrodzony od marności świata, bierze do rąk tom Seneki, Marka Aureliusza, Tomasza a Kempis, Marcela Prousta czy Emila Ciorana (to są jego

najulubieńsi autorzy), i pogrąża się w lekturze. Niełatwe nieraz kwestie codzienności na jakiś czas jakby przestają istnieć, a człowiek przenosi się w idealny świat czystej myśli, kontempluje z dystansu sprawy Boskie, filozoficzne, nieprzemijające. W naszych zagonionych i antyfilozoficznych czasach stanowi to swoisty wentyl bezpieczeństwa – aby nie zwariować, warto na chwilę o wszystkim zapomnieć. Niektórym służy do tej „psychoterapii” szklanka mocnego wina, innym – mądra książka, jeszcze innym – jedno i drugie.

Niewykluczone, że to właśnie Kresy – pogranicze kultur kilku wysoce utalentowanych narodów kulturotwórczych – rodzą od czasu do czasu tak niezwykłych, wszechstronnie uzdolnionych i utalentowanych ludzi, jak Wiktor Dulko. Spotykamy przecież zarówno w kulturze polskiej, jak też litewskiej, białoruskiej, ukraińskiej, rosyjskiej – na styku cywilizacji – tego rodzaju zadziwiające fenomeny. Nawet nie ma potrzeby wymieniać tu powszechnie znane imiona, wśród których widzimy nawet laureatów nagrody Nobla. Krainy Kresowe zawsze obfitują w talenty i bohaterów. To stanowi ich zastanawiającą specyfikę.

Dr Jan CIECHANOWICZ



Wiktor Dulko

*Pieśni polska, tyś jak rosa,
Co na piekłą duszę spada!
[...]
Szczęsny, ponad czyją głowę
Skrzydło swoje tyś rozpięła,
Gdy mu z piersi rzucisz słowo:
„Jeszcze Polska nie zginęła!”*

Władysław Bełza



U źródeł hymniki polskiej (III) JAK „MAZUREK DĄBROWSKIEGO” STAŁ SIĘ HYMNEM NARODOWYM

Historycy literatury zajmujący się dziejami jednego z naszych najbardziej popularnych i zasłużonych śpiewów patriotycznych, a od czasu odzyskania przez Polskę niepodległości – hymnu państwowego, zwrócili uwagę na jego antecedencje, mianowicie na prastarą „Bogurodzicę” oraz na oktavę Ignacego Krasickiego o miłości ojczyzny.

Pierwsza z tych pieśni ma charakter *par excellence* religijny i w rozważaniach nad genezą naszego hymnu państwowego powinna być brana pod uwagę przede wszystkim z tego względu, że była ona powszechnie znana przez kilka wieków i śpiewana nie tylko w świątyniach, ale i przez rycerstwo przed bitwami decydującymi o losach królestwa. Długosz określił ją wyróżniającym tytułem: „*patrium carmen*” (pieśń ojczysta).

Jeśli już mówimy o tym sędziwym hymnie maryjnym jako o praprzodku „Pieśni Legionów”, trzeba pamiętać, że był on jej antenatem tylko w pewnym sensie: jako uroczysta pieśń chóralna jednocząca śpiewających z sobą i umacniająca ich ducha w szczególnie ważnych dla narodu momentach dziejowych. Nie była natomiast „Bogurodzica”, bo i nie mogła być hymnem państwowym w dzisiejszym rozumieniu tego terminu, ponieważ zjawisko reprezentacyjnych pieśni dla poszczególnych monarchii narodziło się w czasach nowożytnych i to stosunkowo późno, bo dopiero około połowy XVIII wieku.

Pierwszym utworem, któremu nadano oficjalnie rangę sztandarowej pieśni królestwa był hymn „God save the King” z tekstem i nutami napisanymi przez Harry Carey’a, rozpowszechniony w Londynie w 1745 r. Ponieważ pieśń ta przydawała nowego splendoru

panującemu monarsze i stała się rychło jednym z istotnych ogniw przywiązujących poddanych do tronu, nic zatem dziwnego, że wzór angielski znalazł naśladownictwo w innych krajach. Pod koniec stulecia powstały hymny: pruski, z tekstem (inc.: „Heil dir im Siegkranz”) ułożonym przez H. Harriesa w 1795r., oraz rosyjski, pióra W.A. Żukowa (inc.: „Boże, carja chrań!”) – obydwie śpiewane na melodię Carey’a. Również na podobieństwo „God save the King” powstał hymn cesarski „Gott erhalte Franz den Kaiser” rozpowszechniony z melodią skomponowaną przez Haydna.

Wszystkie te i im podobne monarchiczne hymny państwowe były w istocie modlitwami o zdrowie i wszelką pomyślność dla panujących. Stanowią one w tym względzie wspaniałe zwiędzenie prastarej, sięgającej aż czasów antycznych tradycji, która nakazywała ludowi uczestnictwo w nabożeństwach odprawianych w intencji sprawujących najwyższą władzę. W starożytnym np. Rzymie takie publiczne modły (*supplicationes*, *nuncupatores votorum*) odprawiano w chwilach zagrożenia państwa i z okazji odniesionych zwycięstw. Z czasem wyznaczono na nie specjalny dzień z początkiem każdego roku – 3 stycznia (III Nonas). Tacyt uznał za stosowne podać do wiadomości potomnym, że Neron wytoczył proces słynnemu z cnoty Trazei Pecie za to, że będąc kwindecymvirem, czyli wysokim urzędnikiem, nie uczestniczył w nabożeństwie za cezara.

Wzory pogańskie zostały przejęte i uszlachetnione przez Kościół katolicki z nakazu św. Pawła, zawartego w następujących słowach: „Przed wszystkim zalecam, aby odprawiano modły, prośby, błagania i dziękczynienia za wszystkich ludzi i za wszelkie władze, abyśmy mogli wieść

życie ciche i spokojne we wszelkiej pobożności i uczciwości". Przez wiele wieków kapłani modlili się za papieża oraz za jego ramię świeckie: cesarza rzymskiego narodu niemieckiego w „Kanonie” mszalnym, podczas nabożeństw wotywnych, tudzież w liturgicznych modlitwach wielkopostnych w Wielki Piątek i w Wielką Sobotę. Dopiero w okresie Renesansu władcy państw niezależnych od następców Fryderyka Barbarossy wymogli na zwierzchności duchownej zmianę na własną korzyść. Szczegółowe badania wykazały, że modlono się w rozmaitych krajach europejskich rozmaicie: za papieża i cesarza (*pro papa nostro et imperatore*) lub za papieża, cesarza i za panującego w danym państwie króla (*pro papa, imperatore et rege*), wreszcie za papieża i króla. W 1557 r., w okresie zatargu pomiędzy papieżem Pawłem IV a cesarzem Karolem V, Stolica Apostolska wydała zakaz modlitw za tegoż imperatora. Taka sama kara spotkała jego jeszcze bardziej nieprawowiernego następcę: Ferdynanda I. Doszło do tego, że Sobór Trydencki zniósł modlitwę za cesarza w „Kanonie”, ostała się ona natomiast w specjalnych Mszach wotywnych oraz w liturgii wielkopostnej – dla podtrzymania starej idei chrześcijańskiego uniwersalizmu, czyli jedności Kościoła i państwa.

Jeśli idzie o Polskę, imię panującego u nas króla zaczęło wchodzić do „Kanonu” i do modlitw wielkopostnych, obok papieskiego i cesarskiego, pod koniec XV wieku. Kiedy np. na Wawel dotarła wiadomość, że mistrz krzyżacki przestał modlić się za króla polskiego, Jan Olbracht zgłosił z tego powodu pretensję, bowiem suplikacje w świątyniach za panującego były świadectwem przynależności państwowej lub lenności kapłanów i wiernych.

Nie było przypadkiem, że dopiero w okresie Odrodzenia pojawiła się w języku łacińskim „*Oratio pro Republica et Rege*”, napisana przez Andrzeja Trzecieckiego, przełożona rychło na język ojczysty przez Jakuba Lubelczyka. Profesorowie I. Chrzanowski i S. Kot, przedrukowując tę „Modlitwę za Rzecz Pospolitą naszą i za Króla” z kancjonału Jana Seklucjana pt. „Pieśni chrześcijańskie dawniejsze i nowe” (wyd. w Krakowie w 1559 r.), w cennym wyborze źródeł do dziejów dawnej naszej literatury i kultury, dali jej przedwczesny tytuł: „Pierwszy polski hymn państwowy”.

Nasuwa się pytanie, dlaczego za panowania Stanisława Augusta, w okresie ogromnego zapatrzania się naszych przodków na Zachód, przejmowania cudzoziemskiego stylu życia i naśladownictwa literatury i sztuki, nie pomyślano u nas o ułożeniu hymnu państwowego pod melodię Carey’a? Odpowiedź nietrudna.

W XVIII stuleciu Rzeczpospolita Obojga Narodów była bardziej państwem republikańsko-monarchicznym niż królestwem konstytucyjnym. Zapobiegliwa o utrzymanie swoich przywilejów szlachta, a jeszcze gorliwiej faktycznie rządząca oligarchia magnacka, w

każdym monarsze upatrywała potencjalnego zamachowca na jej sobiepaństwo. Gdybyż to jeszcze na tronie zasiadał król z królów, wywodzący się z potężnej dynastii, spokrewniony z Habsburgami, z Burbonami, z Romanowymi! Ale Poniatowski? Nazbyt dobrze pamiętano, że dziad Stanisława Augusta zajmował na drabinie feudalnej szczebelek podrzędny, że on sam sięgnął po koronę jako stolnik litewski. Karol Radziwiłł nie chciał z tego powodu całować jego ręki. Wymówił tę niecnotę rodakom I. Krasicki w satyrze „Do Króla”. Jeszcze bardziej autorytet ostatniego naszego elekta w społeczeństwie obniżał fakt, że berło otrzymał on z woli Katarzyny II, że wybrano go następcą Augusta III pod presją bagnietów obcego wojska. Modlić się za takiego monarchę w oficjalnym uroczystym hymnie, znaczyłoby to utwierdzać jego władzę, ułatwiać mu dążenie – kto wie – może do absolutyzmu na wzór rosyjski lub pruski, czy bodaj tego oświeconego – francuskiego.

Republikanizm był w świadomości szerokich mas szlacheckich dziedziczny i głęboko zakorzeniony. Proszę zwrócić uwagę, że już we wspomnianej wyżej „Modlitwie” Trzecieckiego król wymieniony został na drugim miejscu po Rzeczypospolitej. Godnym zauważenia jest również szczegół, że w „Hymnie do miłości Ojczyzny” Krasickiego, wiodącej pieśni patriotycznej w ostatniej ćwierci XVIII wieku, o królu nic ma najmniejszej wzmianki. Na próżno też szukalibyśmy w niej termin „Rzeczpospolita”; poeta zastąpił go wyrazem „Ojczyzna”, który w dobie Oświecenia nabrał nowych, bardziej demokratycznych treści i który na znak tożsamości z oficjalną nazwą państwa polskiego pisano i drukowano wtedy konsekwentnie – dużą literą. Wspaniała apostrofa Krasickiego była z pewnością tekstem nadającym się na hymn państwowy; rzecz w tym, że miała ona charakter świecki, zaś kreowanie w pieśń reprezentacyjną utworu nie leżącego w konwencji religijnej i zarazem monarchicznego wzoru angielskiego było wówczas jeszcze nie do pomyślenia.

Z rozpowszechnionym już w Europie modelem hymnu państwowego zerwali dopiero Francuzi w okresie Wielkiej Rewolucji. Na mocy specjalnej uchwały podjętej przez Konwent w 1796 r. wodzowską pieśnią młodej republiki została ogłoszona słynna pobudka żołnierska, skutecznie podrywająca naród do walki z rojalistami o utrzymanie zdobytych swobód obywatelskich i w obronie ojczyzny przed interwentami z zewnątrz. Zyskała ona to wyróżnienie na przekór poetyce klasycznej, przyznającej miano hymnu utworom najbardziej dostojnym, głównie religijnym. O nadaniu „Marsyliance” (bo o niej mowa) najwyższej rangi wśród narodowych pieśni francuskich zdecydowała jej zadziwiająca popularność i ogromne zasługi w konsolidacji narodu z władzą w imię podstawowych haseł rewolucji: wolności, równości i braterstwa.

Nasz „Mazurek Dąbrowskiego” został uznany, podobnie jak „Marsylianka”, hymnem państwa republikańskiego, nie będąc nim w literackim ani muzycznym tego słowa znaczeniu. Podobnie jak „Marsylianka” był też u swego zarania z autorskiego przeznaczenia marszem wojskowym i zarazem pieśnią wolnościową o charakterze ogólnonarodowym. Różne koleje losu Francji i Polski sprawiły, że utwór trzydziestodwuletniego Klaudiusza Krzysztofa Rouget de Lisle’a, oficera inżynierii, ułożony w 1792 r. i noszący pierwotnie tytuł „Chant de guerre de l’armee du Rhin”, został hymnem państwowym po czterech latach społecznej służby; młodsza odeń o siedem wiosen pieśń Wybickiego doczekała się prawnego zatwierdzenia dopiero po stu pięćdziesięciu latach swojego istnienia i zasług przewodniczki narodu polskiego w dążeniu do odzyskania niepodległości.

„Pieśń Legionów” skomponowana w pośpiechu między 16 a 19 lipca 1797 r. i odśpiewana przez autora po raz pierwszy publicznie najprawdopodobniej 20 lipca, w czasie uroczystości zorganizowanej w Reggio przez Włochów i Polaków ku czci gen. Dąbrowskiego, została przez słuchaczy przyjęta owacyjnie. W krótkim czasie stała się ona sztandarowym śpiewem odrodzonej na obczyźnie armii polskiej. Niespełna sześć tygodni po prapremierze utworu gen. Dąbrowski donosił Wybickiemu w liście z Bolonii: *„Żołnierze do Twojej pieśni coraz więcej gustu nabierają, my ją sobie często nucimy z winnym szacunkiem dla Autora, którego kochać i być przyjacielem nigdy nie przestanę”*.

Szczególną radość sprawiła Wybickiemu z pewnością listowna pochwała za „Pieśń Legionów” przesłana mu w połowie następnego roku przez Kościuszkę wraz z następującą zachętą do dalszej twórczości: *„Znasz, ile pieśni entuzjazmu wpajają w dusze ludzi, co dyszą za wolnością; chciej te pomiędzy współziomkami pomnażać”*.

W ciągu kilkunastu miesięcy z pobudki żołnierskiej „Mazurek Dąbrowskiego” awansował do rangi pieśni narodowej. Już w połowie czerwca 1798 r. Friedrich von Hehe, starosta radzyński, wpadł na trop „Pieśni Legionów Polekich”, określając ją w raporcie przesłanym do władz zwierzchnich jako rewolucyjną, przemycaną przypuszczalnie z Warszawy, na administrowanym przezeń terenie powszechnie śpiewaną przez kobiety. W drugiej połowie tegoż roku Wiedeń jest alarmowany raz po raz przez galicyjską policję tajną, iż zbuntowani Polacy śpiewają „Dąbrowskischer Marsch”.

Piosenka Wybickiego – jak trafnie napisał W. Berent – *„stała za istne wici do mieszkańców zaborów wszystkich”*, szczególnie dla młodzieży, która masowo zaczęła przekradać się z domów rodzinnych do Legionów.

W krajowym podziemiu zmodyfikowano tekst Wybickiego i dopełniono go o nowe strofy. Napisana niemal pod pierwszym wrażeniem „Pieśni Legionów” jej replika, była chyba w autorskim zamierzeniu przybu-

dówką do tekstu obiegowego; na wiele lat zaciążyła ona na jego wersji słownej.

Kariera „Mazurka Dąbrowskiego” uzależniona była przez kilkanaście lat od meandrów militarnych i dyplomatycznych Napoleona, z którym Polacy związali własny program odzyskania niepodległości. Traktaty pokojowe zawarte przez Francję z Austrią w Campo Forino (18.10.1797 roku) i następnie w Luneville (9.02.1801 r.) osłabiły nadzieje legionistów na szybki marsz *„do Polski z ziemi włoskiej”* i przygasiły w całym narodzie wiarę w szczerość intencji zachodniego mocarza oraz entuzjazm zawarty w „Pieśni” na rychłą restytucję bytu państwowego. Nadzieje te odżyły po wznowieniu przez Cesarza Francuzów działań zaczepnych z Austrią, wspierającą ją armią rosyjską oraz z Prusami. Po zwycięstwie nad tymi ostatnimi pod Jeną (14.10.1806 r.) zaświeciła wreszcie Polakom szczęśliwa gwiazda; po dziewięciu latach od narodzin pieśni ziściły się zawarte w niej życzenia – generał Dąbrowski dotarł ze swoją armią do ojczyzny.

Moment ów opisał ze wzruszeniem w swoich wspomnieniach Stanisław Wodzicki:

„Dziesięcioletnie boje przyniosły wawrzyny dowódcy i jego Legionom, pełnym chwały oręża polskiego, co kroczył niezwykczony, schroniwszy się z uciemiężonej ojczyzny poza granicę polskiej ziemi, co stąpa w nadziei odbudowania Polski i rósł w szeregi brzmiające wesołą pieśnią «Jeszcze Polska nie zginęła, Marsz, marsz Dąbrowski». Pieśń ta miała urok nieopisany i siłę słowa tworzącego tysiące niezwykczonych zastępów; pieśń ta [...] sprowadziła w końcu dzielnego wodza Legionów w granice ojczyste”.

W okresie Księstwa Warszawskiego śpiewano „Pieśń Legionów” przy każdej nadarzającej się okazji. Świadczą o tym pochodzące z tamtego czasu pisma, druki i pamiątki. Prot Lelewel, napoleończyk, utrwalił w liście do K.W. Wójcickiego ciekawą anegdotę: gdy gen. H. Dąbrowski *„w r. 1806 przybył z Napoleonem i formował w Poznaniu wojsko narodowe, a w następnym roku w Warszawie gazety ogłaszały dary cesarza”* dla niektórych generałów w formie dóbr ziemskich i o Dąbrowskim nie było mowy, przyjaciele radzili mu, żeby się upomniął o nagrodę dla siebie. On im na to odrzekł: *„Dajcie mi pokój, ja mam swojego «Mazurka»!”*

Z upadkiem Napoleona „Pieśń Legionów” utraciła ostrze bojowe i aktualność polityczną, zwłaszcza po utworzeniu organizmu państwowego pod nazwą Królestwo Polskie, powołanego do życia przez koalicję mocarstw zwycięskich na kongresie pokojowym w Wiedniu.

W 1816 r. powstał hymn, który – jak się współczesnym zapewne wydawało – zastąpi legionowego „Mazurka”, jako pierwsza pieśń, przynajmniej dla tej części Polaków, którym przypadło zrzędzeniem losu żyć na wydzielonym obszarze autonomicznym byłej

Rzeczypospolitej. Mowa o ultralojalistycznym w stosunku do cara Aleksandra I, na poły religijnym, na poły historiozoficznym utworze Alojzego Felińskiego „Boże, coś Polskę”.

O renesansie omawianej przez nas pieśni zdecydowała aktywizacja polskiej myśli niepodległościowej, która doprowadziła w ciągu kilkunastu lat do wybuchu Powstania Listopadowego. Już na dwa lata przed belwederską akcją podchorążych Januaria Poźniak, zapomniany dziś poeta, przyjaciel Wincentego Pola, pisał w wierszu pt. „Rzecznie śpiewaj mi dziewczyno”:

*O Dąbrowskim ... śpiew z westchnieniem
Zakończ jego słowy,
Z tym, by tego marsza brzmieniem
Zagrzmiał nam dzwon Zygmuntowy.*

W okresie wojny 1830/1831 r. rozbrzmiewała ta pieśń na polach bitew, w koszarach, na biwakach żołnierskich, na ulicach stolicy, w teatrze; śpiewali ją wojacy i cywile, kobiety, młodzież i dzieci, cytowali politycy, publicyści i poeci. Nie tylko w Królestwie Polskim. Henryk Bogdański zapisał w „Pamiętniku”, że np. stacjonujący we Lwowie grenadierzy „na pierwszą wiadomość o zaburzeniach w Warszawie sprowadzili do koszar muzykę i odśpiewawszy *«Jeszcze Polska nie zginęła»*, wykrzykiwali: *«Niech żyje Polska»*”.

W toku badań nad dziejami „Mazurka Dąbrowskiego” w okresie Powstania Listopadowego udało mi się odszukać i zinventaryzować 18 utworów napisanych pod kanoniczne początkowe słowa i melodię „Pieśni Legionów”. Nie jest to liczba zamknięta. Daje ona wszakże wyobrażenie o olbrzymiej roli, jaką utwór Wybickiego odgrywał w ruchu wyzwoleniczym. Do ostatniego szczytu oręża. Wymowę symbolu niezachwianej nawet klęską militarną wiary Polaków w odzyskanie niepodległości politycznej posiada znany obraz malarza Ch.M. Guilberta d’Anelle przedstawiający żołnierza rannego w czasie oblężenia Warszawy 9 września 1831 r., wypisującego palcem umaczanym w własnej krwi na murze zburzonej kamienicy nieśmiertelne słowa; „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wspominał doktor Drachne, iż gen. Dwernicki przechodząc ze swoim korpusem pod koniec kwietnia 1831 r. wzdłuż granicy austriackiej, koło Radziwiłłowa podejmował oficerów i urzędników cesarskich „wśród powszechnych oklasków i dźwięku muzyki na nutę *«Mazurka Dąbrowskiego»*”. Wymowne są też słowa apelu Antoniego Ostrowskiego skierowane do „poziomo usposobionych” rodaków na krótko przed kapitulacją Warszawy:

„[...] Przebaczymy im, prześladować ich nie będziemy i chętnie pozwolimy im w spokojnej pozostać nicości. Tyle

im tylko powiemy, że nie do nich lud polski śpiewa «Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy wy żyjecie», lecz niech wcześniej i póki jeszcze dla nich samych i dla nas jest czas, ustąpią”.

Możne powiedzieć bez obawy o przesadę, iż dopiero teraz, pod wpływem nowego, potężnego zrywu niepodległościowego, „Mazurek Dąbrowskiego” z pieśni ulubionej i już wielce zasłużonej w okresie napoleońskim, już wtedy powszechnie znanej, już wtedy narodowej, osiągnął rangę najpierwszej pieśni wolnościowej Polaków – rangę hymnu narodowego.

Trzeba podkreślić, że śpiewali tę pieśń nie tylko walczący, ufni w zwycięstwo, ale i pokonani, uchodzący po przegranej powstania na tułaczkę. Śpiewali ją jeńcy i więźniowie polityczni uwięzieni kibitkami na Sybir. Stał się „Mazurek Dąbrowskiego” pieśnią buntu i permanentnego protestu przeciwko niewoli, zapowiedzią dalszej nieustępliwej walki, odbierającą spokój politykom państw zaborczych. Ładnie napisał Leon Zienkiewicz: *«Ilekróć (wrogowie) wybluźnili ową obrzydłą rozbójniczą radość (po zdławieniu ruchu niepodległościowego), tylekróć dolatywał ich uszu wyraźny odgłos: «Jeszcze Polska nie zginęła»*”. W innym miejscu tenże sam emigracyjny publicysta wskazał na tkwiące w „Mazurku Dąbrowskiego” źródło optymizmu: *«Owoż zaledwie wzrokiem wzdłuż, wszędy i dokoła rzucimy na cały nasz naród, radosne uczucie rozbudza się w duszy naszej, bo zewsząd – z przodu, z boków i nawet zokoła zalatywać zda się do naszych uszu śpiew «Jeszcze Polska nie zginęła»! Polska żyje! Polska rośnie! Polska cierpi! Ciągłe cierpi! Lecz my tych dzisiejszych boleści nie oddalibyśmy za ostatnie chwile Stanisławowskiej oświaty, ani za rozkoszne czasy wiecznie pijanych Sasów»*”.

Nie będzie przesadnym stwierdzenie, iż „Mazurek Dąbrowskiego” funkcjonował jako najdoslejniejsza, wszechobecna pieśń polityczna Wielkiej Emigracji. Polacy przebywający na tułactwie śpiewali go niemal podczas każdego zebrania publicznego i towarzyskiego, w gronie swoim i z udziałem przyjaciół – Francuzów. Pierwsze zdanie „Mazurka Dąbrowskiego” egzystowało jako znakomity slogan niepodległościowy. W tym charakterze A. Jełowicki, emigracyjny bibliopola, umieścił je na odwrocie karty tytułowej pierwodruku „Pieśni Janusza”. Incipit omawianej pieśni użyty został przez wydawcę czasopisma „Feniks” jako tytuł dla pierwszego, programowego artykułu o podstawach historycznych odrodzenia się Polski. Z artykułu tego zacytujemy jedno zdanie:

„Z grobu ojczyzny naszej zabrzmiała pieśń nadziei «Jeszcze Polska nie zginęła» i do pamiętnej epoki pierwszego upadku naszego, za każdą wydarzoną sposobnością powstawał naród cały jakby jeden człowiek dla wywalczenia wydartych sobie praw, z tą zupełną poświęcenia się, z tą bezwarunkową ofiarą z majątków i życia, jakie jedynie

pochodzić może z silnego przekonania, że cel szlachetnej dążności niewątpliwie kiedyś osiągniętym zostanie”.

Lucjan Siemieński w „Epilogu” do opowiadań poetyckich wydanych pt. „Trzy wieszczby”, zaadresowanym „Do naszych wieszczów”, uplasował „Mazurka Dąbrowskiego” na najwyższym podium poezji polskiej, obok „Bogurodzicy”:

*O! tylko śmiało Nie na gorzkie płacze,
Nie na kaniony w puściźnie wam dali
Gęś przedbojańską owi trzech oracze,
Co pieśni mieli, a nie mieli stali!
Na ziemi Lecha stał rodzi się z pieśni,
Boga Rodzicą Polska nam stanęła,
Mazurkiem: „Jeszcze Polska nie zginęła”...*

Omawiana pieśń jednoczyła uchodźców polskich wokół sprawy niepodległości bez względu na ich przynależność do zwalczających się wzajemnie stronnictw politycznych, była też ideowym łącznikiem między nimi a krajem, między nimi a innymi narodami ujarzmionymi.

Po Powstaniu Listopadowym „Mazurek Dąbrowskiego” wszedł do śpiewnika pieśni wolnościowych o zasięgu europejskim. Jeszcze przed atakiem podchorążych na Belweder znane było tłumaczenie tego utworu Wybickiego na język francuski. W czasie wojny 1831 r. powstała niemiecka wersja „Pieśni Legionów”. Kiedy po przegranej wojnie żołnierze nasi zwartymi oddziałami maszerowali na Zachód przez miasta niemieckie, tłumy witały ich pieśnią:

*Noch ist Polen nicht verloren
In uns lebt sein Glück...*

Tekst tej adaptacji przyjął się w społeczeństwie niemieckim i – jak to udowodnił Wolfgang Steinitz w wydanej przed dwudziestu kilku laty książce – egzystował jako pieśń wolnościowa w kilku odmianach jeszcze w okresie Wiosny Ludów. O upowszechnieniu znajomości polskiej „Pieśni Legionów” w państwach niemieckich świadczą liczne o niej wzmianki w wierszach wielu sympatyzujących z Polakami poetów. Kompozytor Albert Lortzing w 1832 r. wprowadził motyw melodii „Mazurka Dąbrowskiego” do wodewilu „Polak i jego dziecko, czyli kapral z IV pułku” – już na początku uwertury. Ludwig Uhland, po zgonie Goethego uznawany za najwybitniejszego poetę niemieckiego, po zapoznaniu się w przekładzie z „Księgami Narodu i Pielgrzymstwa”, w wierszowanej pochwie Mickiewicza napisał m.in.: „*Taki mistrz daje pewność, że jeszcze Polska nie zginęła*”. W jedenastej strofie wiersza „Der Kościuszkohügel”, wydrukowanego w pamiętnym okresie Wiosny Ludów w Dreźnie, w tomiku „Zehn Polenlieder”, L. Wittig wyróżnił „Mazurka Dą-

browskiego” jako jedną z najważniejszych pieśni naszych, wymieniając go – podobnie jak Siemieński – po „Bogurodzicy” oraz po hymnie katolickim „Te Deum laudamus”:

*Jetzt am Puss des Heldenhügels halten sie
in weiten Kreisen,
Und wie Geisterklänge rauschen
unserer Väter schlachten weisen;
„Jungfrau, die Herrn geboren”,
„Gott die Ehre Überall”
„Noch ist Polen nicht verloren”,
jauchzet der Trompeten Schall.*

Z uczestnikami Powstania Listopadowego, którzy po przegranej wojnie uszli na emigrację, zawędrowała „Pieśń Legionów” również i za Ocean Atlantycki. Wiemy, że np. w Bostonie na prośbę przyjaciół zaśpiewał ją w piątek 30 marca 1832 r. były wiarus Jerzy Hordyński.

Pieśń musiała zyskać w Stanach Zjednoczonych duży rozgłos i sympatię wśród obywateli tego kraju innych narodowości, skoro Grobe i Carusi, dwóch znanych ówczesnie kompozytorów amerykańskich, napisało i ogłosiło drukiem wariację sztandarowego naszego hymnu. Z okazji rozmaitych uroczystości grano tam potem przez długie lata utwór Wybickiego jako reprezentacyjną polską pieśń narodową. Ludwik Żyliński, nasz rodak uczestniczący trzydzieści lat później na drugiej półkuli w wojnie domowej po stronie demokratów, zanotował, iż w dniu 28 marca 1862 r. w obozie Prezydenta Lincoln pod Waszyngtonem „*pito przy mówkach na zdrowie i pomyślność Polaków, a muzyka, w której znajdowali się Czesi i dwóch Polaków z Warszawy, zagrała «Jeszcze Polska nie zginęła»*”.

Ogromną popularność zdobył „Mazurek Dąbrowskiego” wśród ludów południowo-słowiańskich, o czym świadczą adaptacje pieśni na ich języki. W 1834 r. Samuel Tomašik napisał hymn w języku czeskim, zapożyczając z naszego początkowe słowa i melodię. Ludwik Gaja rok później w podobny sposób spożytkował „Mazurka Dąbrowskiego” dla Chorwatów. Nota bene wzorowana przezeń na naszej pieśń wolnościowa uznana jest obecnie jako państwowy hymn Jugosławii. W 1840 r. H. Zejler ułożył pieśń „Hišće Serbstvo njehubjenne” w języku górnołużyckim. Dla kompletu przydajmy wiadomość o hymnie „*Szचे ne wmerła Ukraina*” ułożonym w okresie Powstania Styczniowego przez poławianina Pawła Czubińskiego.

W ojczystej literaturze romantycznej egzystowała „Pieśń Legionów” jako wszechobecna. Dla przykładu przypomnijmy tylko o wzmiankach o niej w „Kordianie”, w „Dziadach”, a szczególnie w „Panu Tadeuszu”. Wielkim miłośnikiem tej pieśni był Mickiewicz. Wiadomo, iż jej melodia przyprawiła go pewnego razu o nastrój nieodzowny dla improwizacji poetyckiej, ostatniej w życiu wieszcz. Było to w czasie

imienin w 1840 r. Szczegóły tego wydarzenia znamy z listu Eustachego Januszkiewicza do Eugenii Larissówny: „Było nas ze czterdziestu, najwięcej znajomych i przyjaciół bliskich Adama – pisze znany na Emigracji wydawca czasopism i książek polskich – przez cały wieczór wszyscy nasi artyści polscy popisywali się swoimi talentami, a na kwadrans przed wieczorą grał na gitarze znakomity artysta Szczepanowski wariacje na nutę «Mazurka Dąbrowskiego» i tym graniem przypominał Adamowi jego Jankiela grającego na cymbałach”. Nazajutrz, kiedy była mowa o onegdajszej improwizacji poety, Januszkiewicz dziwił się, „jak małe okoliczności potrafiły jego duszę tak wysoko nastroić. Oto gitara i «Marsz Dąbrowskiego», i to, że kiedyśmy szli na dół na wieczór, ja zaprosiłem marszałka Kaszycy, jako reprezentanta województwa nowogródzkiego, aby dał rękę Mickiewiczowi”. Dodajmy, że omawiana przez nas pieśń narodowa stała się przewodnim śpiewem i melodią zorganizowanego głównie za staraniem Mickiewicza legionu. Kiedy 19 listopada 1848 r. nowo uformowana jednostka wojska polskiego ruszyła ku granicom Italii, „z tęgą, dziarską miną, «Jeszcze Polska nie zginęła» zabrzmiało na trąbce”.

Smakował w melodii „Mazurka Dąbrowskiego” Fryderyk Chopin; a jak drogą jego sercu pieśń ta była, najlepiej świadczy fakt, że przed samą śmiercią kazał sobie zagrać „Jeszcze Polska nie zginęła”. Bo też jeśli idzie o uczucia patriotyczne, wielki kompozytor nie ustępował trzem wielkim wieszczom. O tej jego miłości do macierzystego kraju piękne wspomnienie zostawił znający go osobiście E.W. Lequoue, poeta, pisarz i dramaturg francuski, zdradzając w swoich „Etudes et souvenirs de theatre” m.in. tajemnicę, że wiekopomny „Marsz żałobny” był w istocie pieniem zgonu ojczyzny Chopina i że genialny artysta, grając go, dlatego zawsze wielce cierpiał, po koncercie nie mógł wymówić jednego słowa.

Inny przykład podobnie wzruszający związany jest z nazwiskiem Teofila Lenartowicza. Gdy umarł (3 lutego 1893 r.), przyjaciele ubrali go w czarną, a na piersi położyli mu tarczę z wypisanymi na niej słowami: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Roman Zmorski tekstem zapożyczonym od Wybickiego przepowiedział powrót Polski nad Bałtyk, w czasie pobytu na kaszubszczyźnie w 1844 r.

To nasze wybrzeże!.. I to się w mgłę kryje...

Nic, tylko wody – niebios a i wody...

*Straszno! Hej, pieśń w górę!.. Pieśń, córa swobody,
Tę grozę pustyni rozbije.*

I jak sokół, gdy z szumem w jasny nieba lazur

Wzlatując z łomnickich gór częła,

Polotnie ku górze wionął grzmiący mazur:

„Jeszcze Polska nie zginęła”...

Aż pieśnią zbudzone bałtyckie powodzi

Zadrżały i jęły podnosić się całe –

*I gwarnie, gromadnie, aż do naszej łodzi
Bałwany cisną się białe.*

*Jak by się cieszyły te mokre głębinie,
Pomne dawnych wieków chwały,
Wieszczbą, że znów skrzydła nad nim rozwinie
Prawy dziedzic: orzeł biały.*

W okresie wzmożonych ruchów niepodległościowych pod zaborem pruskim nie schodziła „Pieśń Legionów” z ust politycznym manifestantom, rozbrzmiewała na deskach polskiego teatru w Poznaniu. Dała się publicznie słyszeć, chyba po raz pierwszy od czasu sypania kopca Kościuszki, także w Krakowie. W teatrze wystawiono „Dziady” i „Wesele krakowskie”. Aniela Louis, wówczas panna na wydaniu, zanotowała w swoim dzienniczku, że w trakcie spektaklu w dniu 27 marca 1848 r. „pełno było patriotycznych śpiewek; co moment krzyczał parter, żeby muzyka grała to «Poloneza Kościuszki», to znowu «Jeszcze Polska nie zginęła»”.

Trzeba przypomnieć, że w pierwszej połowie XIX stulecia w Galicji polskie pieśni patriotyczne były tropione przez policję z nie mniejszą gorliwością, niż pod zaborem rosyjskim. Opowiada Franciszek Wiesiołowski, że kiedy przebywał w Tenczyńcu w 1842 r., wędrowną banda Cyganów zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła”, „oczy mu się zaiskrzyły i wąsy w górę najeżyły” – z radości. Obecni tam rodacy pojąć nie mogli, że pod tym samym cesarskim berłem wolno im było słuchać tej pieśni i nie być szarpanymi przez policję. Wiesiołowski słyszał, oczywiście, „Mazurka Dąbrowskiego”, ale granego na fortepianie, w skrytości domowej, bowiem po północnej stronie Karpat publiczne demonstrowanie tego utworu było zabronione.

Tej samej wielkiej wiosny w powołanym do życia „Tygodniku Cieszyńskim” ukazała się poetycka odezwa oparta na adaptacji „Mazurka Dąbrowskiego” z roku ostatniej wojny polsko-rosyjskiej. Zaczynała się od znanego nam hasła strofą następującą:

*Jeszcze Polska nie zginęła, póki w nas krew płynie,
Dalej bracia do oręża, niech raczej wróg zginie!
Dalej bracia, wszystko sprzyja, serca nasze zgodne,
Wróćą czasy wolne, sławne, wróćą dni swobodne.
Marsz, marsz Polacy, odpoczniecie po pracy,
Laurem głowy zwieńczycie, słodko trudy wspomnicie.*

Kornel Ujejski przeciwstawił w 1853 r. „Mazurka Dąbrowskiego” okrzykowi rozpacz, który rzekomo usłyszano z ust rannego Kościuszki pod Maciejowicami:

*Już hetmana wyniesiono pod namiot rozpięty,
Gdy się ozwał słodkim głosem doń Stanisław święty:
„Snać ty o mnie zapomniłeś, o polskim patronie,
Jeśli prawda, że krzyknąłeś raz: Finis Poloniae!”*

*Na to hetman: „O mój ojczu! choć sercem przełękłem
Zanurzałem się w boleściach, tych słów nie wyrzekłem!
Raczej z mojej biednej piersi to ojczyzna wzięła,
Z czego wkrótce pleśń urosła: „Jeszcze nie zginęła”.*

Określał „Mazurek Dąbrowskiego” przynależność narodową Polaków rozsianych niemal po całym świecie, był pieśnią dumy w chwilach ich szczególnie wybitnych osiągnięć nie tylko militarnych, politycznych, ale i artystycznych i sportowych. Warto przytoczyć przykład najstarszy chyba. Kiedy w 1842 r. jeden z naszych podróżników wspiął się na wysoki szczyt w Himalajach, zaśpiewał „Jeszcze Polska nie zginęła”.

A oto przykład inny, podobny. W 1881 r. przebywała na Jamajce wycieczka z Austrii. Gdy biorący w niej udział podróżnicy znaleźli się na szczycie ruin warowni Vigia panujących nad miasteczkiem Cabello, zaczęli śpiewać narodowe pieśni. Jak donosił w liście jeden z uczestników, pieśni „Der blauen Donau” poświęconej wtórował śpiew „Kde vlasti ma” i odpowiadało echo: „Jeszcze Polska nie zginęła” świadczące, że oprócz Niemców i Czechów w imprezie tej brali udział także poddani cesarscy z Galicji.

Wiemy już, że „Mazurek Dąbrowskiego” był w czasach niewoli tropiony i surowo tępiony przez policję i cenzorów jako najbardziej popularna polska pieśń wolnościowa. Ośmieszano go również w śpiewach wyszydających. Jan Zachariasiewicz w opowiadaniu pt. „Jednodniówki” napomknął o jednym z podobnych bluźnierstw wyrażonych „mową ludu jednoplemiennego”. Jedynie Polacy żyjący pod zaborem austriackim mogli od połowy stulecia śpiewać „Mazurka Dąbrowskiego” nie obawiając się z tego powodu prześladowań. Po uzyskaniu połowicznej autonomii Franciszek Smolka, przemawiając w parlamencie w Wiedniu za wolnością i niezależnością sejmów prowincjonalnych, zakończył swoje wystąpienie okrzykiem: „Jeszcze Polska nie zginęła!”. Rodacy zgotowali mu za to serdeczną owację.

Gdy w roku 1880 zjechał do Krakowa Franciszek Józef, na Błoniach otoczyła orszak cesarski banderia 600 chłopów „na dziarskich koniach, w kierezyjach białych z krakowska wyszywanych, z pawim piórem i kwiatami”, współcześni patrzyli na ten obraz ze wzruszeniem, ponieważ to chłopskie wojsko stało się dla nich synonimem niepodległości. Nieznany korespondent donosił do Warszawy w liście publicznym, iż „mimo woli patrzącemu na tę kawalkadę przypomniał się znany wiersz:

*Mówił ojciec do swej Basi
Cały zapłakany,
Patrz no Basiu, uszak to nasi
Biją w tarabany”.*

Nie dajmy się zwieść przykładom, którym natychmiast można by przeciwstawić fakty świadczące,

że i za rządów Franciszka Józefa cenzorowie galicyjscy nie zasypiali gruszek w popiele. Wystarczy wspomnieć, że jeden z nich usunął z „wypisów szkolnych” następujący dystych z koncertu Jankiela:

*A z trąb znana piosenka ku niebu wionęła:
Marsz tryumfalny „Jeszcze Polska nie zginęła”.*

Jeszcze jeden przykład, literacki tym razem, charakteryzujący „Mazurka Dąbrowskiego” jako pieśń dumy narodowej Polaków. Pamiętamy z lektury powieści Sienkiewicza „W pustyni i puszcy”, jakie to dwa wyrazy wyrył Staś Tarkowski na gnejsowej skale na stokach Kilimandżaro („Jeszcze Polska...” – przyp. red.). „Anglicy dziwili się chłopcu, że nie przyszło mu na myśl uwiecznić na tej afrykańskiej skale swojego nazwiska”.

Początkowe wyrazy „Mazurka Dąbrowskiego” egzystowały wybrane z pieśni jako symbol wywoławczy określonych treści politycznych również w sztuce ludowej. Oto na jednym z kafli mazurskich, pochodzących z połowy XIX stulecia, znajduje się znamieny slogan wolnościowy:

*Jeszcze Polska nie zginęła,
Ale zginąć musi jej pan.*

Nie tylko tekst pieśni Wybickiego, ale i melodia sama posiadała podobnie symboliczną wartość wywoławczego hasła patriotycznego i wiary w lepsze jutro Polaków. W wielu domach wydzwaniały ją codziennie zegarowe pozytywki, rozpowszechnione – jak wiemy choćby z „Pana Tadeusza” – już w czasach Księstwa Warszawskiego.

Wspomnieć trzeba również o ludowych parodiach „Mazurka Dąbrowskiego”, bo i one należą do historii naszego hymnu narodowego. Wymierzone one były przeciwko fałszywym patriotom, piętnowały obojętność polityczną zaprzańców albo ultraloyalistów, lub wynikały po prostu ze swoistego humoru, którego przykładem zaświecił w XVIII wieku Ignacy Krasicki, przekomarzając dla celów satyrycznych w „Monachomachii” swoją słynną apostrofę „Do miłości ojczyzny” (Inc.: „Wdzięczna miłości kochanej szklenice/ Czuje cię każdy, i słaby, i zdrowy”). Pamiętam z okresu dzieciństwa jedną z takich śpiewek:

*Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki kura w garnku,
Jak się kura ugotuje,
Zjemy po kawałku.*

W roku 1843 Józef Lompa, znany zbieracz pieśni śląskich, zanotował parodię utrzymaną w podobnym duchu, nie widząc, że powstała ona w Italii rychło po narodzinach „Mazurka Dąbrowskiego”, śpiewana – jak

wiadomo ze wspomnień majora Piotra Wierzbickiego – przez legionistów zwiedzionych obietnicami powrotu do kraju ojczystego:

*Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy.
Gorzałka się nie zaśmierdzi,
Bo ją wypijemy.*

W czasie Powstania Listopadowego kursowała po Warszawie przedrzeźnianka „Pieśni Legionów” wymierzona ostrzem satyrycznym w próżniaków i tchórzów uchylających się od walki z wrogiem na polu. Cytuję strofy pierwszą i ostatnią:

*Jeszcze Polska nie zginęła
Gdy są traktujernie,
Kto je, pije, wesół żyje,
Ten ją kocha wiernie.*

*Marsz, marsz do łyżki,
Od łyżki do miski,
Potem się napijmy
I wesóło żyjemy.*

*Niech rycerze nasi giną
Niech się chlubią blizny!
My, nim złe czasy przeminą,
Żyjmy dla ojczyzny.*

Marsz, marsz...

Inny wymiar satyryczny posiada oczywiście, parodia literacka wydrukowana przez Wacława Jeziorowskiego w czasopiśmie „Muchy” pt. „Pieśń narodowa polska z czasów cenzury Hurki”:

*Jeszcze tamta nie tamtego,
Póki my owego,
Jeszcze owo nie owego,
Póki my tamtego.*

Pod zaborem rosyjskim „Mazurek Dąbrowskiego” był tępiony przez policję carską jako pieśń buntownicza, szczególnie znienawidzona za jej popularność w okresie Powstania Listopadowego. Józef Kenig, znany przed stu laty warszawski dziennikarz, tak wspominał te okropne Paskiewiczowakie czasy w rozmowie z Józefem Kotarbińskim, początkującym aktorem i literatem, późniejszym (w latach 1899 – 1905) dyrektorem Teatru im. Słowackiego w Krakowie: „*Za mojej młodości, wiesz, co było szczytem patriotyzmu? Oto gdyśmy poszli do handlu win na dawnym wąskim Krakowskim Przedmieściu, jeden z nas wychylał się do sąsiedniego pokoju i zaglądał, czy jaki szpicel nie podstuchuje. Potem trącaliśmy się kielichami szepcząc po cichu między sobą: «Panowie! J.a., panowie!»*”

J.a. – to była pierwsza i ostatnia litera hasła: «Jeszcze Polska nie zginęła!» Głośno nawet między sobą nie śmieliśmy tego wymówić». Mimo okrutnych represji zdarzały się przecież wypadki, że patrioci, zwłaszcza młodzi, buntowali się słowami „Mazurek Dąbrowskiego” przeciwko niewoli głośno, okupując swą odwagę męczeństwem, a nawet życiem. Opowiada J. Gordon: „Roku 1849 przywieziono do Cytadeli siedemnastoletniego chłopca – nazwiska jego nie pomnę – który przy naocznej konfrontacji w sali posiedzeń z innymi zadziwiał mocą charakteru nad wiek swój; mając świadków przeciw sobie, a nie chcąc dać żadnego objaśnienia w sprawie, został wzięty na tak zwane punkciki. Skazanemu na nie ześrubowują podobno głowę w nowego wynalazku maszynę do przyznania, dając niekiedy szczutki w nos, dopóki krew z niego nie pociecze. [...] Młodzian zniósł torturę nie wyrzekłszy ani słowa, ale wychodząc spod niej zanucił oprawcom zwrotkę: «Jeszcze Polska nie zginęła». Przeraziła ona potem przez kilka nocy swym grobowym tonem więźniów, dopóki ofiara nie przeniosła się z nią do wieczności”.

Po raz pierwszy od daty upadku powstania omawiana przez nas pieśń zabrzmiała chóralnie na ulicach Warszawy dopiero w czasie manifestacji zorganizowanej w trzydziestą rocznicę ataku podchorążych na Belweder. Z relacji współczesnych wiemy, że po raz wtóry rozległa się ona trzy miesiące później, podczas pamiętnej manifestacji politycznej 28 lutego 1861 r. Agaton Giller, naoczny świadek, wspomina, że śpiewało ją kilkadziesiąt tysięcy ludzi. „*W jej tonie była siła zwycięstwa. Polska w duszach ukryta odezwała się głosem pieśni. Łzy błyszczały w oczach, cały tłum był jakby zachwycony. Z tą pieśnią lud z placu jak fala potoczył się przez ulicę Świętokrzyską na Nowy Świat i tam zatrzymał się przed pałacem Andrzeja Zamoyskiego, do którego wysłał deputację niosącą wieniec obywatelski*”.

Jest rzeczą znaną, że w czasie Powstania Styczniowego „Mazurek Dąbrowskiego”, aczkolwiek nie schodził z ust manifestantów i partyzantów, nie osiągnął już tych tryumfów, które go tak wysoko wyniosły i uświęciły trzydzieści lat wcześniej. Egzystował on na równi z pieśnią A. Felińskiego „Boże, coś Polskę”, która przeżywała teraz prawdziwy renesans (ze zmienioną, oczywiście, końcówką refrenu), konkurował z „Chorałem” K. Ujejskiego i z „Warszawianką Francuza Delavigne’a” przełożoną na język polski przez Karola Sienkiewicza jeszcze podczas minionej insurekcji i śpiewaną na nutę autorstwa Karola Kurpińskiego. Wziętością cieszyła się w tym czasie również pieśń śpiewana w Wielkopolsce już w 1846 r. w związku z zamierzonym ogólnonarodowym powstaniem pod naczelnictwem Ludwika Mierosławskiego, ułożona na kanwie słownej „Mazurek Dąbrowskiego” pod inną melodię. Przytaczamy z niej strofę poświęconą wodzowi zaplanowanego już w 1845 r. ruchu zbrojnego, a w 1863 r. przez czas niejaki dyktatorowi insurekcji styczniowej:

*Kiedy zabrzmi trąbka nasza, pocwatają konie,
Powiedzie nas Mierosławski na ojczyste błonie.*

*Marsz, marsz Polacy!
Marsz dzielny narodzie!
Odpocznijmy po swej pracy
W ojczystej zagrodzie.*

W „Zbiorze pieśni narodowych” wydanym w Nowym Jorku w 1864 r. „dla użytku naszych braci rozproszonych w Ameryce” – „Jeszcze Polska nie zginęła” występuje dopiero na siódmym miejscu w hierarchii śpiewów narodowych – po pieśni „Do Pielgrzymów” (inc. „O ty, co świata przebiegasz progi”), po „Boże, coś Polskę”, po „Chorale”, po modlitwie „Do Boga” (inc. „O Ty, Przedwieczny!”), po „Hymnie” Krasickiego „Do miłości ojczyzny”, wreszcie po religijnej suplikacji „Zmiłuj się Boże nad polskim narodem” (inc. „Królu potężny, wiekuisty Boże”).

Ze względu na olbrzymi ładunek emocji patriotycznych, zawarty zwłaszcza w pierwszych słowach „Pieśni Legionów”, pozostała ona w dalszym ciągu jednym z najważniejszych i najbardziej reprezentacyjnych manifestów przynależności narodowej oraz symbolem tęsknot i dążeń niepodległościowych Polaków, mieszkających w kraju i rozsianych wichrami historii po całym świecie.

Pieśń posiadająca walor pobudki żołnierskiej, pieśń czynu zbrojnego nie pasowała do programu pracy organicznej zalecanego ziomkom przez pozytywistów. Nic też dziwnego, że po krwawym stłumieniu ostatniego zrywu wolnościowego „Mazurek Dąbrowskiego” stracił na długie lata aktualność bojową i przeszedł niejako do rezerwy. Zwłaszcza pod zaborem rosyjskim.

W Galicji utwór Wybickiego publikuje się raz po raz w licznych śpiewnikach. Znaczną rolę w jego upowszechnieniu odegrała antologia „wierszy, pieśni z muzyką i marszów wojska polskiego” pt. „Echa minionych lat”, w opracowaniu J. Horoszkiewicza, wydana dwa razy: we Lwowie-Lipsku w 1889 r. i w Krakowie w 1898 r.; także albumowa edycja z roku 1894 „Pieśni Legionów” poprzedzona rozprawą wstępną Ludwika Finkla, efektownie zilustrowana przez Juliusza Kossaka. Wydano ją we Lwowie staraniem Ossolineum. Interesujący nas utwór figurował także na pierwszych kartach popularnych zbiorów z pieśniami patriotycznymi, wśród których na wyróżnienie zasługuje śpiewnik pt. „Jeszcze Polska nie zginęła” opracowany przez Franciszka Barańskiego, wydany po raz pierwszy we Lwowie w 1893 r. Ten ostatni doczekał się w następnych latach aż dziewięciu wznowień. Władze austriackie patrzyły na tego rodzaju druki przez palce, zdając sobie sprawę, że głównym ostrzem ruch niepodległościowy Polaków wymierzony był przeciwko Rosji.

Prusacy wykorzystali „Pieśń Legionów” w czasie wojny 1870 r. Gdy otrąbiono na pewnym odcinku frontu rozkaz ataku na pozycje francuskie, żołnierzom z poznańskiego dla dodania animuszu bojowego zagrano melodię, „od której każda kropla krwi skakała w piersiach”. Tragizm tego wydarzenia znamy wszyscy z noweli „Bartek zwycięzca”.

Opowieść Sienkiewicza warto wzbogacić wiarygodną relacją Zygmunta Gawareckiego, świadczącego, jak wielką świętością była ta pieśń dla Polaków przelewających krew na rozkaz pruskiego zaborcy. Oto jeden z żołnierzy, „chłop polski, ranny pod Sedanem, kazał sobie i innym żołnierzom Polakom śpiewać *«Jeszcze Polska nie zginęła»* i przy tym odgłosie skonał”.

O wzroście świadomości narodowej Polaków żyjących pod zaborem pruskim i o narastającej w związku z tym ich aktywności politycznej pisały z niepokojem gazety niemieckie. W jednej z nich, mianowicie w „Norddeutsche Allgemeine Zeitung”, pojawiła się wiadomość o pieśniach śpiewanych we Wrocławiu przez akademików z Górnego Śląska, „*technących gorącą miłością Polski, a wiejących nienawiścią ku Niemcom. W jednej z tych pieśni stoi: Zniemczył dwory i miasta, a teraz wygania język nasz z chat wiejskich. Ale dopóki choć jeden Ślązak żyje, wołać będzie: «Jeszcze Polska nie zginęła»*”.

Jakoż wołali coraz częściej i coraz głośniej. Dowodem, jednym z wielu, szczególnie przekonującym świadczącym o popularności pieśni omawianej wśród mieszkańców tej prastarej dzielnicy piastowskiej i o ich przywiązaniu do macierzy jest znaczący epizod odnotowany przez reportera krakowskiego „Czasu” w numerze 136 tej gazety z 16 czerwca 1880 r. Otóż dziennikarz ów uznał za stosowne umieścić w prowadzonej na bieżąco kronice aktualności wiadomość o zwiedzeniu w dniu 13. wzmiankowanego miesiąca Wieliczki przez 700-osobową wycieczkę Ślązaków. „*Goście przesadzali się w pochwałach i uniesieniu nad osobliwości salin wielickich.*” Gdy zgromadzili się „*na dworcu kolei Gołuchowskiego, na powszechne żądanie* (podkr. R.K.) *muzyka salinarna* (orkiestra kopalni – przyp. red.) *odegrała «Boże, coś Polskę» i po dwakroć «Jeszcze Polska nie zginęła»*”.

W czasach bismarckowskich, zwłaszcza pod koniec rządów „żelaznego kanclerza” i po jego śmierci, Polaków manifestujących swe opozycyjne poglądy polityczne śpiewaniem narodowych pieśni patriotycznych „Jeszcze Polska nie zginęła” i „Boże, coś Polskę”, karano więzieniem.

W Archiwum Państwowym w Poznaniu, w zespole papierów policyjnych oznaczonych sygnaturą 2814, zachowały się „Acta betreffend das «Boże, coś Polskę»” (s. 261-269) oraz (s. 531) „Acta betreffend «Boże, coś Polskę» und andere politische Lieder”, 1844 – 1902. Znajduje się tu m.in. tekst „Pieśni Legionów” z 1898 r., z oskarżycielską uwagą, że jej tendencją jest „*miłość ojczyzny Polaków i poróżnienie obywateli obydwu*

narodowości”. Na specjalną uwagę zasługuje załączona do akt (na str. 335) ulotka zawierająca próbkę „Mazurka Dąbrowskiego” w duchu socjalistycznym, napisana dla uczczenia setnej rocznicy Powstania Kościuszkowskiego, skonfiskowana przez policję w 1896 r. Przytaczamy pierwszą strofę:

*Jeszcze Polska nie zginęła
Póki my żyjemy,
Starą Polskę przemoc wzięła,
Nową zbudujemy.*

*Marsz, marsz Polacy,
Do walki i pracy!
Pod krwawym sztandarem
Rozprawim się z carem.*

Według zeznań Polaków obwinionych o rozpowszechnianie tej ulotki, została ona przysłana do kraju potajemnie z Londynu na polecenie tamtejszej sekcji Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich. Być może wyszła ona spod pióra Hieronima Truszkowskiego, autora głośnego „Marsza pogrzebowego” napisanego na dwunastą rocznicę śmierci czterech Proletariatczyków, straconych w Warszawie w 1886 r.

Nawrócony na polskość pod wpływem lektury powieści Sienkiewicza Alfred Olszewski, ziemianin z Warmątowic pod Legnicą, nakazał w testamencie, aby mu po śmierci zagrano nad trumną „Jeszcze Polska nie zginęła”. Żądaniu jego uczyniono zadość w 1909 r.

W Parku Rozrywek zorganizowanym we Wrocławiu w stulecie walk wyzwoleniczych z Napoleonem, grupa Polaków, urzędników kopalnianych, zabawiająca się w specjalnie zbudowanym schronisku karkonoskim, kazała kapeli zagrać „Mazurka Dąbrowskiego”, a gdy jeden z obecnych szowinistów niemieckich zrobił z tego powodu scenę właścicielowi schroniska, Polacy manifestacyjnie zobowiązali muzykantów do powtórnego odegrania hymnu. Incydent znalazł odbicie w miejscowej prasie. Kierownik schroniska oświadczył w obronie własnej, że kwestionowana pieśń polska nie jest przecież zabroniona, że grywa się ją wszędzie na koncertach, a nawet w kościołach.

Znakomitą rolę w upowszechnianiu „Mazurka Dąbrowskiego” i podtrzymywaniu w społeczeństwie zawartej w pierwszych słowach tej pieśni idei walki o niepodległość ojczyzny odegrały kobiety, głównie jako matki. One pierwsze przecież uczyły jego słów i melodii własne dzieci, niejednokrotnie z łezką w oku; one podtrzymywały w rodzinach, a więc fortcach nigdy nie zdobytych przez wroga, wiarę w odrodzenie Polski, mimo licznych klęsk i beznadziejnej przez długie lata sytuacji politycznej; one najczęściej powtarzały hasło: „Jeszcze Polska nie zginęła!” W wierszu pod takim właśnie tytułem ich patriotyczne posłannictwo trafnie oddała Seweryna Duchińska:

*Wciąż to hasło wielkim chórem uderza w niebiosy,
Czy słyszycie? w chór niewieście złączyły się głosy:
„Jeszcze Polska nie zginęła!” Bóg ją wyswobodzi,
Gdy ją wszczepim żywą, całą w serca polskiej młodzi.*

*Zacne matki i mistrzynio, pierś z piersią, dłoń z dłonią.
Wasze siły połączone tę dziatwę zasłonią
Od zarazy, co ze świata złowrogo dziś wieje,
Mrozi serca, gasi wiarę, odgania nadzieję...*

*Powtarzajcie, zacne matki, wołajcie mistrzynio:
„Jeszcze Polska nie zginęła i nigdy nie zginie!”
Póki wiernie przy ognisku wytrzymamy czaty,
Ona żywa i bezpieczna, wolna od zraty.*

Krzewicielkami myśli niepodległościowej były także kobiety coraz liczniej pracujące na niwie charytatywnej i zawodowo, głównie jako nauczycielki, literatki (dość przypomnieć Elżę Orzeszkową i Marię Konopnicką) oraz aktorki. Z tych ostatnich na wdzięczną i długą pamięć zasługują Helena Modrzejewska, Romana Popiel i wiele innych ich siostrzyc ze sceny. O Romanie Popiel przechowało się w tradycji rodzinnej powiedzenie cenzora Jankulio, który miał się wyrazić już w późniejszych latach (po roku 1881, kiedy artystka ta zeszła ze sceny), że bez względu na to, co on zatwierdzi, u pani Popiel wyjdzie: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Z ich to „łona” – jak to się w onych latach romantycznie mówiło i pisało – wynosili miłość do ojczyzny, im zawdzięczali patriotyczną zaciekość pióra i oręża politycy i żołnierze, poeci i pisarze. Ileż im winien był w tym względzie Stefan Żeromski! Piszącemu te słowa przychodzi w tej chwili na myśl wzruszająca scena zwiędzania przez tego ostatniego, w towarzystwie Oktawii Rodkiewiczowej oraz Jadwigi i Kazimierza Talków, mogiły bohaterów poległych pod Maciejowicami, pięknie opisana w „Dziennikach” pod datą 5 października 1891 r.:

„Stoi kopiec niewysoki wśród kęp ostu, niskiej olszyny – porosła na nim paproć, pokrzywa, krwawnik i piotun. Na szczycie rośnie dziki głóg, krzak uschnięty. Obok kopca stoi krzyż drewniany modrzewiowy, a na nim napis: «Na cześć braci poległych za ojczyznę w dniu 10 października 1794 roku» [...] Nieznacznie uklęknęła pani Oktawia, pochyliła twarz do samej ziemi i nieznacznie całowała ten szary piach kopca; panna Jadwiga klęczała cichutko, zakrywając twarz rękami – długo klęczała. Jest coś strasznie uciskającego w tym miejscu, w tym opuszczeniu, w tych chwastach porastających kopiec i ścieżkę. Oto wszystko, co nam zostało z ojczyzny. [...] A przecież, po 99 latach niewoli, są na tej ziemi takie kościuszkowskie dusze, jak p. Jadwiga i pani Oktawia. I zaprawdę – póki takie są – nie ma Finis Poloniae. Przez ich duszę widzisz, że... «Jeszcze Polska nie zginęła!»”.

„Jeszcze Polska nie zginęła!” – zawołał Władysław Ordon (1847 – 1914), szeregowy poeta, w wierszu pt. „Bratu” i dodał:

*Ten okrzyk wolnych kornym uchem łowi
Siła zgnębiona na pokłon duchowi.*

Zaś Tadeusz Komar okolicznościowy wiersz pt. „Na pogrzeb powstańców” zakończył taką oto strofą:

*O czym wy tam w trumnach śnicie?
Mówcie, czy z krwawego dzieła
Będzie co?... Ha, wy mówicie
Przez swe rany: „Nie zginęła!”.*

W programowym wierszu umieszczonym na karcie tytułowej „Kalendarza polskiego patrioty na rok kościuszkowski 1894”, wydanego w Filadelfii w stulecie insurekcji, poeta (Teofil Wąsowicz?) zapraszał się z tą książeczką „w progi farmów”, oświadczając swoje credo polityczne „w takt pieśni czarodziejskiej” z całą stanowczością: „Jeszcze Polska nie zginęła i nigdy nie skona!”.

Podobnych załączników do dziejów kariery „Mazurka Dąbrowskiego” można by przywołać więcej. Rzecz dziwna! Mimo bohaterskiej przeszłości i zasług tej pieśni w bojach wyzwoleniczych i w męczeństwie, podnoszonych w licznych pisanych o niej rozprawach naukowych, w publicystyce politycznej i w poezji, w świadomości społeczeństwa egzystuje ona jako jeden z hymnów najdroższych i najpopularniejszych, nie zawsze wszakoż najpierwsza. W wydanym w Krakowie w 1910 r. śpiewniku pt. „Nie zginęła i nie zginie!” edytor umieścił „Pieśń Legionów” dopiero na ósmym miejscu, po „Pieśni Konfederatów” J. Słowackiego (inc. „Nigdy z królami nie będziem w aliansach”), „Pieśni Wernyhory” M. Konopnickiej (inc. „Od futora do futora wieje tuman siny”), po „Piosence o Bartoszu” (inc. „Hej, tam w karczynie za stołem siadł przy dzbanie Jan stary”), po „Krakowiaku Kościuszki”, utworze Marcelego Skalkowskiego z 1637 r. (inc. „Bartoszu, Bartoszu, oj nie traćwa nadziei”), po piosence o Kilińskim (inc. „Majster Kiliński nie nosił kontusza”), po hymnie „Boże, coś Polskę” oraz „Rozbiorze” M. Konopnickiej (inc. „Hej, nad tą polską ziemią, / Hej, czarne krążą kruki”).

Na przedpolu pierwszej wojny światowej „Mazurek Dąbrowskiego” był już tradycyjnie pieśnią nadrzędną w stosunku do innych hymnów patriotycznych i do pieśni – że się tak wyrażę – partyjnych, śpiewanych zależnie od przynależności do stronnictw politycznych. Wiadomo, że np. sztandarowym śpiewem polskiego proletariatu była od czasu Wiosny Ludów antyszlachecka, gniewna pieśń Ehrenberga zaczynająca się od słów: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem/ Panowie w stolicy radzili”. Był to utwór powszechnie znany. Opowiada Antoni Stawarz w „Kartkach z pamiętnika oswobodzenia Krakowa”, iż w

dniu 31 października 1918 r. rozbrzmiewała ona po ulicach śpiewana na przemian z hymnem „Jeszcze Polska nie zginęła” i z okrzykami: „Precz z Austrią!”, „Niech żyje Polska Republika Ludowa!”.

Od 1881 r. oficjalną pieśnią polskich socjalistów był „Czerwony Sztandar”. Należy podkreślić, że w okresie rewolucji 1905 r. pod zaborem rosyjskim pieśń ta była śpiewana nie tylko przez członków ugrupowań lewicowych, lecz powszechnie. Wypominał tę jej karierę w 1916 r. Andrzej Niemojewski w „Myśli Niepodległej” pisząc w recenzji sztuki Adolfa Hertza „Młody las”, opartej na historii strajku szkolnego sprzed jedenastu lat:

„Trwało długo, nim strajk szkolny został z rewolucji ogólnorosyjskiej wydzielony i nim otrzymał cechę ruchu narodowego. Cała część prasy, która dziś tak przychylnie wita pieśń «Jeszcze Polska nie zginęła», śpiewaną na scenie Teatru Narodowego przez uczniów, popierając p. Hertza, wtedy opowiadała się za «Czerwonym sztandarem»”.

Do hymnów w pewnym sensie konkurencyjnych dla „Mazurka Dąbrowskiego” doszła kilka lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej „Rota” Marii Konopnickiej, zyskując od momentu swych narodzin powodzenie ogromne. Po odzyskaniu niepodległości została ona pierwszą pieśnią Stronnictwa Ludowego.

Na czoło polskich hymnów patriotycznych wyniosła „Mazurek Dąbrowskiego” ponownie pierwsza wojna światowa.

Wkrótce po jej wybuchu w naszych gazetach i czasopismach wszczęto dyskusję nad sztandarową pieśnią przyszłego państwa polskiego. Czesław Jankowski wysunął w „Przeglądzie Warszawskim” propozycję, aby z trzech najczęściej śpiewanych hymnów: „Pieśń Legionów”, „Chorału” i Boże, coś Polskę”, przyznać pierwszeństwo tej ostatniej, jako że pierwsza jest „trylem skowronkowym, buńczucznym, niefrasobliwym” (sic!), druga „nie może już dziś ulatać wobec całego świata przed tron Przedwiecznego «z kurzem krwi bratniej»”. Zdaniem Jankowskiego „zarówno z tradycji, jak polotu i powagi melodii dostojność hymnu narodowego – jedyne!” – powinno raz na zawsze przypaść w udziale pieśni „Boże, coś Polskę!”.

Wywody redaktora „Przeglądu Warszawskiego” poddał krytyce kilkanaście miesięcy później patriota podpisany skrótami: J. Les w warszawskim „Kurierze Polskim”. Według niego „«Mazurek Dąbrowskiego», choćby ze względu na tempo swoje, «Z dymem pożarów» zaś z racji treści, najboleśniejszą chwilę w naszej historii wspominającej, za ogólnonarodowy na wszystkich uroczystościach śpiewany hymn uznanymi być nie mogą. Co zaś do długiej nazbyt pieśni „Boże, coś Polskę”, to należałoby przypomnieć sobie pierwszą jej redakcję (Alojzego Felińskiego), aby zrozumieć, że jeszcze mniej nadaje się ona na hymn polski, dziś, w obliczu rozgrywających się wypadków, które przynieść nam mają zmianę warunków politycznych i tak upragniony świat swobód”. Według

polemisty jedyną pieśnią, która „*po, wsze czasy, we wszystkich warunkach mogłaby służyć za hymn polski, jest arcydzieło uczucia patriotycznego, zwięzłości i powagi – zapomniana dziś już prawie pieśń Krasickiego «Święta miłości kochanej ojczyzny»*”.

Obydwe streszczone wyżej propozycje spotkały się ze zdecydowaną opozycją ze strony Andrzeja Niemojewskiego w „Myśli Niepodległej”, który w przekonującym wywodzie starał się wykazać bezkonkurencyjne walory „Mazurka Dąbrowskiego”, jedynej – jego zdaniem – pieśni zasługującej na rangę pierwszego hymnu narodowego.

Nadmienmy, że już w tomiku „Z naszych poezji bohaterkich”, wydanym w Wiedniu w 1915 r. przez Jakuba Gerszwinda, pieśń nasza figuruje na pierwszym, honorowym miejscu, ze względu – jak to uzasadnił edytor – „*na jej znaczenie narodowe i symboliczne*”.

Drobne to, lecz znamienne świadectwo wskazujące na chwalebny powrót naszej pieśni do chwalebnej służby żołnierskiej i politycznej.

Podobnie jak w okresie Powstania Listopadowego, pojawia się wiele odmian „Mazurka Dąbrowskiego”. W refrenie kilku z nich zmieniono nazwisko Dąbrowskiego na Piłsudskiego.

Autorem, który pierwszy zmienił w parafrazie „Mazurka” nazwisko bohatera tytułowego na kometanta nowo uformowanej jednostki wojska polskiego, był Aleksander Sygryc, który zginął w bitwie we wsi Czarkowy we wrześniu 1914 r., śpiewając „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Maria Szczepańska ogłosiła w „Nowym Wieku” z dnia 25 sierpnia 1914 r. parafrazę „Mazurka Dąbrowskiego” pt. „Na pożegnanie strzelców”, zaczynając się od słów:

*„Jeszcze Polska nie zginęła”,
Płynie pieśń z oddali,
Idą, idą chłopcy nasze...*

Janina Olszewska napisała wiersz z ideą przewodnią zapożyczoną z „Pieśni Legionów”:

*O, nie zginęła Polska, choć ją wrogci nasze
Głosiły dawno, dawno martwą, pogrzebioną...*

Halina Zbierzchowska zakończyła wiersz „Do Legionów” okrzykiem: „*Hej, Polska nasza nie zginęła!*”, zaś F.C. Kuczyńska w wierszu „Do Polski” wołała:

*Nie! Jeszcze Polska nie zginęła!
Po wieków wieki będzie żyć!*

Eugenia Bielicka skomponowała w 1917 r. melodię do marsza „Nie zginęła Polska, póki my żyjemy”.

Popularyzuje się również stare, dziewiętnastowieczne przeróbki „Pieśni Legionów”.

W śpiewniku polowym przeznaczonym dla żołnierzy Bogusław Szul poprzedził przedruk parafrazy „Mazurka Dąbrowskiego”, dokonanej w okresie Powstania Listopadowego przez Stefana Witwickiego, taką oto oficerską egzortą: „*Uroczystość. Zaintonowali stary «Mazurek Legionów». Wyjmij, chłopcze, ręce z kieszeni! stój na baczność jak się patrzy! bo to hymn narodowy, co się na co dzień nie śpiewa i cześć mu się należy żołnierska. Pamiętaj, że to pieśń, co łączy ciebie z tymi, co – jak ty – 100 lat temu za Polskę poszli w boje.*”.

Napoleon nazwał pewnego razu „Marsylianek” najlepszym generałem, jakiego wydała Wielka Rewolucja. Tę samą niezwykle efektowną i zarazem trafną ocenę można by spożytkować w odniesieniu do „Mazurka Dąbrowskiego”, który z zawieruchy wojennej wyszedł z chwałą należną największym bohaterom i stał się hymnem odrodzonego państwa polskiego *via facti*, jako pieśń bezkonkurencyjna. „Czerwony sztandar” nie mógł pretendować do godności hymnu państwowego ze względów ustrojowych, jako pieśń *par excellence* proletariacka. Nie wchodziła też w rachubę „Rota” Konopnickiej, z uwagi na mniejsze zasługi i zbyt jednokierunkowy adres polityczny, a także zawarte w niej zdanie: „*Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz*”, uwłaczające powadze narodu polskiego. Odpadła także pieśń A. Felińskiego „Boże, coś Polskę” ze względu na jej genezę i charakter na poły religijny. Nie mogło także być mowy o „Pieśni Pierwszej Brygady” autorstwa Wacława Kostki Biernackiego, popularnej w nieznaczonej tylko części społeczeństwa. Nie zagroziły „Mazurkowi Dąbrowskiego” również takie pieśni, jak „Warszawianka” i „Chorał”.

O awansie „Mazurka Dąbrowskiego” na najwyższe stanowisko państwowe zadecydowała jego ludowa, powszechnie znana, śliczna melodia, no i oczywiście podniosły sens tekstu uświęconego studwudziestoletnią martyrologią narodu i wodzowskim uczestnictwem we wszystkich poczynaniach spiskowych i wojnach niepodległościowych. Ważnym czynnikiem, który w owym nieoficjalnym plebiscycie zadecydował o pierwszeństwie pieśni Wybickiego, był także jej uniwersalny, ogólnopolski charakter nie kłóący się z programami stronnictw politycznych rozwijających działalność w okresie drugiej Rzeczypospolitej. Dekret Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z 15 października 1926 r., oficjalnie uznający omawianą przez nas pieśń jako hymn państwowy, był tylko formalnością mającą na celu ustalenie jednolitej wersji słownej i melodii oraz prawną ochronę jego powagi; faktycznie „Mazurek Dąbrowskiego” pełnił funkcję sztandarowej polskiej pieśni państwowej od momentu odzyskania niepodległości.

Dla ludzi starszego pokolenia „Mazurek Dąbrowskiego” był w okresie dwudziestolecia najdroższą, żywą pamiątką lat niewoli, pamiątką męczeństwa za sprawę, czynu konspiracyjnego, walki zbrojnej i pracy

organicznej – był też hymnem spełnionych nadziei. W świadomości młodzieży egzystował on już po prostu jako najdosłowniejsza, odświętna, tryumfalna pieśń Polski niepodległej.

Dzisiaj przyzwyczailiśmy się do dźwięków „Pieśni Legionów” wygrywanych w kraju i za granicą przez reprezentacyjne orkiestry w czasie dyplomatycznych wizyt przywódców państwowych lub w momencie dekorowania naszych sportowców na olimpijskich podiach medalami zwycięstwa. Dla wszystkich Polaków są to zawsze chwile wielkiego patriotycznego wzruszenia. Proszę sobie teraz wyobrazić, jak wielką radość przeżywali nasi dziadkowie i ojcowie urodzeni w niewoli, kiedy po pierwszej wojnie światowej zagrano podczas jakiejś uroczystości „Jeszcze Polska nie zginęła” jako hymn państwowy. A jeszcze za granicą!

Na obczyźnie pieśń Wybickiego jednoczyła rozproszonych rodaków i ukrzepiała w poczuciu odrębności narodowej, zobowiązywała do łączności z Macierzą, która po wiekowej niewoli odzyskała wreszcie niepodległość. Kiedy w lipcu 1930 r. podczas zlotu polonijnego Towarzystwa Gimnastycznego oddział „Sokoła” zaczął wykonywać w dzielnicy Berlin-Schöneburg popisy w rytmie melodii „Mazurka Dąbrowskiego”, wszyscy od razu odczuli polityczną wymowę prezentowanych publicznie ćwiczeń lekkoatletycznych. W ten oto sposób odebrano w Niemczech bodajże po raz pierwszy polski hymn państwowy. Reprezentacyjna orkiestra niemiecka była zmuszona uczynić to oficjalnie dwa lata później na lotnisku Tempelhof w Berlinie po głośnym zwycięstwie F. Żwirki i S. Wigury w wyścigu lotniczym dookoła Europy.

Wśród apologetów sanacji zrodził się wkrótce pomysł, aby „Mazurka Dąbrowskiego” przekazać do lamusa, jako szacowną pamiątkę narodową, zaś na jego miejsce wylansować nowy hymn państwowy, bardziej odpowiedni dla Polski niepodległej i – w przekonaniu piłsudczyków – mocarstwowej. Pierwsza wystąpiła w tej sprawie na łamach jednej z gazet warszawskich, i to niesłychanie zadzierzyscie, Maria Wielopolska, która od razu wskazała na utwór zastępczy, mianowicie świeżo skomponowany przez Jana Maklakiewicza marsz, oparty na pożenionych z sobą motywach melodyjnych „Mazurka Dąbrowskiego” i pieśni Pierwszej Brygady Legionów. Inicjatywę poparła swoim autorytetem Polska Akademia Literatury, nadając sprawie znaczenie niejako oficjalne. W toku dyskusji prowadzonej przez dwa lata w wąskim gronie rzeczników rządu i muzykologów podtrzymano – jak się można było tego spodziewać – myśl przewodnią, tak oto forsowaną przez jednego z adherentów piłsudczyzny: „*Kiedyś, w czasie niewoli, kiedy zwątpienie i niemoc nawiedzały nawet zdrowe i młode serca, tekst «Pieśni Legionów» był wyrazem szczerego i namiętnego optymizmu. [...] Jakże inaczej brzmią te słowa dziś, kiedy Polska zmartwychwstała i z roku na rok,*

wysiłkiem całego narodu [...] krzepnie, umacnia się, rozrasta! «Jeszcze Polska nie zginęła», to brzmi dzisiaj jak wyraz skrajnego pesymizmu, niewiary w zdrowe podstawy i w przyszłość naszej państwowości, nieufności do patriotyzmu i żywotności następnych generacji».

Mimo owych niebezpiecznych zakusów, do degradacji „Mazurka Dąbrowskiego” nie doszło na szczęście. Trochę ze względu na krytykę utworu Maklakiewicza przeprowadzoną przez fachowców, bardziej z uwagi na brak zaangażowania najwybitniejszych literatów, z których żaden nie pokwapił się do napisania tekstu nowej pieśni, a najpewniej ze względu na cichą na razie niepopULARNOŚĆ tej akcji w społeczeństwie, zwłaszcza wśród lewicy i chłopstwa. Niewątpliwie do upadku sprawy przyczynił się i zgon Piłsudskiego (w maju 1935 r.) który odwrócił uwagę zainteresowanych od kwestii przez nas omawianej ku innej bardziej zasadniczej, mianowicie następstwa po Marszałku. Rzecz nie dojrzała nawet na tyle, aby z nią wystąpić na forum sejmowym.

Po wybuchu drugiej wojny światowej „Mazurek Dąbrowskiego” wypróbowany ongi w tyłu bojach o niepodległość, stał się znowu przewodnią pieśnią narodu, który pierwszy stawiał czoła hitlerowskiemu imperiaлизmowi.

„*Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy! I to, co nam obca przemoc wzięła, siłą odbierzem!*” – tymi słowami pokrzepił swoich żołnierzy gen. Juliusz Rommel, dowódca armii „Warszawa”, 29 września 1939 r., w dniu ogłoszenia kapitulacji, dziękując im za bohaterską walkę i zapewniając, iż obecne niepowodzenie jest chwilowe, że ostateczne zwycięstwo „*będzie po naszej stronie*”.

Hymn państwowy Polski niepodległej był też ostatnią pieśnią odegraną i odśpiewaną 29 września przez radio warszawskie, co miało wymowę toż samo znaczącą, co pożegnalny rozkaz dowódcy obrony stolicy. Również gen. Franciszek Kleeberg słowami „Mazurka Dąbrowskiego” starał się natchnąć żołnierzy po bitwie pod Kockiem wiarą w odzyskanie niepodległości, kończąc swój ostatni, niestety, kapitulacyjny rozkaz, wydany w dniu 15 października, gromkim okrzykiem: „*Jeszcze Polska nie zginęła! I nie zginie!*”.

W okresie najczarniejszej niewoli w naszych dziejach naród zjednoczył się wokół swojej najczcigodniejszej pieśni, bohaterski w nieustającej walce i w męczeństwie. Pierwsze jej słowa, wspierały patriotyczny *imperativus*, z wielką mocą animowały Polaków do boju i do wytrwania w procesji wiodącej przez piekło bólu, krzywdy i unicestwienia; były najczęściej słyszonym ostatnim okrzykiem żołnierzy i partyzantów ginących na polu chwały, a także spiskowców, jak i zwyczajnych przechodniów złapanych przez wroga na ulicy i zagonionych kolbami karabinów pod mur egzekucyjny. W karcerach wypisywali je na ścianach, niejednokrotnie własną krwią, skatowani, skazani na śmierć więźniowie i kacetowcy.

Jako hymn państwowy stał się „Mazurek Dąbrowskiego” symbolem ciągłości niezależnego bytu politycznego; dlatego sakralne słowa tej pieśni śpiewane pokątnie lub publicznie, jak również wypisywane farbą na murach ulicznych i przywoływane w gazetkach konspiracyjnych, były przez okupantów najbardziej nienawidzone i zamazywane, a ich bardowie i propagatorzy tropieni i karani z wyszukany okrucieństwem.

W szkołach powinna być co jakiś czas przypominana dla celów wychowawczych wzruszająca scena z 1939 r. przedstawiająca uczniów gimnazjum polskiego w Kwidzynie, uwięzionych w obozie koło Królewca, którzy na krótko przed wywiezieniem ich w głąb Trzeciej Rzeszy upadli na kolana i zaczęli głośno odmawiać tekst hymnu: „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy”. Po tej modlitwie jeden z nich poszedł do dyrektora szkoły i zapewnił go w imieniu kolegów, „*że nigdy nie zrobią wstydu swoim wychowawcom ani dobremu imieniu szkoły. Póki my żyjemy, Polska żyje i walczy!*”.

„Jeszcze Polska nie zginęła!” – taki tytuł dali pierwszemu dokumentalnemu filmowi o walce Polaków z hitlerowskimi Niemcami jego twórcy Franciszek Ożga i Kazimierz Karasiewicz. W filmie tym zostały wykorzystane m.in. kroniki PATowskie z pierwszych dni wojny oraz rewelacyjne zdjęcia Juliana Bryana z oblężenia Warszawy, przewiezione w kilku taśmach na Zachód w walizce dyplomatycznej. Znalazła się tu również sekwencja filmu ilustrującego wystąpienie Ignacego Paderewskiego na sesji Rady Narodowej w Angers, gdzie umieszczono agendy emigracyjnego rządu polskiego i sztabu Naczelnego Wodza polskich sił zbrojnych. Przemówienie to należało do najbardziej wzruszających epizodów filmu, zwłaszcza w tym momencie, gdy łamiącym się ze starości i przeżycia głosem wielki artysta wzniósł na zakończenie okrzyk: „*Nie zginie Polska! Nie zginie Polska i żyć będzie dla nas, dla was, dla całego świata!*”. Film zrealizowany został w wersji polskiej i angielskiej. W roku 1941 w samych Stanach Zjednoczonych obejrzało go około milion osób.

Nie ma w naszym skarbcu literackim drugiej pieśni, która byłaby powielana w tekście kanonicznym, naśladowana i cytowana tak często i chętnie, jak „Mazurek Dąbrowskiego”. Czytelnik zechce zwrócić uwagę, że owo rozmnażanie hymnu występowało zawsze w doniosłych, przełomowych dla narodu momentach dziejowych: krzepiło serca, utwierdzało wiarę w zwycięstwo. Toteż organizację podziemne wykorzystywały tę pieśń, aby podnieść ducha w umęczonym społeczeństwie. Znane są akcje podłączania naszego hymnu państwowego do niemieckich „szczekaczek” w okupowanej Warszawie. O jednym z tych wyczynów tak opowiada naoczny świadek:

„Kiedyś stałem przy skwerku w pobliżu ulicy Bednarskiej, gdy w ulicznych głośnikach, przez które podawano komunikaty niemieckie, rozległy się dźwięki

«Mazurka Dąbrowskiego». Najpierw zdumienie, a potem wszyscy stoją na baczność z odkrytymi głowami, tzy w oczach. Po chwili odczytano komunikaty o działalności polskich sił zbrojnych. Co za piękna, jasna chwila w tej okupacyjnej nocy! Co za pomysłowa akcja podziemia!».

W czasie ostatniej wojny „Pieśń Legionów” była wykorzystywana także przez poetów w bojowych pobudkach i wierszach o charakterze patriotycznym nie mniej niż w minionych okresach walk wyzwoleniczych.

Julian Przyboś zebrał i wydał w Krakowie około 1944 r. swoje wiersze okupacyjne pod pseudonimami: Lesław Leski i Bolesław Skietem; tomikowi dał tytuł najtrafniej określający charakter przewodniej ich idei: „Póki my żyjemy”.

W prześlicznym utworze „Ojczyzna Szopena” Stanisław Baliński opiewał bohaterstwo rodaków walczących o wyzwolenie Polski na lądach, morzach i powietrzu, i cierpiących dla niej w obozach koncentracyjnych, na wygnaniu, choć ona:

*Raniona w serce, bezbronna w cierpieniu,
Niczego od nich nie chce i o nic nie prosi.
Tylko czasami, nocą, gdy rozpacz opada
I gdy Szopen, jak widmo, gra im na pianinie,
Zjawia się cała w czerni, staje przy nim blada
I śpiewa do nich cicho – że jest, że nie zginie.*

Jan Rostworowski w wierszu dedykowanym polskim marynarzom tak wyraził przekonanie o ich niezłomności i odwadze żołnierskiej:

*I choćby okręt szedł na dno, nie wypuscicie z rąk dzieła,
Śmierci w twarz głośno wołając, że walczy i nie zginęła.*

Ten sam motyw wyjęty z „Pieśni Legionów” znajdziemy w wierszu Kazimierza Wierzyńskiego „Biblia polska”:

*„Dziady”, „Irydion”, „Pan Tadeusz”
Lub „Kordian” – policz owe dzieła
I na pokoleń śpiew ich przełoż –
Co ci w nich zadręga? – Nie zginęła!*

Beata Obertyńska w „Elegii o żołnierzu tułaczem” zaprosiła żołnierzy żywych i poległych na zlot do mrocznej tawerny, „*gdzie noc, deszcz i muzyka ludzkim głosem płaczą*”, przekonana, że:

*Przyjdą z błot San Dominga, sprzedani
w gruzach Werony,
Zaprzepaszczeni na lądach, zgubieni
na szlakach morskich,
Wszyscy znajdą się znowu. Hej, towarzysze broni!
Piosenkę starą zanućmy!: „Marsz, marsz
z ziemi włoskiej”.*

Do tego samego motywu „Pieśni Legionów” nawiązał Aleksander Janta w wierszu „Znak”:

*Bo odtąd szlak powrotny tą świeci ruiną
I w sztandarach z niej bije skrzydłami orlemy,
Co wiernym znów otworzą drogę z włoskiej ziemi
Ku niej, która nie zginie, póki oni giną.*

Władysław Broniewski w wierszu „Monte Cassino” powrót do Polski oznaczył na szlaku wiodącym przez wolność cudzą ku własnej:

*Nasze granice? „Póki żyjemy”,
wszędzie, gdzie nasi walczą i giną.
Gniewnie idziemy, krwawo idziemy,
nasze granice w Monte Cassino.*

Do początkowych słów naszego hymnu nawiązał Sir John Squire, pocieszając Polaków po upadku Powstania Warszawskiego, podobnie jak to uczynił lord Stratford de Redcliffe w wierszu „Jeszcze Polska nie zginęła”, a w latach późniejszych młody Attwood (de Bosco) z Harborne, tłumacz „Mazurka Dąbrowskiego” i autor płomiennych artykułów udowadniających, że „Jeszcze Polska nie zginęła, póki Anglia żyje”. Cytujemy znamienity urywek wiersza Sir Squire’a pt. „Warszawa, 13.10.1944”, w przekładzie S. Balińskiego:

*Z tęsknoty wyrosły pieśni, dodają sercu podniety,
Więc ludzie nucą piosenkę: „Kto Polak, hej na bagnety”
I jeszcze dawniejszą, o brzmieniu słodkim i płynnym:
„Jeszcze Polska nie zginęła”... I pieśń ta stała się
hymnem Narodu, który nie zginął, narodu,
który nie zginie.*

Ze wszystkich trawestacji pieśni Wybickiego, zrodzonych w czasie drugiej wojny światowej na Zachodzie, niewątpliwie najbardziej udana wyszła spod pióra Jana Lechonia jako autora „Marszu Drugiego Korpusu”:

*Przez te same doliny, tymże Tybru brzegiem
Znów idą jak przed laty ściśniętym szeregiem
I płynie ta, co tutaj kiedyś się zrodziła,
„Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła”.*

*Jakąż drogę odbyłaś, aby rażnym chórem
Znów dźwięki twe zabrzmiwały pod włoskim lazurem,
By mógł cię żołnierz tulacz na nowo zanucić,
Przez ileż przeszłaś granic, ażeby tu wrócić?*

*Od śniegów szłaś Sybiru do pomarańcz gaju
I teraz z żołnierzami powracasz do kraju,
I żadna siła złego ni przemoc olbrzymia,
Stojąca ci na drodze – dojść cię nie powstrzyma.*

*Nowe kości nie kładą, na tych, co już leżą,
Przesiąknięta krwią ziemia krwią nasiąkła świeżą,
Ktoś upadł i do kraju wyciąga swą rękę,
Lecz inni idą dalej śpiewając piosenkę.*

*I kiedy trakt Cezara pod ich krokiem dudni,
Słyszą dzwonek na nieszpór i żuraw u studni,
I niosą dniem i nocą sztandary niezdarte,
I przejdą, przejdą Tyber i Wisłę, i Wartę!*

Z tą samą pieśnią najdroższą w sercu i na ustach maszerowali ku ziemi ojczyściej nasi żołnierze walczący z hitlerowskimi dywizjami u boku armii radzieckiej, zastanawiając się u brzegu każdej forsowanej rzeki, „czy stąd niedaleko już do grających wierzb, malowanych zbóż?” Tę wiarę w zwycięski powrót do ojczyzny wyraził gromkimi, żołnierskimi słowami Leon Pasternak w znanej piosence napisanej w Sielcach w lipcu 1943 r.:

*Jak szarża ułańska
do Wisły, do Gdańska
pójdziemy, dojdziemy!*

Do „Pieśni Legionów” tenże sam poeta nawiązał bezpośrednio w refrenie „Marsza Pierwszej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki” ułożonego w 1944 r. na postoju w Przybrażu i śpiewanego w rytmie melodii skomponowanej przez A. Barchacza:

*I wiemy, że dojdziemy
do naszych miast i niw,
bo Polska nie zginęła,
póki polski żołnierz żyw.*

Lucjan Szenwald w poetyckiej parafrazie listu Józefa Nadziei, napisanego w Azji Środkowej, tak wyraził na Syberii w maju 1943 r. jego prośbę o przyjęcie „na żołnierza Narodowego Polskiego Wojska”:

*Ja – zbolełego polskiego narodu
Syn bolejący, wierny, szczery,
Polską mową karmiony od młodu,
Pojony światłem polskiej litery, –*

*Wierząc, że Polska nie zginęła,
Lecz w blasku nowej chwały stanie,
Chcąc włożyć swój wkład do tego dzieła,
Piszę to niniejsze podanie...*

Do rodaków cierpiących pod jarzmem hitlerowskiej okupacji w kraju macierzystym niejaka Eleonora G. zaadresowała w imieniu żołnierzy Dywizji Kościuszkowskiej słowa nadziei na rychłe wyzwolenie, uświęcając je motywem zapożyczonym z naszej pieśni:

*Wrócimy w walce o prawdę połączyć się z wami,
Choćby życie wypadło nam złożyć w ofierze.*

*Wrócimy jak zwycięzcy w pochodzie tryumfalnym,
Z ust tysięcznych pieśń znana godnym echem spłynie,
Że Polska, co przejrzała w oczyszczenia męce,
Jeszcze nie zginęła i nigdy nie zginie.*

W wierszu-rozkazie „Naprzód”, ułożonym 19 lutego 1945 r. na Wale Pomorskim, Stanisław Dobrowolski zawołał już tryumfalnie po wyzwoleniu znacznego obszaru Polski:

*Więc nie zginęła – i nie zginie!
Wolność żywym, chwała – temu, co padnie!
Za krew bliskich przelaną niewinnie
W pierś Berlina – stalowy bagnet!*

Patriotyczny obowiązek powrotu do ziemi ojczyźnej z bronią w ręku i z pieśnią „Jeszcze Polska nie zginęła” na ustach wyraził gen. Karol Świerczewski, żegnając żołnierzy Pierwszej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki wyjeżdżających na front równo w czwartą rocznicę napaści Niemców na Polskę:

„Związek Radziecki zwycięża i bije się za sprawę narodów. Pójdziemy razem ramię w ramię z żołnierzami radzieckimi najkrótszą drogą do naszej Ojczyzny. Przypadł wam, żołnierzom, wielki zaszczyt, by na swoich bagnietach zanieść dar wolności ujarzmionej Ojczyźnie. Hymn Polski «Jeszcze Polska nie zginęła» jest bezwzględny nakazem dla nas, Polaków, do marszów i zwycięstw. Pamiętajcie, że hymn ten jest panoramą tragedii dwóch wieków istnienia naszego narodu, wymownym symbolem tragicznych losów narodu polskiego. Nie pozwala poddać się, zniewala do nieugiętości i popycha do czynu...”

Do tekstu „Pieśni Legionów” nawiązała również Wanda Wasilewska, przemawiając do żołnierzy w obozie w Sielcach nad Oką w przeddzień wymarszu na front:

„Wy jesteście na tym froncie zbrojnym ramieniem Polski, wy jesteście odpowiedzią daną Niemcom na dzień pierwszy września 1939 roku, wy jesteście żywym dowodem, że jeszcze Polska nie zginęła i nie zginie!”

Konieczność trzeba przypomnieć, że wiece organizowane z inicjatywy Związku Patriotów Polskich we wszystkich większych skupiskach Polaków w Związku Radzieckim kończono chóralnym odśpiewaniem hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła”. Jakie wrażenie wywierała ta pieśń na zebranych, opowiedziała Małgorzata Fornalska w „Pamiętniku matki”:

„Oto słyszę muzykę – ale jaką muzykę, jaką melodię! Nie wiedziałam, gdzie jestem. [...] Po chwili [...] ocknąłam się i nic, tylko pytanie. Skąd ty melodia wzięłaś się tu? Czemuś ty mnie tak urzekła? [...] Przecież ja cię jeszcze

dzieckiem słyszałam, aleś ty wtenczas była smutna, tęskna, a teraz co w tobie za siła, co za urok! Tom ja, dziecko wsi polskiej, taką ciebie nie znała, ja ciebie dawniej nie rozumiałam. Tyś wtenczas mówiła do generała: «Marsz, marsz, Dąbrowski, z ziemi włoskiej do polskiej» [...] a dziś ty do nas wołasz: «Marsz, marsz, dzieci polskie, do polskich wiosek, do miast! Tam wasze miejsce – dość tułaczki, dość poniewierki! Marsz do domu, do Polski!». I tak słyszaną jeszcze w dzieciństwie pieśń, która mi wtenczas mówiła jedynie o generale Dąbrowskim, teraz będąc starszą zrozumięłam dopiero – jak cudną, wielką, jak francuską «Marsylianką» [...].

Kiedy pierwszej uformowanej w Związku Radzieckim pod protektoratem Związku Patriotów Polskich jednostce wojska naszego wręczano w lipcu 1943 r. sztandar, orkiestra zagrała „Mazurka Dąbrowskiego”, a każdy żołnierz powtarzał w duszy słowa: „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy”.

Jeszcze przed zakończeniem wojny, mianowicie w kwietniu 1945 r., „Mazurek Dąbrowskiego” zabrzmiał w San Francisco odegrany przez Artura Rubinsteina, którego zaproszono z uroczystym koncertem z okazji inauguracji obrad Narodów Zjednoczonych. Kiedy znakomity pianista wszedł na estradę, obecni powstali z miejsc, witając go oklaskami. Rubinstein uciszył owacę jednym ruchem ręki, „[...] po czym w doskonale znanych sobie ośmiu językach oświadczył, że jest głęboko poruszony i dotknięty, że wśród flag, którymi przyozdobiono salę, zabrakło polskiego sztandaru. Sztandaru kraju, w którym się urodził, jego ojczyzny. Kraju, który pierwszy oparł się hitlerowskiej agresji. Po czym siadł do fortepianu i zagrał „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wszyscy stojąc słuchali hymnu naszego kraju, a wielki artysta płakał.”

Przykładów świadczących o popularności pieśni Wybickiego w okresie drugiej wojny światowej można by, oczywiście, przytoczyć znacznie więcej, ale mam nadzieję, że i te, wybrane przeze mnie z bogatego, nie ogarniętego jeszcze przez badaczy w całości materiału, wystarczająco silnie i przekonująco dowodzą, jak chwalebnie utrzymała się ona na stanowisku pierwszej pieśni narodu polskiego. W długiej i bogatej historii „Mazurek Dąbrowskiego” lata ostatniej wojny były niewątpliwie rozdziałem najcięższej służby i najwybitniejszych zasług. Dlatego z pieśni nadziei, nie pozwalającej na unicestwienie idei wolności nawet po tak strasznej klęsce, jaką była przegrana w kampanii wrześniowej, i zarazem pieśni-rozkazu podrywającej wszystkich Polaków do czynu zbrojnego i zobowiązującej do przetrwania okupacyjnego terroru, stała się „Pieśń Legionów” po raz wtórny pieśnią tryumfalną, jeszcze droższą niż dawniej i jeszcze piękniejszą sztandarową pieśnią Rzeczypospolitej Polskiej – hymnem państwowym.

Roman KALETA

„WIERSZ SIĘ ZDARZA...”

Jerzy Ficowski – życie i twórczość

90 lat temu – 4 września 1924 roku – urodził się Jerzy FICOWSKI, poeta, odkrywca talentu Papuszy, znawca kultury cygańskiej i żydowskiej, entuzjasta twórczości Brunona Schulza, tłumacz.

Jerzy Ficowski przyszedł na świat w Warszawie. We wrześniu 1939 roku przerwał naukę w gimnazjum im. Zamoyskiego, dalej uczył się na tajnych kompletach. Nawiązał kontakt ze środowiskiem konspiracyjnym i został żołnierzem AK. W 1943 roku został aresztowany i uwięziony na Pawiaku, skąd udało mu się uciec. Walczył w Powstaniu Warszawskim. Po upadku powstania trafił do obozów jenieckich w Niemczech. W 1945 roku wrócił do Warszawy, rozpoczął studia socjologiczne i filozoficzne na Uniwersytecie Warszawskim.

Debiut literacki Ficowskiego to wiersz „Ptakom niebieskim” opublikowany w 1946 roku. W 1948 roku ukazał się jego pierwszy tomik poetycki zatytułowany „Ołowiani żołnierze”. W tym samym roku Ficowski został zatrzymany przez UB i był namawiany do współpracy. Postanowił na jakiś czas usunąć się z miasta i w latach 1948 – 1950 wędrował z taborom cygańskim. Przybывая z Cyganami Ficowski notował wszystko, co tylko usłyszał: bajki, nowe słowa, historię taboru. To Ficowski odkrył w Cygance Bronisławie Wajs poetkę, to za jego namową Papusza zaczęła zapisywać układane przez siebie wiersze i pieśni. Po opuszczeniu przez Ficowskiego taboru Papusza utrzymywała z nim kontakt listowy, przysyłała mu swoje wiersze, które on tłumaczył na język polski.

W 1953 roku ukazał się tom szkiców Ficowskiego poświęconych historii i życiu Romów pt. „Cyganie polscy”. W 1956 roku wyszedł drukiem pierwszy tomik Papuszy, tłumaczony właśnie przez Ficowskiego. Kolejna jego książka o Romach – „Cyganie na polskich drogach” – ukazała się w 1965 roku.

Własne wiersze Ficowski początkowo tworzył po wpływem poetyki Juliana Tuwima, później nawiązywał do awangardy międzywojennej. Z czasem w jego poezji coraz wyraźniejsze stawały się refleksje o tematyce społecznej i moralnej. O pisaniu mówił w jednym z wywiadów: *„Poezja nie jest zajęciem. To odświętne chwile. Wiersz się zdarza”*.

Wojna i dramat zagłady Żydów wzbudziły w Ficowskim potrzebę ocalenia także tej kultury od zapomnienia. Jednym z owoców tego zainteresowania był poemat pt. „List do Marka Chagalla”, wydany w 1957 roku. Ale postacią, którą Ficowski zajął się w sposób szczególny, był Bruno Schulz. W 1967 roku Ficowski wydał szkice o życiu tego artysty pt. „Regiony wielkiej herezji”. Ficowski zachwyił się „Sklepami cynamonowymi” Schulza jeszcze w czasie wojny. Kiedy dowiedział się o tragicznej śmierci ich autora, postanowił jego twórczość – nie tylko literacką, ale także plastyczną – badać dalej i opatrywać ją komentarzami. Miał to być rodzaj literackiego hołdu złożonego Schulzowi. „Okolice sklepów cynamonowych” – kolejny tom szkiców o Schulzu – ukazał się w 1986 roku. Dziś zalicza się je do najważniejszych źródeł wiedzy o pisarzu z Drohobycza.

Ficowski był także znawcą ludowej poezji żydowskiej, wydał ją w antologii „Rodzynki z migdałami” (1964 r.). Przełożył na polski – na podstawie tłumaczenia filologicznego Jana Leńskiego – „Pieśń o zamordowanym narodzie żydowskim” Icchaka Kacnelsona. Tłumaczył również utwory hiszpańskiego poety Frederika Garcii Lorki i rosyjskie wiersze Bolesława Leśmiana. Jedną z jego ostatnich fascynacji stanowił malarz Witold Wojtkiewicz; napisał o nim książkę „W sierocińcu świata”, wydaną w 1993 roku.

Ficowski znany był także jako autor tekstów popularnych piosenek, m.in. dla Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Napisał takie przeboje, jak „Bajka o cygańskim królu” czy „Jadą wozy kolorowe”. Utwory wielokrotnie zdobywały nagrody na Międzynarodowych Festiwalach Piosenki w Sopocie. Ficowski pisał też piosenki w języku cygańskim.

W grudniu 1975 roku Ficowski podpisał protest przeciwko proponowanym przez PZPR zmianom w Konstytucji, które miały zalegalizować przewodnią rolę partii komunistycznej i odwieczną przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Był to początek jego działalności opozycyjnej w PRL-u. W roku następnym jego twórczość objęto zakazem druku, który utrzymano aż do 1980. Od 1977 r. Ficowski publikował w drugim obiegu, przede wszystkim w „Zapisie”, a od 1978 należał do Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. Jeździł na procesy radomskie, opracowywał oświadczenia i odezwy



Jerzy Ficowski

korowskie, między innymi jest autorem odezwy KOR wydanej 11 listopada 1978 w sześćdziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości. W 1979 roku w niezależnym wydawnictwie NOWA ukazał się tom jego wierszy pt. „Gryps”.

We wrześniu 1999 r. Fundacja Pogranicze oraz Ośrodek „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” po raz pierwszy przyznały tytuł CZŁOWIEKA POGRANICZA.

Pisarz zmarł w Warszawie 9 maja 2006.

Za swój najważniejszy tom Jerzy Ficowski uznawał pisane przez wiele lat „Odczytanie popiołów” (1980 r., w wydawnictwie podziemnym), podejmujący temat Holocaustu („*Pisałem długo by nie obrażać tym, co piszę*” – mówił po latach). Ficowski miał poczucie, że „*wiersz nie musi przebierać się w kostium ani być wynalazkiem, nie musi trzymać się zasady mało słów. Jest odkryciem dziwnej, czasem mglicznej prawdy o świecie*” – mówił w wywiadzie z Lidią Ostałowską. O Ficowskim, w kontekście poezji o Holokauście, pisał Henryk Grynberg, że to najważniejszy poeta – „*po nim jest wielka, wielka próżnia*”.

Jak pisał Krzysztof Czyżewski: „*W wierszach z cyklu „Odczytanie popiołów” , o których pisać trudno – tak są*

nagie, esencjonalne, milczące – silnie obecna jest droga poety, cierpliwie napętniająca słowa niby dojrzałość owoce”.

Z tomu „Odczytanie popiołów”, o którym tak wzruszająco pisze w niniejszym numerze „Krynicy” Anna Mercik (w tekście „Miliony wcielone w dym”), pochodzi wiersz:

*Nie zdołałem ocalić
ani jednego życia*

*nie umiałem zatrzymać
ani jednej kuli
więc krążę po cmentarzach
których nie ma
szukam słów
których nie ma
biegnę*

*na pomoc nie wołaną
na spóźniony ratunek*

*chcę zdążyć
choćby poniewczasie.*

Wykorzystano materiały z Internetu

MILIONY WCIELONE W DYM

Najnowszy Testament według Jerzego Ficowskiego

*Nie zdołałam ocalić ani jednego życia,
nie umiałam zatrzymać ani jednej kuli...
Chcę zdążyć, choćby poniewczasie...*

W przepiękny wieczór przechodzę ulicami mojego miasta, Kazimierzowską, Franciszkańską, schodzę w dół do Rybiego Placu. O tej porze Przemysł cichnie, ulice układają się do snu. Ja jednak słyszę i chcę słyszeć dźwięki, które wywołała lektura niewielkiego tomiku wierszy Jerzego Ficowskiego. Wiek XV, w naszym mieście było ich 20 rodzin, „był jeden szklarz, który wstawia szyby na zamku i jeden medicus, który leczy służbę pana starosty” (L. Hauser). Patrzę na miejsca dawnych maleńkich żydowskich sklepików, łaźni, bazarów, szpitali, na puste miejsca po bożnicach i synagodze, w uszach brzmi gwar społeczności tak bardzo zrosniętej z polskim krajobrazem i polską kulturą przez kilkadziesiąt lat. Choć Ich już nie ma, widzę chodzących przemyskimi uliczkami rabinów, słyszę żydowskich chłopców recytujących „Talmud”, obrady władz kahalnych i sądu. *Chciałabym tylko iść, a idąc depczę ślady innego Narodu. Narodu, którego nie dotyczy już, jak rozważa Ficowski, ani Stary ani Nowy Testament, ale Najnowszy Testament. Jego jedyną księgą staje się Apokalipsa. Przez nią i po niej prowadzi mnie fascynująca i pełna skon-*

densowanych znaczeń metafora wierszy poety.

II wojna światowa. Dla większości przemyskich Żydów, którzy sami jeszcze o tym nie wiedzą, oznacza ona wyrok śmierci. Powstaje getto, 19 września bez sądu okupanci rozstrzelują wszystkich złapanych poza nim Żydów – część w podprzemyskiej wiosce Przekopana, a część na żydowskim cmentarzu. 17 listopada 1942 roku do Bełżca jedzie 3500 mieszkańców getta. To ich ostatnia niedziela.

Widzę nic nie warte życie Żyda. Normalny świat i szczęście są dla niego obce, wszystko przeciwko niemu. Mimo że żyje ciałem i umysłem, jego dusza dawno odeszła na *górze synaj strachu*. Chcę mu pomóc, lecz gdy otwieram oczy, jest tu tylko kamień, który *odmawia kadisz*. Już tylko kamień potrafi wysławiać Imię Boże, poddać się Jego woli. Jest już po Apokalipsie. *Zbiegowisko kamieni* tworzy cmentarz, na który przychodzi czasami stary człowiek, *bo tu wszędzie są ręce jego córki Rachel*. To Bronisław Anlen, dentysta, aresztowany w listopadzie 1943 roku, przebywał na Pawiaku do 31.07.1944. *Stary człowiek odchodzi / Kamień dęba staje*.

Jestem w środku tej poezji. Powietrze dziwnie ciężkie. Wszystko jakby przeklęte. Sochaczew, drugie Jeruzalem, Żydzi jak *koźlątko na postronku*. Dwie armie *na swoich piersi dwugarbnych wielbłądach wiozą gwiazdy na zasiew*, przez pustynię Negeb, której droga przeszły jest bieda, głodem,

pragnieniem i cierpieniem. Widzę jak *wraca czarny pochód chasydów siwobrodych*, bez sił i głosu, więc już tylko *gawrony sylabizują kanciasto hebrajskie wersety gałązek*. Wraz z upływem czasu wszystko jest widoczne w tej liryce jakby przez mgłę. *Tu stała kiedyś bożnica z ptasią dzwonnica topoli*, a dziś nikt się za Nich nie modli, jakby zginęli na wieki. *Jest spokój języków uprzątniętych / czarna tuna zdechłego ognia*. Pozostała cisza, wspomnień cień. W ciemności szkli się zbiorowa mogiła – Muranów, który kryje tajemnicę ich losów. *I ja jak on wydzwignięta / na powierzchnię popiołu / pod gwiazdy z tłuczonego szkła* zaczynam słuchać słów poety, stają się moimi własnymi.

Świat po apokalipsie jest przesycony grozą i milczeniem. *Sosny / pasione prochem więc strzeliste / idą w górę / Wybuch ten proch sosną tylko / wysadza tylko las w powietrze*. Nawet poziomki są, jak mówi poeta, okrutnie słodkie, nawet obłoki przypominają dym, a ptaki klucz hebrajskich liter. Tylko Ich już nie ma. Myśl o tym przeraża mnie, choć może nigdy nie poczuje się tak samotnie jak Oni w swojej tragedii, po której pozostał smutek, cierpienie, żal i *gryzący dym krochmalnej*. *Był płacz i skomlał policyjny pies / z żałobnie okopaną sierścią*, lecz wszystkiemu przyglądano się z daleka. Poeta opłakuje spalonych w stylizyce „*Campo di Fiori*” Czesława Miłosza. Niekończąca się radość, śmiech, beztrudna jazda na karuzeli, powiew wiatru a świat płaczu, żałoby, dymu, który przesłania cały świat, ogranicza, wyraża niepewność i lęk.

Przytłaczające są pytania o Nich. Szczególnie jeśli ma się w pamięci Ich portrety z Schulza, który malował postacie Żydów i obrazki żydowskich sztetłów. *Gdzie jest siwiutki jak kwitnąca jabłoń Jankiel*, któremu nieraz pszczoła mruczała w brodzie? *Gdzie są sary, judyty, małki, gitte, sachele, memle? Pełno ich nigdzie*. Jest coraz ciemniej, czuję jakby miliony żydowskich oczu ukrytych w mrocznych zakątkach miasta patrzyły na mnie. Może wciąż jeszcze szukają drogi do swojego Jeruzalaim, miasta ocalenia. Czy kiedykolwiek ją znajdą? Była przepełniona niewyobrażalnym cierpieniem. Miód stawał się gorzki, pachniał śledź i cebula, stawały się powoli zapachami nędzy i bezsensu. I jak u proroka Izajasza, *wielu oślepiało na Ich widok, tak niehumanie został oszpecony Ich wygląd*. Naród *Jak baranek na rzeź prowadzony, jak owca niema wobec strzygących ją*. *Choć nikomu nie wyrządził krzywdy* [1].

Jednak najmocniejszym wrażeniem lektury jest *płacz płaczu żydowskich dzieci*. Zapamiętałam na zawsze obrazek sześciolatniej mieszkanki getta zebrzącej na Smolnej w 1942 roku, uderza mnie cierpienie dziecka, jednak nic nie mogę zrobić. Widzę jej ogromne oczy, *dwie gwiazdy dawidowe*, w nich ból i strach, słyszę jej płacz i milczenie, czuję jej smutek i bezradność. Dziewczynka chciałaby być kimś innym, robi

wszystko, by pozbyć się swojej tożsamości, ale nie może, bo *jej mowa nie była srebrem, jej milczenie nie było złotem*. Czy tylko dlatego nic nie warto jest życie tego dziecka? Już nigdy nie przestaną majaczyć w mojej głowie *bełżec i treblinka*. To wtedy miało miejsce wniebowzięcie Miriam z ulicy zimą 1942. Mała żydowska dziewczynka *mijała bezruchem / biel za bielą / w zenit mrozu na eliaszowym wozie poniżenia*. Dla Eliasza był uniesieniem, dla Miriam udręczeniem. I *hosanna na samo dno* wyłącznie dla niej, nie oznacza radości lecz upokorzenie.

Cienie wywołane przez poetę wypełniają moje myśli. Widzę postacie osób, które odeszły, słyszę krzyki, czuję Ich strach, chłód, głód. 5 sierpnia 1942 roku zmarł w komorze gazowej obozu zagłady w Treblince Henryk Goldszmit, Stary Doktor, Pan Doktor, Janusz Korczak. Dlaczego? Poeta na każde z postawionych sobie pytań odpowiada: *nie wiem*. Nawet Charon u Ficowskiego nie jest w stanie ani przewieźć, ani znieść masy niewinnych dusz, którym za nic odebrano życie w ciągu jednej chwili. Ludzie, którzy wiedzą, że za chwilę umrą, widzą przed oczami całe swoje życie. Dzieci muszą dojrzeć i dorosnąć, by z godnością przyjąć śmierć. Dzieci widzą, że Doktor stoi bezradny jak małe dziecko i że jak one nie ma wpływu na nic i *odtąd razem ze Starym Doktorem pełno ich nigdzie*.

Wokół mnie, w kolejnych wierszach, wielka pustka i głucha cisza. Gdzie zniknęło wszystko? Gdzie stary dom żydowski, pełen wspomnień? Gdzie przedmioty, które były świadkami tragicznych wydarzeń? Każdy z nich krył w sobie tajemnicę. Zagłębiał się w milczeniu, ale na krótko. Z ciszy wrywa mnie głos: *Mamusiu! Ja przecież byłem grzeczny! Ciemno! Ciemno!* To słowa dziecka zamykanego w komorze gazowej w Bełżcu w 1942 roku, zapamiętane przez jedynego więźnia, który ocalał, Rudolfa Redera.

Nic nie mogło się zmarnować, pozostało *usypisko włosów co spadły z głów / dla wytwórni hamburskich materaców / złote zęby wyrwane / pod znieczuleniem śmierci*. Powraca głos żydowskiego dziecka, mówi, jak bardzo jest bezbronny. *I otwiera się czasem bełżec aż do kości i wybucha z niego ciemność wiekiasta / jak zatamować ją?* Jestem bezradna. Ich droga prowadzi już tylko w jedną stronę. Pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

Jaka szkoda, że nie znałam Róży Gold, *najsmutniejszej złotej róży*, siedmioletniej dziewczynki. To dziecko przeżyło i widziało więcej zła niż ktokolwiek inny. Jaka szkoda, że nie znałam Frycka, którego matka zdążyła urodzić tuż przed wojną. Wsłuchuję się za Ficowskim, jak cichutko szepczą do matek: *Mamusiu, a jak się skończy wojna, to czy będę mógł mówić do ciebie głośno – „mamusiu”?* Jak wiele dzieci w historii świata musiało siedzieć w bunkrze 18 miesięcy, całe lata za szafą, udając pajęczynę, mówić do własnej mamy „pani”, zastanawiać się, czy śmierć boli? Życie ilu wypełniały jedynie płacz i smutek, i milczenie? Ilu wolno było, jest i będzie *tylko trochę być*? Jak wiele matek umiera ze swoimi dziećmi?

Czuję się jak w jakimś strasznym śnie i wiem, że dla nich, ale i dla mnie już nigdy nie będzie tak jak kiedyś. Nic nie zostało po tamtym Narodzie, wszystko zniszczone. Czy

nie znajdują już nigdy Miasta z czterema bramami, z czystego złota, Miasta z jaspisu, szafiru, szmaragdu, pereł i chalcedonu? Miasta, w którym nie ma nocy? Czy ich los zaczyna się Sodomą i Gomorą, a kończy Apokalipsą?

Nowy Testament zaczął się dla każdego, ale nie skończył, istnieje do dziś, dla Żydów kończy się tam, gdzie Zagłada, Ich koniec świata. Najnowszy Testament to dla nich *martwe morze oddechów i nadaremna Tora*. Dlaczego? Odpowiedź znalazłam w „Postscriptum listu do Marca Chagalla” [2]. Bóg stwarza tam świat jakby od nowa. *Nastał podział przestrzeni, utwierdzenie miejsc / oto lot dano pełzającym / pola pod zasiew spadających gwiazd / Im zaś mówiono Nieobecni*. Dla nich nie ma miejsca. *Świecie odleciały z menor*.

Nawet nie wiem, kiedy w moich oczach pojawiły się łzy, jak w Ich oczach, *kiedy rzucali szlochom o ścianę / więc im wzniesiono / cztery ściany placzu*. Mają już teraz cztery miejsca ukojenia, ale to cierpienie nigdy nie przestanie istnieć. Ból u Ficowskiego odczuwa nawet ziemia, choć drzewa nie załamują gałęzi, twarze nie kielkują z konarów, oczy nie wykluwają się z pąków. Jednak czas stanął i milczy. *Bo ostatni, najstrasliwszy krzyk jest zawsze tylko milczeniem*.

Ja nie mogę przemilczeć, gdy wszędzie widzę cmentarze i czytam kolejny wiersz, o Racheli Auerbach, pisarce, historyku i psychologu. Cały świat został potrząsany, ani poeta, ani ja nie potrafimy skleić z tych skorup sensu. *I nikt już nie wie / i wiedzieć nie będzie / co Ałef co Bejs / co Gimel znaczy*.

I te małe litery w nazwach własnych. Zrównane ze sobą przedmioty, ulice, miejsca, zrównani prorocy i zwykli ludzie. Świat pozbawiony punktów odniesienia, przeraźliwie pusty. Synagogi, niegdyś pełne żydowskich modlitw, puste jak puste ule. Jahwe milczy. Księga nie ma już żadnej wartości, stała się *bezdzielną*. *Słowa wiekiście zamknięte, karty obrębione popiołem, słowo nad słowami z wyrwanym językiem ognia*. Gdzie ich piękne miasto – niebieskie Jeruzalem? Nie stoi blask *Jeruszałaim za najdłuższą z nocy*.

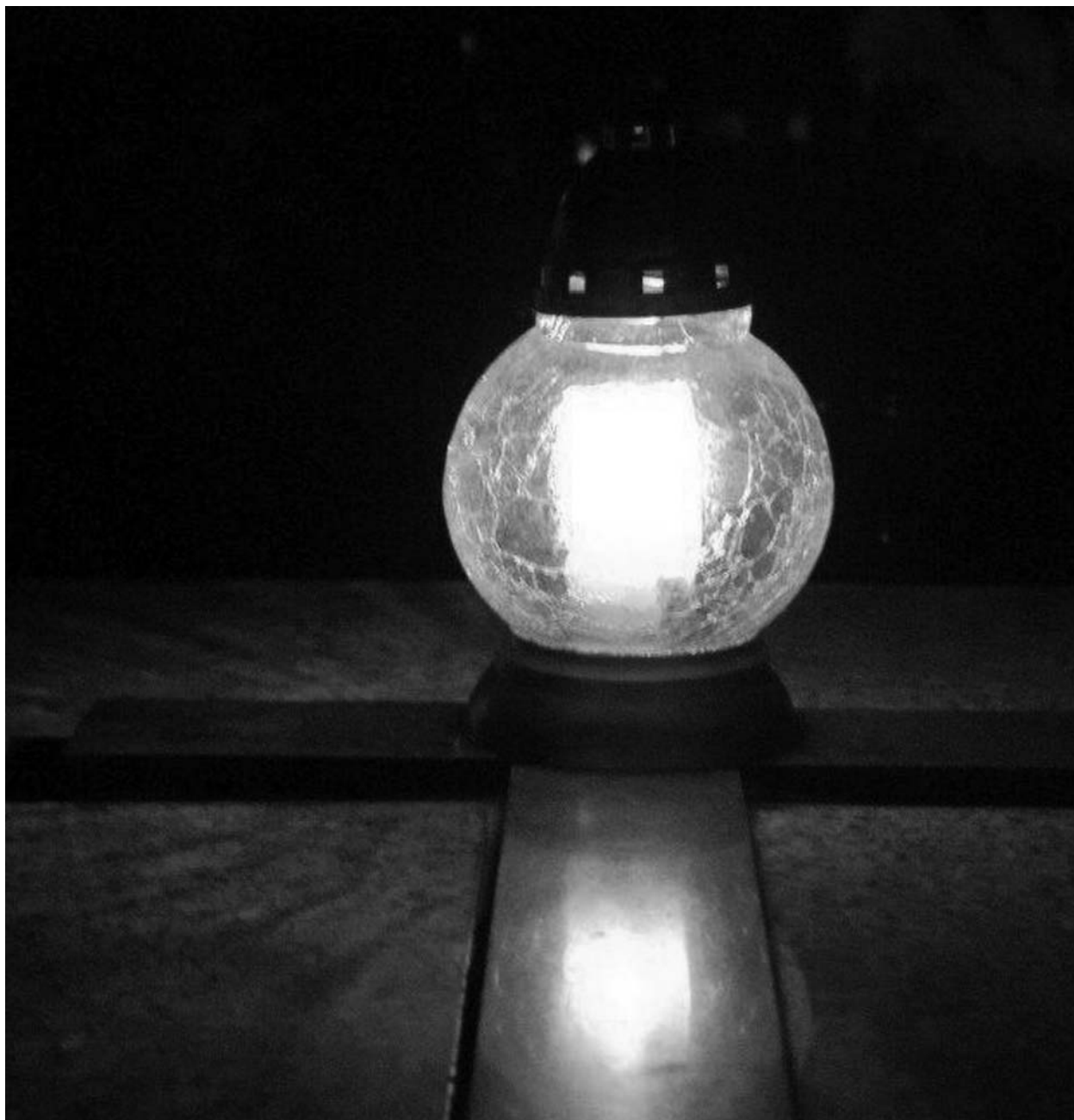
Natrętnie powraca jeszcze jeden obraz. Obraz tragicznych wydarzeń z kwietnia 1940 roku i nakładający się na niego płynnie, jak w obrazach Marca Chagalla, obraz z 10 kwietnia 2010 roku. W nich także widzę kатыńskich żołnierzy z pasażerami polskiego samolotu, tysiące kart zwęglonych, *tylko harmider takiej ciszy / tylko talmut pustkowie, spokój języków uprzątniętych*. I ja, *Ja – człowiek, ja – syn tej ziemi, / ja – nie spalony ich brat*, ja nie spalona ich siostra. Nad nimi wszystkimi i nad sześcioma milionami zwęglonych kart *Kyrie eleison*. *A na początku / było Słowo Słowa / na koniec nie ma*.

Anna MERECIK

* Fragmenty pisane kursywą są cytatai z wierszy Jerzego Ficowskiego ze zbioru: „*Odczytanie popiołów*”, Warszawa 1988

1. Cytat z Księgi Izajasza.

2. Tytuł jednego z wierszy z tomiku „*Odczytanie popiołów*”.



DWA ŻYCIA, DWA POGRZEBY

Kilka lat temu zmarł pewien starszy pan, który był moim znajomym. Należał do ludzi, o których zawsze mówiono dobrze i z nieukrywaną sympatią. Był to tzw. dobry człowiek. Nie kradł, nie oszukiwał, nie czerpał wygód z zajmowanego stanowiska, był uprzejmy dla znajomych i sąsiadów. Krótko mówiąc – „swoją chłop”. Czas najchętniej spędzał w towarzystwie żony. Razem robili zakupy, razem sprząтали mieszkanie, razem odpoczywali w wygodnych fotelach czytając książki. Byli jak te przysłowiowe „papużki nierozłączki”. Ale poza własną żoną tego pana tak

naprawdę nie obchodził nikt: ani dzieci, ani wnuki. Niezbyt interesował się ich życiem, a one z kolei też nigdy nie zwracały się do niego z prośbą o pomoc. Dzieci swoje problemy rozwiązywały przy pomocy przyjaciół i znajomych. Po prostu w ich rodzinie nie było zwyczaju rozmawiać o własnych kłopotach.

Ów pan był wojującym ateistą, członkiem KPZR. Kiedy zdarzało się, że siadaliśmy przy jednym stole, patrzył mi prosto w oczy i dobrze wiedząc, że jestem osobą wierzącą, miał zwyczaj powtarzać: „*A Boga nie ma!*” Nigdy nie pytałam go, dlaczego to robi, nigdy też

nie reagowałam na jego złośliwe uwagi. Za to w takich wypadkach próbował bronić mnie mój mąż, który był bliskim krewnym owego pana.

Kiedy ów staruszek leżał w szpitalu, a lekarze nie dawali mu żadnych szans na przeżycie, jego dzieci zaproponowały mu, że przyprowadzą do niego osobę duchowną. Odmówił. Zażył sobie, by jego pogrzeb miał charakter świecki. Kiedy zmarł, uszanowano jego wolę.

To był pierwszy tego rodzaju pogrzeb w moim życiu. Ponieważ urodziłam się i wychowałam w Polsce, wszystkie uroczystości żałobne dotychczas przeze mnie widziane miały charakter kościelny. Natomiast dwa pogrzeby, w których uczestniczyłam już w czasie pobytu w Kijowie odbywały się w obecności kapłanów prawosławnych. Na pogrzebie owego pana, zgodnie z jego życzeniem, nie było osób duchownych. Jakiś człowiek z urzędu pogrzebowego króciutko opowiedział o życiu i osiągnięciach zmarłego. Następnie trumnę z ciałem włożono do grobu i zakopano. Tak właśnie, zakopano. Nie mogłam wówczas inaczej o tym myśleć. Cały pogrzeb trwał zaledwie kilka minut. Stałam nad świeżą mogiłą starszego pana i po głowie chodziła mi tylko jedna myśl: Teraz już wiesz, że Bóg jest. I nie było w owej myśli żadnej satysfakcji, był tylko żal, że ten nieszczęsny człowiek sam siebie pozbawił możliwości bycia dzieckiem Bożym...

Po pogrzebie wszyscy jego uczestnicy udali się do restauracji, gdzie odbyła się tradycyjna, prawosławna stypa. Pito za spokój duszy zmarłego i wspominano jego zasługi. W pewnym momencie wstała pewna pani, która kiedyś pracowała razem ze zmarłym. Opowiedziała o tym, jakim był kolegą i zakończyła swoją wypowiedź stwierdzeniem: „*Odszedł w niebyt*”. Te słowa przeraziły mnie. W tych słowach nie było żadnej nadziei, był mrok i ciemność otchłani. Była pustka. Od tych słów wiało zimnem i strachem...

Minął tydzień. I tak się złożyło, że znowu byłam uczestniczką pogrzebu. Zmarła ukochana mateczka mojej koleżanki. Była to kobieta głęboko wierząca, cicha, dobra, serdeczna, miłująca bliźnich i chętnie im pomagająca. Całe swoje życie poświęciła innym. Przed śmiercią bardzo cierpiała, ale cały swój ból ofiarowała Bogu. Odeszła cicho, tak, jak żyła. Odeszła zaopatrzona Najświętszymi Sakramentami. Zasnęła w Panu...

Uroczystości pogrzebowe z udziałem młodego oblata o. Piotra rozpoczęły się w kaplicy szpitalnej. Odmówiono Koronkę do Bożego Miłosierdzia. Nie wszyscy brali udział w modlitwie. Oprócz katolików w pogrzebie uczestniczyli również prawosławni i osoby

niewierzące. Ale i jedni i drudzy z uwagą przysłuchiwali się słowom modlitwy. A potem był cmentarz i znowu gorąco modlono się w intencji zmarłej. I dla wszystkich stało się zrozumiałe, dokąd odeszła jej nieśmiertelna dusza – do światłości, do Domu Ojca. A tam czekali na nią aniołowie i Matka Boska, do której zaniesiono pieśń „*Witaj Królowo, Matko miłosierdzia...*” A nam, tu, na ziemi, pozostało tylko pochować ciało zmarłej.

Płynęły słowa modlitwy, słowa pełne wiary i nadziei. I ta wiara i nadzieja zagościły w sercach żałobników. Nikt nie płakał, nie szlochał, nie rozpaczał. Modlitwa, jej pełne optymizmu słowa sprawiły, że wyschły łzy na twarzach bliskich zmarłej. Te łzy otarł im sam Bóg...

Kiedy zakończyły się uroczystości pogrzebowe, do o. Piotra zaczęli podchodzić ich uczestnicy. Dziękowali młodemu kapłanowi za słowa otuchy, za słowa nadziei, za to, że tak wyraźnie pokazał im, gdzie teraz przebywa bliski im człowiek. Wielu z nich podkreślało, że mimo iż są osobami niewierzącymi, tym niemniej ten chrześcijański pogrzeb był wyjątkowym wydarzeniem w ich życiu.

Dwa życia, dwa pogrzeby... Niebył i światłość wiekuista... Nadzieja i brak nadziei... A wybór należy do nas.

Dorota JAWORSKA

PS. Niedawno trafił do moich rąk tekst wiersza p. Lucyny KALANDYK z Rzeszowa. Niech ów wiersz będzie jeszcze jednym powodem do zadumy nad śmiercią. Niech przywoła twarze Tych, Których nie ma już z nami. W te jesienne dni, gdy nasze myśli tak często kierują się w stronę o Nich wspomnień...

W PAMIĘCI

*Człowiek jak okręt po fali życia mknie,
Nim się obejrzy, już zatrzyma się.
Zasypia snem wiecznym –
Bezbronny, w uczynki odziany.
Tkwi w pamięci najbliższych,
We wspomnienia wplatany.*

*Odchodzi z bagażem
Wypełnionym czynami;
Im większym i cięższym,
Tym częściej wspomniany.*

*Pielęgnujmy pamięć i żywe wspomnienia,
Modlitwą upraszajmy drogę do zbawienia. ■*

«TO NIE JA – TO JESIEŃ»

Wiersze Zdzisławy Górskiej

SUMIENIE

Moje sumienie najczęściej drży
 Ma więcej wątpliwości
 niż ja przeżytych zdarzeń
 Z neurotycznym uporem
 dzieli włos na czworo
 Prawie nigdy nie jest ze mnie
 Zadowolone
 Każe mi się tłumaczyć z rzeczy
 niezawinionych
 Traktuje mnie zbyt srogo
 nawet za drobnostki
 Budzi mnie o pierwszej w nocy
 i powtarza film z ostatniego dnia
 Z wyższością cofa klatkę za klatką
 i analizuje każdy szczegół
 W okolicy serca czuję ucisk bolesny
 i cierpki smak porażki
 Nawet w rzadkich sukcesach
 wierci dziurę jak kornik
 Jednostajny zgrzyt słyszę długo w noc
 Moje sumienie czepia się tylko mnie
 Dla innych jest niezwykle wyrozumiałe
 Chce mnie rzeźbić jak Fidiasz
 do końca moich dni
 Nie pozwala na akceptację siebie
 Może lepiej go nie mieć
 w czasie mocno zagmatwanym

TO NIE JESIEŃ

To nie jesień – to ja
 zmartwiały drzewem
 pełnym niepokoju
 stoję
 przed drzwiami
 jutra

To nie jesień – to ja
 szukam radosnej ścieżki
 aby przejść przez dzień

To nie ja – to jesień
 rozruciła lipowe serca
 w nadmiarze
 Nerozważni depczą uczucia
 w twardych butach

ODEJŚCIA

Wisławie Szymborskiej

Mroźno, aż strach i śniegu nadmiar
 niespożyty
 Odchodzą wielcy, znani i nie wracają...
 Odchodzą ciś, bliscy, pokorni
 też bez powrotu
 Odeszła Szymborska sławna i mądra
 z pełnym wyczucia
 podejściem do persony Atropos
 mówiąc Jej do widzenia

Odeszła cicho, jak żyła, w swoim pokoju,
 w swoim łóżku, w swoim śnie
 W majestacie chronionej prywatności
 „jakie życie, taka?!”
 Może nawet nie widziała mechanicznie
 beznamietnej Atropos
 z którą prowadziła kiedyś dialog ostrożny

Odeszła Wisława Szymborska w zaspę pytań,
 wspomnień, niedowierzań
 Słowa wierszy układała w logiczno-ironiczną
 całość zadziwienia światem
 Odeszła, z filozoficzną elegancją, bez cienia pozy
 zostawiając nas w osłupieniu

W SONETACH

Może być sonet jak nóż do papieru on
 nie kaleczy, ale przeciąć może,
 Podobnie biczem, kiedy smagnie słowo,
 już nie poderwie się do lotu orzeł.

Może być sonet muśnięciem jasności
 i wiarą w wieczność na wzgórzach Asyżu,
 Gdzie święty sługa w otoczeniu ptaków,
 gdzie freski Giotta i dzwony ze spizu...

Może być sonet śpiewny i rytmiczny
 jak nić Ariadny z labiryntu cienia
 Wyjście ku światłu z tego zagubienia

Wyjście na wolność lękiem spętanego
 nie zza krat ciężkich i lochów przepastnych
 Lecz w bezkres jasny, bo z siebie samego.

SŁOWA NA PIASKU

Czuję się nieco Marią z Magdali
 Mocno pragnę, stojąc przy
 pustej studni
 Nie zawiniłam nawet myślą
 Dlaczego więc boję się
 kamienia
 kropki nad i
 Tłumu nie widzę...

Mistrz pisze na piasku
 Nie wierzy w sądy i opinie ludzi
 „Coś dobrego przychodzi zawsze
 spoza nas, z czasu nieznanego,
 nie z przypadku”^{*}
 Nawet zegar słoneczny śpieszy
 w niewiadome już
^{*}Cytat z mojego wiersza „pustynnie”

UPADEK

Ten szmer słyszalny to upadek
 Ikara
 Za wysoko wleciał w mitologiczne
 słońce
 W osądzie nauki – totalna bzdura
 Odpadł także w obrazie Breughla
 Nikt tego nie zauważył
 Wosk i pióro – za mało by zgasić
 pragnienie
 W wierszu jest przestrzeń i w nim
 zostaną
 Za daleko gwiazdy, za blisko
 przepaść
 Kto dotknie celu

PUENTA II

Drga cząstka monitora
 Zajęte
 Na przesmyku duszy
 wiersza supełek
 Przedzieram się falą mizerną
 przez cieśninę słów
 Płynę w skończoność
 bez znieczulenia
 Grałam w dobrym filmie
 Scenariusz pękł na dwoje
 łupiną orzecha
 Zakręciło mną oko cyklonu
 zawieją czerwonych płatków



Zdzisława GÓRSKA urodziła się w Strzyżowie, gdzie mieszka i tworzy. Wykształcenie pomaturalne – medyczne (technik elektroradiologii). Od młodości zainteresowana literaturą i malarstwem, dokształcała się w tym zakresie. Poetka, autorka licznych artykułów, felietonów, esejów i reportaży. Dużo podróżowała i mieszkała kilka lat z rodziną w USA.

Wydała dziewięć tomików wierszy oraz tom prozy: „Wieczne źródło” – 1996 r., „Przesiewanie czasu” – 1999 r., „Po rajskim jabłku Ziemi idę” – 2002 r., „Atlantycka huśtawka” – 2006 r., „Ojcu Św. Janowi Pawłowi w darze” – 2007 r., „Warto być” – 2007 r., „Odlatuje czas” – 2012 r., „Wyprzedaż złudzeń” – 2012 r., „Ponad czasem” – 2014 r. (na kanonizację Jana Pawła II), „Przylądki mojej nadziei” – 2010 r. (proza wspomnieniowo-emigracyjna).

Od 20 lat współpracuje z prasą lokalną, pisząc artykuły, felietony, eseje o tematyce społeczno-kulturalnej i promujące poezję.

Jej wiersze zamieszczały: nowojorski „Nowy Dziennik”, „Gazeta Kulturalna”, „Wiadomości kulturalne”, „Super Nowości”, „Niedziela”, „Nasza Droga”, „Waga i Miecz”, „Kurier Białowski”. Współpracowała z nowojorskim „Nowym Dziennikiem”.

Zdzisława Górska jest członkiem ZLP O/ Rzeszów od 2002 r., należy także od 2003 r. do Polish American Poets Academy w Wellington N.J. USA.

Jej pasją jest także malarstwo. Prezentowała swoje prace na wystawach indywidualnych i zbiorowych.

Laureatka wielu konkursów ogólnopolskich i międzynarodowych: „O Laur Wagi i Miecza”, „O Lampę Łukasiewicza”, „Konfrontacje” 1999, 2000, Leszno, Konkursu Polonii Amerykańskiej – Passaic N.J., USA. W 2012 r. za zestaw 10 wierszy otrzymała „Grand Prix” w XX Ogólnopolskim Konkursie „Dać świadectwo”, zorganizowanym przez Śródmiejski Ośrodek Kultury w Krakowie. Nagrodą było wydanie tomiku wierszy.

Wyróżniona przez Ministra Kultury odznaką „Zasłużony Działacz Kultury” w 2002 r. Miasto i powiat Strzyżów dwukrotnie – w 2002 r. i w 2005 r. – uhonorowały autorkę tytułem „Zasłużony dla miasta i powiatu Strzyżów”. „Złote Pióro” – Honorową Nagrodę ZLP/O Rzeszów przyznano autorce za tomik wierszy „Atlantycka huśtawka” w 2007 r. Nagrodę Honorową Miasta Strzyżowa – Statuetkę Św. Michała za twórczość w kategorii „Oświata i Nauka” otrzymała w 2009 r. Za „Przylądki mojej nadziei” otrzymała „Złote Pióro”, nagrodę ZLP/O Rzeszów w 2011 r. w kategorii proza.

Nie było ratunku wśród figur
boleśnie obojętnych
Wysłałam wyjściem
przeciwpożarowym
Bez puenty

JESTEŚ

Jesteś nam potrzebny, Panie
przy przebudzeniu na tym świecie
od świtu do świtu
i w bezsenności trwania

Jesteś nam potrzebny
przy bieli welonu szczęścia
rozkwitłych bzach radości
Przy pękniętych sercach
i w czarnych tulipanach rozpacz

Tu musimy Cię poznać i uwierzyć
Bo jak w bezkresie wieczności
odnajdziemy drogę do Ciebie

PROŚBA

Nie zabieraj mi Panie
krajobrazów zielonych
dymem ognisk przymglonych
pod słońce

mojej wyboistej drogi
do zamglonego celu

pieczenia powiek
kiedy nie może precyzyjnie
się łączyć

niewytłumaczonej chęci
na życie

Nie zabieraj mi Panie
cierpienia
Ono jedno było
najbliżej mnie

BŁOGOSŁAWIONY JAN PAWEŁ II

Beatyfikacja Jana Pawła II

Kiedy zostałeś sam na krakowskiej
ziemi
okrutny teatr wojny trwał
Gdzie iść
Znalazłeś pokorę, wosk miękki

jak serce
i zapas oliwy do lamp światłości

Znalazłeś czas dla Boga. Leżąc
krzyżem w podziemiu kapłaństwa
Zawierzyłeś
Miałeś czas dla milionów
i chwilę jak wieczność dla
tracącego nadzieję
Odkryłeś strumień oczu bystry
i rwący
aby tłum zobaczyć pojedynczo
Twoje słowa otwierały w nas
niepojętą przestrzeń

Tak blisko za Tobą stał Bóg

Jak piękny i dobry jest On
już wiesz

ŚCIEŻKI WIARY

Jerozolima będzie ze mną wszędzie
wrosła we mnie drzewem
oliwnym
W kwiatach myśli
i łodygach wspomnień
nieustanny obraz trwa

Jezioro Genzaret przelewa się
łagodnością
z myśli na myśl
Tutaj Bóg zostawiał ślady stóp,
schody słów
budowę prawdy
strzeliste wieże nadziei
Męką Krzyża wytyczył ścieżki wiary,
które potężnieją z czasem,
obejmując świat
Czym bylibyśmy dziś /jeśli byśmy byli/
bez tysięcy świątyń,
bez Zwiastowania
bez Narodzenia
bez Krzyżowej Drogi
bez Zmartwychwstania

W nas i wokół nas byłby dziś
tylko piach pustyni

NALEŻNA WYSOKOŚĆ

Żyjemy w czasach niepokornych
w udziwnionej wolności

Codziennie przeżywamy ostry
 fotoplastykon zdarzeń
 często niewiarygodnych
 jednak prawdziwych
 Nie dotykamy siebie łagodnie
 rzadko patrzymy w oczy
 zapominając o prawdzie
 Nie pojmujemy cierpienia
 ani skończoności drogi
 Gdybyśmy rodzili się ciągle
 na nowo, to także z pytaniem
 dokąd, po co
 My jeszcze obecni mamy odpowiedź
 w krzyżu
 Tylko bezmyślni usiłują zdjąć krzyż
 z należytą mu wysokością

LOSY

Świat mojej babci był prosty
 jak ścieżka do Wisłoka
 Cały bank mieścił się
 w białej chusteczce
 związanej na węzełek
 Niewiele tego było
 Czasem spieniężyła w skupie
 parę jajek /gospodyni nie
 wypadało wystawać na targu/
 Bóg – mieścił się na codziennie
 odmawianym różańcu
 a w niedzielę w dużej książeczce
 do modlitwy
 Zapaloną gromnicą w czasie burzy
 babcia starała się ocalić świat



Nie chorowała przez całe życie
Nie opuściła ani jednej
niedzielnej mszy
Wstawiała wraz ze słońcem
/w zimie o wiele wcześniej od niego/
pracując cały dzień
według niezmiennego planu

Dopiero na starość przysiadła
na ławce przed domem
Za nią chwiały się lekko wysokie malwy
i maciejka pachniała
wieczornym omdleniem

Z odległej pamięci wyjmowała
spłowiełe wspomnienia
o ship'ie płynącym sinym oceanem
z Hamburga do dalekiej Ameryki
gdzie godzinami stała przy krosnach
nawijając nici na szpulę życia
Dalekie Lowell Massachusettes, dla mnie znajome
i dotykalne z opowieści
jak ślubna fotografia babci
do dziś prawdziwa w sepii – stamtąd

Na galicyjskich wzgórzach po powrocie
czekał na dziadka austriacki mundur
i rosyjska niewola aż pod Taszkentem
Przeboleła i dzieci wśród kłosów
wyrosło ośmioro

W dali grała melodie wieś
Porykiwały krowy
szczękały psy
odzywały się żaby
i rosa siadała na trawie
jak widz w amfiteatrze

Szłyśmy wtedy obie powoli
na dobry chleb pieczony z miłością
i herbatę z mięty
suszonej za belką pod dachem

Co mi ze świata samochodów
i reklam
banków i telewizji
Jeśli nigdy już nie było mi
tak dobrze
jak wtedy

*II nagroda w konkursie
Kongresu Polonii Amerykańskiej
w Passaic N.J, USA 27.04.2003 r.*

SPRZECIW

w liściach ciągle spokój
mimo iż świat oszalał na dobre
i zamiast wyciągniętej ręki do zgody
broń wyciąga doskonalszą
niż on sam

drzewa nie zmieniają poglądów
według politycznych racji
kolorowieją na nasze szczęście
i liściom powoli pozwalają opaść

wśród drzew ciągle spokój
jeśli nie zrani ich człowiek
zimą wyglądają jak po chemioterapii
z nieustanną nadzieją
na zieleń

człowiek zapatrzony wyżej
niż przewidzieć zdoła
upada znacznie niżej
niż pozwala dno

CZYTAJĄC LECHONIA

Po rajskim jabłku Ziemi idę
odtrącając
liście zroszone deszczem
kosmyk włosów z czoła
nie spotkam Wergiliusza
we śnie mostu nie ma
choć życie po połowie
nie wszystko stracone

ciągle mnie zajmuje
wielość losów innych
i z zachwyty nad światem
oczy rozszerzone
a serce jeszcze tłucze
takt niezmordowany
kiedy śnieżynki płatek
na mych rzęsach skona

nie chcą zwiedzać Hadesów
wyroków podziemi
nie tęsknię do Cyreny
bo wiem że jej nie ma
chcę tu gdzie życia kipi
nurt nieposkromiony
zgadywać jabłka w sadzie
dojrzałą jesienią

WIERNOŚĆ

Nie wiem kim jestem w obcej stronie,
rozglądam się za widnokręgu brzegiem
i łapię mewy wzrokiem utęsknionym
i liczę fale odległe od domu

Jak wierna rzeka w mgłach myśli powracam
do bieli łąki w rumiany utkanej,
nie zmieniam biegu, chociaż ciężko z lodem
i swej tęsknoty jak kry nie roztapiam

Bo tam jest wszystko co cieszy i boli,
ból jest zaklęty w milczącym kamieniu
i w ziemi polskiej krwią dziś przerdzewiałej,
z nikłą nadzieją na drogach rozstaju

Została wierność w rzeczy małej – duża
wraz z wiarą ojców pół cztery odmiany
i Ojciec Święty, który z nas się wywiódł
i Matka Boża z rozpostartym szalem

Więc wracam, idę z tułaczki po świecie,
choć zawsze lepiej tam, gdzie nas już nie ma
Wierność zasadom wywiedzionym z domu,
tego uczucia Polakom potrzeba

Odwiedzić groby, tych co szli przed nami,
pomyśleć o nich przez ulotną chwilę
Dotknąć historii świętej na Wawelu,
głowę pochylić... i podnieść do góry

*I nagroda w konkursie Kongresu
Polonii Amerykańskiej /Grupa Nord/
27.04.2003 r., Passaic N.J., USA*

Czym jest dla mnie poezja

Poezja jest dla mnie wolnością, przejściem na niezmierzony wymiar duszy. Poezja jest otwarciem na wielką wrażliwość, jest poznaniem nieprzeczuwanych odczuć i doznań odczytanych w wierszach innych twórców i u siebie. Poezja jest dążeniem do piękna i harmonii świata, do uporządkowania wnętrza człowieka i uwrażliwienia, a tym samym jest dążeniem do Absolutu. Poezja wyraża również sprzeciw i ból, niezgodę na krzywdę, wojny, okrucieństwa, broni godności istoty ludzkiej w każdym kraju i w każdym wieku.

W poezji można wypowiedzieć siebie, w formie bardzo skróconej, skondensowanej, podzielić się sobą z odbiorcą, poruszyć wrażliwe struny duszy, pozwala czuć się w pełni człowiekiem. Jest dziedziną niezwykle tajemniczą. Nie ma szkół uczących pisania poezji. Są studia malarskie, muzyczne... a poetyckich jak dotąd nie ma.

Dlatego ktoś musi czy potrafi tworzyć poezję – zostaje tajemnicą.

Św. Jan Paweł II powiedział: „Poezja jest panną wolną”.

Poezja, słowo – jest łącznością z Wyższym Intelktem o ogromnej wrażliwości. Czasem wydaje się, że wiersze skądś płyną, są jakby dyktowane, a poeta jedynie przekazuje w słowach zapis duszy, ma nic łączącą nasz świat ze światem idealnym. Jak zauważył kiedyś Witold Lutosławski: „Muzyka jest przestaniem ze świata idealnego”. Moim skromnym zdaniem, malarstwo i poezja też!

Zdzisława Górka

Janina Wań

PRAWDZIWA HISTORIA CZERWONEGO KAPTURKA

(Scenariusz do bajki)

NARRATOR:

Na skraju lasu, obok pagórka
mieszkały sobie: matka i córka.
Matka – samotna, jak wszystkie wdowy.
Czasem odwiedzał ją pan Gajowy.

Ale nie o niej jest ta bajeczka.
Przedmiotem bajki jest jej córeczka.
Jak jej na imię, może spytacie?
Otóż... pamiątkę miała po tacie:

Mały kapturek, cały czerwony
czepeczek śliczny – jej ulubiony.
Wkładała zawsze go na swą główkę,
gdy wybierała się na wędrowkę.

Wszyscy ją często w nim oglądali
dlatego właśnie ją nazywali
Żółtym Kapturkiem... Oj nie!.. Czerwonym.
Chyba zmyliłam bajkowe strony...
(Piosenka Czerwonego Kapturka)

MAMA:

Moja córeczko!.. Czerwony Kapturku!
Przynieś mi ten koszyk, co stoi na murku!
Pójdiesz dziś do babci, bo chora nieboga,
Tylko zbierz się szybko, bo daleka droga.

Zaniesiesz jej kapcie i z cebulą kromki,
a po drodze leśne pozbierasz poziomki.

CZERWONY KAPTUREK:

No nie! Znowu muszę po lesie wędrować?!

MAMA:

Tylko zapamiętaj, ścieżki masz pilnować!
Bo jeśli zabłądzisz... to wilk cię dopadnie!
Co się wtedy stanie... chyba nikt nie zgadnie.

CZERWONY KAPTUREK:

Dobrze mam. Idę. W lesie nie zabłądzę.
Przecież wilka nie ma, najwyżej zające.
Bzdury ci nagadał Gajowy o wilkach
W lesie pewnie spotkam gila... lub motylka...

Może i wiewiórkę, co wesoło skacze,
ale wilka w lesie nigdy nie zobaczę!

*(Czerwony Kapturek idzie do lasu w rytm piosenki. Po
drodze dołączają do niej zwierzęta i razem z nią tańczą.)*

CZERWONY KAPTUREK:

Ale się zmachałam!.. Chyba tu odpocznę.
Tańce zwierząt w lesie były nazbyt skoczne.

*(Zasypia, gil niespokojnie krąży nad nią i śpiewa
piosenkę. Nagle spostrzega skradającego się wilka i ucieka.)*

WILK:

Jestem strasznie głodny! Jestem strasznie zły!
Nie ma nigdzie zwierząt, tylko moje pchły!
Ale... co tam leży gdzie kręta ścieżynka?
Może jakiś królik!.. nie... tylko dziewczynka...

Jaka apetyczna... wreszcie zjem śniadanko!
Tylko ściągnę z małej kapturek i wdzianko...

CZERWONY KAPTUREK:

Oj!.. Coś mnie łaskocze... Jaki śliczny kotek...

WILK:

Ja kotek?!.. O zgrozo!.. Aż się boję plotek!
Dobrze, że nikogo w okolicy nie ma...
Co tam masz dziewczynko w koszyczku?

CZERWONY KAPTUREK:

Ja?... chleba
kilka kromek niosę mojej chorej babci,
kubeczek poziomek, no i parę kapci.

WILK:

Aaa... babci.. powiadasz... a gdzie domek babci,
co czeka na wnuczkę i na parę kapci?

CZERWONY KAPTUREK:

Na końcu tej ścieżki, tam, gdzie płot zepsuty.

WILK:

Aa... Wiem!.. lecz posłuchaj... znam drogę na skróty.
Pójdiesz tam, do rzeki, potem skręcisz w prawo,
wkrótce ujrzysz chatkę... a więc ruszaj żwawo!

NARRATOR:

Naiwna dziewczynka. Będzie mieć nauczkę,
bo wilk pewnie pożre i babcię, i wnuczkę!

Wilk biegł krótszą drogą i znalazł się wkrótce,
zanim wnuczka przyszła, w babcinej chałupce.

BABCIA:

Czerwony Kapturek?!..

WILK:

Tak babciu kochana!...

BABCIA:

No!.. nareszcie jesteś, bo czekam od rana!
Gdzie mam okulary?... Podaj mi Kapturku.

WILK:

Okulary?... Mówisz?... Tam... wiszą na sznurku.

BABCIA:

Co ty za głupoty gadasz moja droga?
Podejdź do mnie bliżej, bo mnie boli noga.
Podaj mi ze stołu kawałek indyka... nic dzisiaj
nie jadłam...

NARRATOR:

... i wilk... ślinkę łyka...

Co się potem działo... aż strach opowiadać!

(Wilk goni babcię dookoła łóżka. W pewnym momencie babcia wraz z indykiem znika za łóżkiem.)

Połknął biedną babcię i jął się układać
do łóżka babuni, tak był najedzony.
A tu już Kapturek idzie z drugiej strony!

(Czerwony Kapturek nadchodzi w rytm piosenki.)

NARRATOR:

Wchodzi do chałupki... staje koło łóżka...

WILK:

O! Już do mnie przyszła... kochana dziewczuszka!

CZERWONY KAPTUREK:

Słyszę droga babciu, żeś jest bardzo chora.
Okropną masz chrypkę!.. Sprowadzę doktora!

WILK:

Nie!.. nie trzeba wcale kłopotać lekarzy!

CZERWONY KAPTUREK:

Ależ droga babciu... co ty masz na twarzy?!

WILK:

A nie!.. To choroba dziwnie mnie zmieniła.
Wzmocniła paznokcie... zęby naostrzyła...

CZERWONY KAPTUREK:

Dziwne masz też oczy... i ogon masz z tyłu?
Czy tu był pan doktor?

WILK:

Kilku ich tu było!

CZERWONY KAPTUREK:

Oj!.. Kochana babciu... ja się chyba boję!

WILK:

O! Na moje kiszki!... Dłużej nie ustoję!

NARRATOR:

Warknęło wilczysko, dziewczynka pisnęła,

On skoczył i mlasnął, a ona... zniknęła...
(*Wilk kładzie się do łóżka i zasypia. Słychać smutną muzykę.*)

Już słońeczko zgasło, księżyc błado świeci,
śpią już wszystkie ptaszki, zwierzątka i dzieci.
Nie śpi tylko mama Kapturka małego.

MAMA:

Czemu nie wróciła?... Spytam Gajowego!
(*Podchodzi do Gajowego, który siedzi na ławce i pali fajkę.*)

MAMA:

Drogi mój sąsiedzie, mam ja pewną sprawkę.

GAJOWY:

Dobry wieczór pani. Zapraszam na ławkę.

MAMA:

Moja córka dziś do domu nie wróciła...
Może śpi u babci... lub w lesie zbłądziła?
Wprawdzie ma komórkę, lecz jej nie odbiera...

GAJOWY:

Widzę – sprawa pilna, wyruszę więc teraz!
Poszukam twojej córki w ciemnych lasu drózkach.
Nie martw się sąsiadko, bo może staruszka
wnuczkę swą kochaną na noc zatrzymała,
gdyż po nocy... lasem... wracać by się bała.

NARRATOR:

Gajowy więc zabrał swą strzelbę i sznurek
i wyruszył nocą przez ciemny pagórek.
W lasu gęszcz ponury raźnie ruszył w drogę.

GAJOWY:

Odnajdę Kapturka, przecież pomóc mogę!
(*Gajowy idzie przez las i śpiewa.*)

NARRATOR:

Tak więc Gajowy chodzi i śpiewa...
wokół rytmicznie wtórują drzewa,
aż w końcu myśli Gajowy:

GAJOWY:

...chwilka!

a czemuż w lesie-m nie spotkał wilka!
Co się z nim stało?

NARRATOR:

...w głowę się drapie...
nagle przystaje!

GAJOWY:

A któż tak chrapie?
Co to za dźwięki słychać z dąbrowy?

NARRATOR:

Mocno się zdziwił nasz pan Gajowy.

GAJOWY:

Czyżby to z domku? Tam, za drzewami,
ozdobionego pięknie malwami,
w którym Kapturka babunia mieszka
i gdzie prowadzi ta kręta ścieżka?
Takie chrapanie słychać dudniące,
że aż powiędły kwiatki na łące!

NARRATOR:

Skrada się cicho Gajowy nocą,
aż mu ze strachu ręce się pocą...
Ale jest dzielny, nie rezygnuje,
chociaż wie, że go nie uratuje
nic od potwora, co w domku mieszka.

GAJOWY:

... no i skończyła się w końcu ścieżka.
Babciu!... Czyś zdrowa?... Bo strasznie chrapiesz.
Dyszysz i mruczysz, wyjesz i sapiesz...

WILK:

A kto mnie budzi?!
Hola, intruzie!

GAJOWY:

Babciu... jak dziwną masz dzisiaj buzię...
Cała kudłata?... Zęby?... Pazury?
O ty potworze! Ty wilku bury!
Gadaj, gdzie Babcia i gdzie Kapturek!
Mam ja dla ciebie gotowy sznurek!

WILK:

Oj... biada, biada...

NARRATOR:

Wilk ledwie zipie.

WILK:

...wody...

(Gajowy podaje wilkowi dzbanek z wodą.)

GAJOWY:

...masz wodę.

NARRATOR:

..i wodę chlipie.

WILK:

Oj... chyba ze mną coś nie w porządku.
Strasznie mnie boli... piecze w żołądku.

GAJOWY:

Mów mi tu zaraz! Czyś zeżarł Babcię?!

WILK:

Tak... pozostały mi po niej... kaptcie,
a na dodatek jej śliczną wnuczkę
pożarłem także... i mam nauczkę!
Strasznie dziś cierpię od niestrawności...
Za dużo zjadłem... no i mam mdłości.

GAJOWY:

Zaraz ci ulżę Wilku, niecnoto!
Rozetnę brzuch twój z wielką ochotą.
Wyciągnę babcię, wyciągnę wnuczkę
i będziesz miał ty wilku nauczkę!

WILK:

Ojej!.. Ratunku!.. Kto mnie obroni!?

NARRATOR:

Gajowy wilka po lesie goni,
a wilk ucieka za siedem lasów...
i robi przy tym tyle hałasu...
...No a co z Babcią?.. myślicie sobie.
i co z Kapturkiem?.. Przepadły obie?!
O nie!.. nie martwcie wcale się dzieci.
Popatrzcie! Słonko na niebie świeci,
a skoro jasno się już zrobiło,
to wkrótce wszystko się wyjaśniło.

(Dzwoni telefon komórkowy, po chwili wychodzi z za
łóżka Czerwony Kapturek i mówi do słuchawki. Za
wnuczką gramoli się Babcia.)

CZERWONY KAPTUREK:

Cześć mamol... nie śpię... i nie uwierzysz,
ile tej nocy miałyśmy przeżyć!
Wilk straszny Babcię odwiedził w nocy
a Babcia znikąd nie miała pomocy...
i gdy tak Wilk ją prawie połykał
wcisnęła w pysk mu kawał indyka!
(Kapturek podaje Babci telefon.)

BABCIA:

Ach moja córko, uwierz kochana,
ten wilk, to chyba kawał bałwana!
Tak łatwo było zrobić go w konia –
zjadłby po ciemku nawet i słonia.
A nasz Kapturek... jest pomysłowy,
nie wiesz, co wpadło jej dziś do głowy.
Bo gdy wilk na nią wyskoczył z łóżka...
wsadziła w pysk mu kawał placuszka...
no ten z zakalcem... ten sprzed tygodnia...
miałam go właśnie wyrzucić do dnia...

NARRATOR:

I tak gadały szczęśliwe obie,
a ja tymczasem rozmyślałam sobie,
jaki tu morał z bajki wynika?
i już wam mówię, bo czas umyka.

Nie każda babcia boi się wilka,
nie każdy wilk zaś babcię ma w sobie.
Nie rób nikomu krzywdy, bo kiedyś
Krzywdą przytrafić może się tobie.

K O N I E C

ZAMKI ZIEMI LWOWSKIEJ – JESZCZE JEDNA PODRÓŻ

Turysta, który przyjedzie do Galicji, zawsze znajdzie tam coś, co warto zwiedzić. Ilość bowiem muzeów, starych cerkwi, kościołów, zamków i pałaców jest tam wprost niewyobrażalna. Wystarczy wspomnieć chociażby Lwów... Za każdym razem, kiedy się do niego przyjeżdża – odkrywa się coś nowego. Dlatego proponuję kontynuację tematu z poprzedniego numeru „Krynicy”. I tak, „zamki Lwowszczyzny” – ciąg dalszy.

Oto przed nami jedna z zapomnianych fortec, która znajduje się na terenie obwodu lwowskiego – Świrski zamek. Wystarczy jedno spojrzenie, aby zorientować się, że jego mury pochodzą z czasów renesansu. Baszty ze zdobionymi okiennymi portalami o wyjątkowych kształtach, zwieńczenia dachów oraz wielkie jezioro obok zamku – wszystko to jako żywo przypomina francuski pałac z czasów Henryka III czy Ludwika XIII. Zapewne tak właśnie pomyślał reżyser filmu „D’Artagnan i trzech muszkietierowie”, kiedy właśnie to miejsce wybrał jako plan filmowy. Oddzielne części zamku pełniły w tym filmie „rolę” klasztoru w Bethune, domu kata, a częściowo zrujnowana wieża „stała się” bastionem w Saint German.

Zamek został wzniesiony na początku XVI wieku przez magnatów Świrskich. Kiedy w wieku XVII forteca stała się własnością hrabiego Aleksandra Cetnera, kilkakrotnie ją przebudowywano i ostatecznie nadano kształt, w jakim prawie bez zmian przetrwała do dzisiaj. Prawie, bo mimo swego „pokojowego” wyglądu forteca niejednokrotnie używana była zgodnie z przeznaczeniem: podczas ukraińsko-polskiej wojny w latach 1648 – 1654 zamek zdobywali oddziały kozackie. W 1672 roku przetrwał on nawałę turecką. Jeszcze nie raz wrogowie wypróbowywali mocność jego ścian.

W roku 1907 zamek przeszedł na własność hrabiego Roberta Salansa, który dokonał jego renowacji od podstaw, wyposażył go w cenne meble, obrazy.

Podczas I wojny światowej zamek został doszczętnie spalony przez wojska rosyjskie. Hrabia Robert po raz drugi odnowił zamek, jednak nie na długo... Ponad 30 lat zamek stał w ruinach. Dopiero w 1975 roku zaczęły się tu ponownie prace renowacyjne.

Niedaleko od Świrza znajdują się Brody a tam kilka na wpół zrujnowanych bastionów i fortyfikacji, za którymi stoi dwukondygnacyjny obłupiony budynek. Z trudem można dojrzeć w nim zarys XVIII-wiecznego zamku, zbudowanego przez Stanisława Poniatowskiego. Historia tego zamku rozpoczęła się w XVI wieku, kiedy to Stanisław Żółkiewski – ojciec bardziej znanego Stanisława Żółkiewskiego, zwycięzca spod Kłuszyna – wznosił tutaj drewnianą fortyfikację. W roku 1629 miasto nabył hetman Stanisław Koniecpolski. Hetman rozbudował Brody, czyniąc z nich fortecę z 10 bastionami i zamkiem, ale zadbał także o ich rozwój gospodarczy osadzając Żydów i Ormian. Pracami budowlanymi w latach 1630 – 1635 kierował Andrea dell’Aqua według planów, które stworzył Wilhelm le Vasseur de Beauplan. Miasto przebudowano według modnej wówczas w Europie koncepcji „idealnego miasta”. Ulice uporządkowano zgodnie z planem. Główna ulica prowadziła od bramy głównej do zamku.

W roku 1648 Chmielnicki wraz z Kozakami zdobył i spalił miasto, jednak zamek Stanisława Koniecpolskiego odparł atak Kozaków. Aleksander Koniecpolski zapisał w testamencie m.in. Brody, Podhorce, Złoczów królowi Sobieskiemu, którego syn Jakub w 1704 sprzedał je Józefowi Potockiemu. W czasie wojny o sukcesję polską miasto w 1734 roku została zajęte przez Rosjan.

W połowie XVIII wieku, Potoccy wybudowali na terenie zamku nowy barokowy pałac z wieżą. W 1772 roku Brody znalazły się pod zaborem austriackim. 27 maja 1809 r. – w czasie wojny polsko-austriackiej i marszu spod Zamościa oraz po wejściu do Galicji, płk Piotr Strzyżewski ze swoim oddziałem, ruszył na południe, na Brody, zdobywając miasto bez walki.

Obecnie ruiny zamku stały się śmietniskiem i ostatecznie niszczącą.

Podobnie wygląda niemniej znany zamek Lwowszczyzny – Dobromilski. Zbyt daleko znajduje się on od głównych szlaków obwodu. A szkoda, bo historia tego zamku jest bardzo interesująca.

W 1566 r. król Zygmunt August za wierną służbę tronowi wynagrodził Stanisława Herburtę, pozwalając



Świrski zamek

mu przekształcić wieś Dobromil w miasto na prawie magdeburskim. Kilka lat później Szczęsny Herburt na górze modrzewiowej wznosił zamek obronny z czterema bastionami. Do dziś przetrwała tylko jedna z nich, potężna, wielokondygnacyjna, ośmiokątna, z fragmentami fryzu arkadowego, a na niej tablica z herbem Herburtów i z inicjałami S.H.K.L. (Stanisław Herburt kasztelan lwowski). Przez wieki zamek w Dobromilu był obiektem wielu ataków i inwazji Turków, Tatarów i Węgrów Rakoczego.

Zapomnieliśmy jednak opowiedzieć o zamku w Żółkwi, który jakimś cudem ocalał prawie w całości. Jednak stoi dziś pusty. Dostępna jest jedynie niewielka ekspozycja, która zajmuje zaledwie kilka sal. A przecież zamek wzniesiony został w legendarnych czasach przez legendarne osobistości. Pierwszą z nich był hetman wieki koronny Stanisław Żółkiewski. Z jego woli w latach 1594 – 1610, najprawdopodobniej według projektu Pawła Szczęśliwego, wzniesiono zamek w Żółkwi. Kamieniarkę opracował Paweł Rzymianin i Ambroży Przychylły. Budowę prowadziła i nadzorowała żona hetmana. Na skutek małżeństwa Zofii Żółkiewskiej, właścicielem zamku stał się Jan Daniłowicz, a potem jego córka, która wyszła za Jakuba Sobieskiego, ojca późniejszego króla Polski Jana III Sobieskiego.

Zamek został założony na planie kwadratu o boku około 100 metrów, z czterema czworobocznymi wieżami na narożach (zachowały się tylko trzy). Od strony miasta do zamku prowadziła umieszczona symetrycznie czteropiętrowa wieża z bramą zdobioną herbem Lubicz od zewnątrz i tablicą fundacyjną od strony dziedzińca. Wewnątrz murów znajdowały się cztery dwutraktowe budynki połączone gankami bojowymi z wieżami. Głównym pałacem był budynek znajdujący się na wprost bramy. Drzwi i okna miały profilowane obramienia kamienne, a nad nimi widniały łacińskie sentencje. Pod zamkiem mieściły się dwukondygnacyjne sklepienie piwnice. Zamek w pierwszej fazie nosił cechy manieryzmu o weneckich, a także niderlandzkich źródłach. Zamek łączył się z fortyfikacjami miasta, a do jego wschodniej i północnej wieży przylegały odcinki miejskich murów obronnych. Za zamkiem w 1606 roku umieszczono zwierzyńiec.

Za czasów Sobieskich zamek został przebudowany na wspaniałą rezydencję godną monarchy. M.in. w tym czasie zbudowano przy prawym skrzydle kaplicę. Gdy zamek otrzymał Jan III Sobieski, przebudował go w latach 1685 – 1694 na rezydencję barokową pod

kierunkiem Piotra Bebera, a wnętrza, nową galerię i portyk kolumnowy z dwubiegowymi schodami zaprojektował prawdopodobnie Augustyn Locci. Zbudowano też przybudówki z loggiami, które flankowały elewację ogrodową.

Kolejnej przebudowy dokonał po 1740 roku hetman wielki litewski Michał Radziwiłł zwany Rybeńko. Za jego czasów przebudowano wnętrza w stylu rokoka, rozbudowano krużganki tak, że ciągnęły się na dwu piętrach wzdłuż całego boku naprzeciw wjazdu. W 1753 roku na frontowych schodach postawiono nowe rzeźby, m.in. z pomnikiem króla Jana III. Odbudowano spalone wieże, pomarańczarnię i oficynę. Prace prowadził Aleksander von Berg, a potem Antoni Castelli. W 1772 roku po rozbiorze, zamek przejęli Austriacy, a w 1787 roku zamek kupił na licytacji Adam Józefowicz-Hlebnicki. W połowie XIX wieku ówczesny właściciel Artur Głogowski rozprzedał resztki wyposażenia i rozebrał część zabudowań, m.in. kaplicę i sąsiadującą z nią wieżę, krużganki i wielkie schody. W późniejszych latach budynki zamku były jeszcze kilkakrotnie przebudowywane na cele różnych instytucji. Poważne zniszczenia dotknęły zamek w czasie I wojny światowej na skutek spalania go przez Rosjan, a w okresie II Rzeczypospolitej po częściowej odbudowie (np. okien i strzelnic) były tu koszary wojskowe, a potem szkoła. Kolejne prace restauratorskie podjęto w latach 70. XX wieku, a po powstaniu państwa ukraińskiego rozpoczął się kolejny remont zamku prowadzony do dziś.

Jest kilka ciekawostek związanych z Żółkwią. Kiedy Stanisław Żółkiewski w 1620 roku zginął w bitwie pod Cecorą, jego ciało zostało wykupione u Osmanów i pochowane w kościele p.w. św. Laurentego, gdzie znajduje się do dzisiaj. A w czasie wojny północnej w żółkiewskim zamku przebywał car Piotr I. Legenda głosi, że rzeczka, która płynie obok zamku zawdzięcza swoją nazwę – Świnia temu, że pijany Piotr I wpadł do niej... A dziś? Dziś nikogo już nie interesuje historia tego zamku.

Ileż jeszcze w obwodzie lwowskim obwodzie jest takich interesujących fortyfikacji? Miejsc pełnych tajemnic i niezwykłego uroku...

I tam się spotkamy. Do zobaczenia!

*Anton BARANOWSKI
Tłum. D. Jaworska*



Dobromilski zamek



Zamek w Żółtkwi

